

ODPOWIEDZI NA TRUDNE PYTANIA DZISIEJSZEGO ŚWIATA TOM V



Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata

tom piąty

Konwersatorium
w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie
poświęcone przesłaniu Ojca św. Jana Pawła II

Pod redakcją:
Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło



Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin

Warszawa 2010

Wydawnictwo SWPR
Szkola Wyższa Przymierza Rodzin
Ul. M. Grzegorzewskiej 10
02-778 Warszawa
tel. (22) 644 07 97
www.swpr.edu.pl

ZAPISU Z NAGRANIA DOKONALI:
Andrzej Skoczek, Bogumił Chlebny, Bogdan Motelski,
Ewa Modrzewska, Łukasz Bujak, Ewa Smolska,
Dorota Giriant, Natalia Cholewa

OKŁADKA
Marek Angiel

SKŁAD I ŁAMANIE
Joanna Łokietek

KOREKTA
Urszula Kossowska-Cezak

FOTOGRAFIE W TEKŚCIE:
Waldemar Kompała, Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

DRUK
MATRIXDRUK Agnieszka Patrycy

Druk publikacji finansowany przez
Jacka Waksmundzkiego

Wydanie I

ISBN 978-83-61140-19-1

SPIS TREŚCI

Przedmowa	7
<i>Czy potrafię dostrzec ludzi słabszych od siebie (starych, chorych, dzieci...)?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Krystyna Mrugalska, Paweł Wdówik, Rafał Strent, Jarosław Kalinowski.	9
<i>Co dla mnie znaczy Boży nakaz: Czyńcie sobie Ziemię poddaną?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Andrzej Zalewski, Tomasz Borecki, Joanna Angiel, Iwona Waksmundzka	45
<i>Kto jest dla mnie autorytetem i dlaczego?</i>	
Ks. Zdzisław Wojciechowski (prowadzący), Franciszek Kampka, Małgorzata Grabowska, Jacek Grabowski, Maciej Dąbski, Anna Ciepiela	83
<i>Co dla mnie znaczy fragment Modlitwy Pańskiej: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Rafał Wiczyński, Sebastian Domagała, ks. Włodzimierz Kwieciński, Tadeusz Pieńkowski	111
<i>Czy wiara w Boga ma wpływ na moje codzienne życie?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Jakub Papierski, Monika Nagórka, Leszek Marks	147
<i>Czym jest dla mnie i jaka powinna być praca zawodowa, społeczna, domowa itp.?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Maria i Witold Płotczykowie, Tomasz Berent, Andrzej Ciepiela.....	173
<i>Czy jestem szczęśliwa/y i czy potrafię dzielić się moim szczęściem z innymi?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Paweł Szczęsny, Zofia Zielińska, Ewa Błaszczak	205
<i>Czy liczę się z drugim człowiekiem, czyli miłość bliźniego w praktyce?</i>	
Ks. Adam Zelga (prowadzący), Zdzisław Bielecki, Alojzy Witeska, o. Benedykt Malewski, s. Kazimiera Fleran.....	225



Przedmowa

Oddając do rąk czytelnika piąty, jubileuszowy tom „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata” chciałabym powtórzyć w przedmowie podstawowe informacje opublikowane w przedmowach poprzednich tomów. Ta treść będzie podana poniżej w cudzysłowie.

„Podobnie jak tomy poprzednie piąty tom zawiera teksty ośmiu Konwersatoriów (wraz z cytatami), które odbywają się regularnie, w odstępach comiesięcznych w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie, przez cały rok akademicki od października do maja.

Pomysł Konwersatoriów od samego początku był związany z nauczaniem Ojca świętego Jana Pawła II, a Jego nauka była inspiracją dla szukania odpowiedzi na dręczące nas wszystkich pytania. Obecnie wiele tematów, które są poruszane na naszych spotkaniach wyszło już poza zakres bezpośredniego przekazu nauk Ojca świętego, czujemy jednak stale Jego opiekę i błogosławieństwo nad dziełem Jemu poświęconym.

Piąty tom „Odpowiedzi...” opiera się, podobnie jak tomy poprzednie, na osobistych świadectwach osób zapraszanych do panelu jak i na wypowiedziach uczestników. Należy im się wszystkim serdeczna nasza wdzięczność. Trudno sobie wyobrazić Konwersatoriów bez znakomitych wprowadzeń do poszczególnych tematów Księdza Adama Zelgi oraz sprawnego prowadzenia przez niego spotkań. Również Księdzu Adamowi zawdzięczamy kontakt w wielu wspaiałymi ludźmi, którzy godzą się uczestniczyć w naszych Konwersatoriach”.

Prowadzenie jednego z Konwersatorium zawdzięczamy Księdzu Zdzisławowi Wojciechowskiemu, który jest od lat związany z naszymi

spotkaniami i zawsze służy radą i poleca nam znakomite osoby do panelów poszczególnych Konwersatoriów.

Powstanie piątego tomu „Odpowiedzi...” podobnie jak tomów poprzednich, jest wspólnym dziełem dużej grupy osób, działających wyłącznie społecznie. Nie żałują one swojego czasu i umiejętności i dokładają swoje „cegiełki”, aby ostateczny efekt był możliwie najlepszy. Żmudną pracę przepisywania tekstu z nagrania zawdzięczamy w bieżącym roku ośmiu osobom: Andrzejowi Skoczkwowi, Bogumiłowi Chlebnemu, Bogdanowi Motelskiemu, Ewie Modrzewskiej, Łukaszowi Bujakowi, Dorocie Giritat, Natalii Cholewie i Ewie Smolskiej. Podobnie jak tomów poprzednich ostateczną korektę tekstu dokonała dr Urszula Kossowska-Cezak, zaś większość fotografii zawartych w tekście zawdzięczamy Panu Waldemarowi Kompale. Okładka tomu piątego jest według projektu Pana Marka Angiela.

Publikację piątego tomu, podobnie jak i tomów poprzednich, zawdzięczamy wsparciu finansowemu Pana Jacka Waksmundzkiego. Też dzięki niemu „Odpowiedzi...” rozchodzą się szeroko w Polsce, jak również dochodzą do ludzi, których nie stać na zakup książek.

Proces powstawania piątego tomu „Odpowiedzi...” zadaje kłam stereotypowi Polaka, o którym mówi się, że nie potrafi pracować wytrwale i w zespole. Dziękuję wszystkim bardzo serdecznie i jestem dumna, że z takim zespołem mam szczęście współpracować.

Następny cykl spotkań zaczynamy w październiku 2010, jak zawsze w trzecią sobotę miesiąca o godz. 11, w siedzibie naszej Uczelni (Warszawa, Usynów, ul. M. Grzegorzewskiej 10). Teksty wszystkich Konwersatoriów są na naszej stronie internetowej www.swpr.edu.pl. Wszystkie tomy „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata” można zamówić drogą internetową (swpr@swpr.edu.pl) lub nabyć w sekretariacie naszej Uczelni.

Elżbieta Mycielska-Dowgiatto

*Czy potrafię dostrzec ludzi słabszych od siebie
(starych, chorych, dzieci...)?*

Cytaty

Walter J. Burghardt. Ludzie w podeszłym wieku (fragment).

Jakie wymagania stawia naszej kulturze biblijna sprawiedliwość? Wymaga szacunku dla ludzi starszych i troski o nich. Nie dlatego, że odkryliśmy, iż stanowią oni ważną grupę wyborczą, ale ponieważ samo bycie jest błogosławieństwem. Ponieważ są oni dla nas źródłem życia, współtwórcami z Bogiem. Ponieważ są żywym świadectwem Bożej obecności – jeśli tylko mamy oczy, by to dostrzec. Gorzka to prawda i źle świadczy o naszej kulturze, jeśli starszym ludziom dajemy do zrozumienia, że są ciężarem dla gospodarki; jeśli mężczyźni i kobiety poniewierają się w domach spokojnej starości, licząc na to, że ich dzieci spędzą z nimi jedną godzinę; jeśli lekarstwa ratujące życie leżą poza zasięgiem ich finansowych możliwości; jeśli życie traci dla nich sens, bo nie ma już nikogo, komu by na nich zależało. Są to wypaczone relacje. Jakkolwiek Bóg jest w nich zawsze obecny, podejrzewam jednak, że – za wyjątkiem niektórych świętych – „sam Bóg” nie wystarczy, by utulić nas w naszych ludzkich tęsknotach, by zaspokoić naszą potrzebę bycia kochanym.

*Benedykt XVI. Wizyta w Poliklinice San Matteo.
W chorych Bóg czeka na naszą miłość (fragment)*

Kiedy jestem tu pośród was, przychodzi mi na myśl Jezus, który w czasie swojego ziemskiego życia zawsze poświęcał szczególną uwagę cierpiącym, uzdrawiał ich i dawał im możliwość powrotu do życia rodzinnego i społecznego, odbudowania więzi, które nadszarpnęła choroba. Myślę także o pierwszej wspólnotce chrześcijańskiej, w której – jak czytamy w tych dniach w Dziejach Apostolskich – liczne uzdrowienia i cuda towarzyszyły przepowiadaniu apostołów. Kościół od zawsze, biorąc wzór ze swojego Pana, otacza specjalną troską tych, którzy cierpią, i – jak powiedział pan prezes polikliniki – widzi w cierpiącym samego Chrystusa, nieustannie spieszy z niezbędną pomocą chorym, ofiaruje fachową pomoc i ludzką miłość, świadomy, że jego powołaniem jest ukazywać troskliwą miłość Chrystusa do chorych oraz do tych, którzy się nimi opiekują. Z postępek technicznym, technologicznym musi zawsze iść w parze ludzka miłość. Szczególnie aktualnie

brzmia w tym miejscu słowa Jezusa: „Co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25, 40. 45). W każdej osobie dotkniętej jakąś chorobą On sam czeka na naszą miłość. Cierpienie oczywiście budzi sprzeciw ludzkiego umysłu, prawdą okazuje się jednak zawsze, że kiedy przyjmuje się je z miłością i współczuciem i patrzy się na nie w świetle wiary, staje się ono cenną okazją, by w tajemniczy sposób zjednoczyć się z Chrystusem Odkupicielem, Mężem Boleści, który na krzyżu wziął na siebie ból i śmierć człowieka. Poprzez ofiarę swego życia odkupił On ludzkie cierpienie i uczynił z niego podstawowe narzędzie zbawienia.

Ks. Zbigniew Sobolewski. Rozświećl dzieciom przyszłość (fragment).

W pierwszą niedzielę adwentu Caritas w Polsce rozpocznie Wigilijne Dzieło Pomocy Dzieciom. Tegoroczne hasło „Edukacja szansą dzieci ubogich” zwraca uwagę na problem stworzenia równych szans dzieciom z rodzin najuboższych. Pomimo to, że edukacja jest prawem każdego dziecka, ubóstwo stanowi poważną przeszkodę w jego praktycznej realizacji.

Jak wynika z raportu Komisji Europejskiej 29% dzieci w Polsce żyje w biedzie. Oznacza to, że ponad 650 tys. dzieci potrzebuje materialnego wsparcia przy zakupie podręczników szkolnych, odzieży i obuwia sportowego, otrzymania ciepłego posiłku w szkole. Są to dzieci, których rodziców nie stać na korepetycje i dodatkowe zajęcia z języków obcych. Poważnym problemem staje się również odległość dzieląca dom od szkoły. Brak środków na opłacenie internatu lub biletu miesięcznego sprawia, że duża grupa młodych ludzi kończy edukację na poziomie szkoły podstawowej lub gimnazjalnej.

Jolanta Krasnowska. Podziel się domem i miłością (fragmenty).

W domu Osłowskich w podsiedleckim Wiśniewie niby wszystko wygląda zwyczajnie. Kolorowe obrazki na ścianach, nad kuchennymi szafkami przyklejony rozkład obowiązków, poustawiane na parapecie rodzinne zdjęcia.

Tylko przedpokój wygląda inaczej niż w innych polskich mieszkaniach. Na wycieraczce stoi kilkanaście par dziecięcych butów, a krze-

seł w jadalni osiem. Dziennie u Osłowskich idą trzy chleby i kilka litrów mleka. Wszystko musi być podwójne, bo tu nadrabia się dzieciństwo. Miłości również nie może zabraknąć. Bo dzieci do kochania też jest więcej niż w przeciętnej rodzinie...

(...) Prowadzenie rodziny zastępczej nie jest łatwe. Często trzeba borykać się z urzędnikami, którzy potrafią tylko stawiać wygórowane wymagania i nie rozumieją pracy zastępczych rodziców, brakiem pieniędzy, a także zmagać się z bezpodstawną zazdrością otoczenia, które myśli, że prowadzenie placówki to żyła złota, donosami, kontrolami.

Czy gdyby mogli cofnąć czas, zdecydowaliby się na założenie takiej rodziny?

– To była wola Boga. Nam pozostaje być tylko jej wiernym, wbrew zniechęceniom, kłopotom finansowym czy wychowawczym. Wiara i miłość czynią cuda – mówią Osłowscy.

KONWERSATORIUM XXXIII (17.10.2009 r.)

Czy potrafię dostrzec ludzi słabszych od siebie (starych, chorych, dzieci...)?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii im. bł. Edmunda Bojanowskiego), Krystyna Mrugalska (honorowy prezes Polskiego Stow. na rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym oraz wiceprezes Forum Osób Niepełnosprawnych), Paweł Wdówik (kierownik Biura do spraw Osób Niepełnosprawnych na Uniwersytecie Warszawskim i redaktor Radia Józef), Rafał Strent (profesor ASP, grafik), Jarosław Kalinowski (psycholog kliniczny, terapeuta, alkoholik niepijący od 20 lat).

Ks. Adam Zelga

Jest mi szczególnie miło, że już piąty rok mogę prowadzić co-miesięczne Konwersatoria w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin. Błogosławiony Edmund Bojanowski, który jest patronem mojej parafii, jak również patronem SWPR, pochylał się często nad ubogimi, starymi i chorymi. Temat dzisiejszy byłby mu bardzo bliski.

Zaprosiliśmy dzisiaj osoby, które na skutek doświadczeń swojego życia potrafią dostrzec ludzi słabszych od siebie, jak i takich, którzy mogą uchodzić za słabszych. Myślę, że podzielą się z nami swoimi doświadczeniami.

Witam serdecznie pana Rafała Strenta, który jest moim parafianinem, profesorem Akademii Sztuk Pięknych i wybitnym grafikiem. Miał być razem z żoną, która niestety zachorowała. Pana Rafała prosiłem, aby powiedział historię, którą znam, a która mnie ogromnie wzrusza i ukazuje piękno człowieka. Pan profesor wraz z żoną w swoim domu opiekowali się pracownicą uczelni, obcą kobietą, która umierała na raka.

Witam serdecznie pana Jarosława Kalinowskiego, który jest psychologiem klinicznym i w swoim bogatym życiu przeszedł niejako dwie fazy, pierwszą – schodzenia i drugą wciąż trwającą



**Fot. 1. Paneliści: ks. Adam Zelga, Rafał Strent
i Jarosław Kalinowski**

– wchodzenia. Pan jest niepijącym od dwudziestu lat alkoholikiem i zajmuje się pomocą osobom uzależnionym.

Wreszcie witam serdecznie i szczególnie ciepło pana Pawła Wdówika, niewidomego, który przybył do nas z dwoma synkami i psem. Gdyby wziął Pan ze sobą jeszcze trzeciego swojego synka, to bym powiedział, że mamy czterech pancernych i psa. Pan Paweł jest kierownikiem Biura ds. Osób Niepełnosprawnych na Uniwersytecie Warszawskim i redaktorem Radia Józef, które jest mi ogromnie bliskie.

Jeszcze nie ma wśród nas pani Krystyny Mrugalskiej, która za chwilę do nas dotrze.

Rafał Strent

Czuję się zażenowany, bo to, co się nam przydarzyło, ks. Adam obserwował na bieżąco. Umierająca osoba często przyjmowała wizyty ks. Adama, więc w ostatnim okresie jej życia poznaliśmy się wszyscy bardzo dobrze. Ksiądz Adam pewnie wie o tej pani znacznie więcej niż ja, bo był jej spowiednikiem.

Osoba, która u nas kończyła życie, była sekretarką w dziekanacie. Tak była oddana sprawom studenckim, że pokątnie zamieszki-

wała w tym dziekanacie przez długie lata. Miała swój dom na Bielanach, który kompletnie zaniedbała. Była osobą samotną. Jej jedyna siostra mieszkała w Paryżu. Kiedy wyszło na jaw, że pani Janka jest bardzo ciężko chora i zamierza życie dokończyć w dziekanacie, to byliśmy w wielkim kłopotcie. Postanowiliśmy zabrać ją do siebie, gdzie moja żona, mająca przygotowanie pielęgniarskie, mogła się nią w szczególnie sposób zająć.

I tak pani Janka zamieszkała u nas. Woźiliśmy ją na chemioterapię. Uważam, że była to rzecz naturalna. Kiedy człowiek jest w potrzebie, to trzeba mu pomagać – i tyle. Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Może to przez wychowanie, a może taki mam charakter, że zawsze stoję po stronie ludzi przegranych.

Moja żona nie pracowała i miała więcej czasu, aby się chorą zajmować całą dobę. W ostatnich tygodniach jej życia musiała jednak korzystać z pomocy sąsiadki przy pielęgnacji osobistej. Na ostatni tydzień musieliśmy ją oddać do hospicjum, bo leki przeciwbólowe, które dostawała w domu, przestały działać. Nie miała już wtedy przytomności i w hospicjum zakończyła życie. Powtarzam, że czuję się zażenowany, ponieważ nie widzę w naszym postępowaniu nic szczególnego.

Przed Bożym Narodzeniem w 1981 roku, kiedy władza ludowa wykazała się ludzkim odruchem i zawiesiła na jakiś czas godzinę milicyjną, chodziliśmy na rekolekcje do o. Jacka Salija. Po tych rekolekcjach o. Salij zaproponował rozmowę poza „programem obowiązkowym”. Była wśród nas wielce egzaltowana kobieta, która wciąż powtarzała, jak ona kocha Chrystusa. Ojciec Salij w pewnym momencie jej przerwał i powiedział: „Jak może pani kochać Chrystusa, przecież Go pani nie zna. Jak można kochać kogoś, kogo się nie zna? Aby kochać Chrystusa, trzeba kochać ludzi”. Zdanie to bardzo przypadło mi do gustu, było zgodne z moimi przekonaniami i postępowaniem, które realizuję w sposób niemal odruchowy. I nie jest to sprawa tylko wychowania, ale i wrażliwości. Nie można kochać Boga, nie kochając ludzi.



Fot. 2. Rafał Strent

Jarosław Kalinowski

Ksiądz Adam powiedział już o mnie wszystko, co najważniejsze. Dwadzieścia lat w dół i dwadzieścia lat do góry. Teraz jestem wolnym człowiekiem. Zanim jednak doszło do mojego wyzwolenia, to doprowadziłem się do krawędzi człowieczeństwa. Dzisiaj wiem, że nikt nie rozpoczyna swoich doświadczeń z alkoholem, żeby cierpieć czy dostarczać cierpień innym ludziom. Wiem też, że



ludzie nie potrafią wylapać momentu, kiedy przekraczają bezpieczne towarzyskie picie i kiedy rozpoczyna się nałóg. Nie jesteśmy w stanie czegoś takiego zobaczyć, choćby z tego powodu, że na siebie patrzymy subiektywnie. I tak było ze mną.

Dopiero kiedy trafiłem na terapię w 1989 roku, zobaczyłem z ogromnym zdumieniem, że od jedenastu lat jestem uzależniony od alkoholu i że nie miałem o tym pojęcia. Tłumaczyłem sobie na różne sposoby, że przecież nie mogę być alkoholikiem, bo sprawnie zawodowo funkcjonuję, a w domu niczego nie brakuje, dobrze zarabiam i tylko od czasu do czasu się napiję. Przecież nie ma w tym nic złego. Przecież wszyscy ludzie tak robią. Dzisiaj wiem, że tak nie jest. Są

Fot. 3. Jarosław Kalinowski

ludzie, którzy potrafią pić i są tacy, którzy nie umieją i nie powinni. Należę do tych drugich.

Przez jedenaście lat, korzystając z różnych pretekstów, sięgałem po alkohol, usprawiedliwiając się w różny sposób i obwiniając za to kogo się dało. Obwinałem ustrój, rząd, godzinę milicyjną i wszystko, co mi przyszło na myśl. Piłem dwadzieścia lat i trudno jest ten czas zamknąć w paru minutach opowiadania.

Pamiętam 1989 rok, kiedy czułem się człowiekiem przegranym, nie chciało mi się żyć i nachodziły mnie myśli, aby bezboleśnie zejść z tego świata, żeby wreszcie moja rodzina miała spokój i ja nie musiałbym się męczyć i cierpieć. Cały czas jednak odzywało się we mnie coś, co nazywa się sumieniem, taki kawałek mojej

duchowości. Ono mnie gryzło, nie dawało spokoju, bo robiłem rzeczy nieuczciwe, na które nie miałem własnej zgody.

W 1989 roku trafiłem do jednego z pierwszych miejsc, gdzie naprawdę zaczęto leczyć uzależnienia, a nie straszyć pogadankami czy serwować leki, od których też można się było uzależnić. Od tamtej pory nie piję. Nie przyszło to łatwo. Dzięki terapii, uczestnictwu w niej innych podobnych do mnie, i terapeutów, którzy byli niepijącym alkoholikiem zrozumiałem, że to, z czym walczę i na co cierpię od iluś tam lat, moje zachowanie i sposób myślenia oraz reakcje emocjonalne, to wszystko jest choroba, która nazywa się uzależnieniem od alkoholu. Jest to choroba, która ma swój numer statystyczny, jest w rejestrze chorób Światowej Organizacji Zdrowia i można się nauczyć z tą chorobą żyć. Terapeuta powiedział mi też rzecz, która stała się później bardzo cenna w moim życiu, że wychodzenie z choroby alkoholowej można wykorzystać jako siłę napędową do robienia w życiu różnych wartościowych rzeczy. Tak rzeczywiście się stało. Naprawdę to sprawa oczywista i prosta do zobaczenia, bo przecież wcześniej poświęcałem piciu ileś tam godzin, ileś tam energii, też ileś pieniędzy, bo przecież nikt za darmo nie dawał. Wystarczyło tylko część tej energii poświęcić na inne ciekawsze rzeczy w życiu. Ciekawsze – to może nie jest dobre określenie, raczej na rzeczy bardziej duchowe. Program wychodzenia z uzależnienia jest uzdrawianiem życia na płaszczyźnie psychicznej i duchowej. Wystarczy tylko część czasu przeznaczyć na swój rozwój, tę część, którą człowiek poświęcał na picie i na organizowanie sobie okazji. Mam świadomość, że od dwudziestu lat się rozwijam, szczególnie gdy spojrzę wstecz na poprzednie dwadzieścia lat, kiedy byłem zajęty wyłącznie sobą, byłem egoistą i człowiekiem konsumpcyjnie nastawionym do świata i wszystkiego, co mnie otaczało. Mówiłem – należy mi się. Oczywiście można szukać źródeł w moim wychowaniu, w ustroju, w którym żyłem. Jednak obok mnie żyli ludzie, którzy mieli podobne wychowanie, w tym samym ustroju, a nie byli uzależnieni. Byłem podatnym gruntem. Dziś wiem, że była to predyspozycja do uzależnienia, bo tę może mieć każdy człowiek bez powodu.

Gdy w 1989 roku skończyłem z piciem, to czułem się bardzo samotny, pogubiony w swoim życiu, będący w konflikcie ze wszystkimi, a też z samym sobą. Szacunku do samego siebie prawie już nie było. Terapia i inni ludzie, którzy uczestniczyli w terapii

i których spotykałem na spotkaniach AA, pomogli mi odbudowywać stracony świat. Byli wzorcami, nauczycielami, od których można było się uczyć. Tam właśnie zaszczepiono mi myśl, że mogę coś z tym zrobić, że mogę się zmienić. Nagle okazało się, że jestem w środku zupełnie inny, niż mi się wydawało, a moje dawne „pijane życie” było przykładem egocentryzmu, manipulowania ludźmi i myśleniem o sobie, że jestem pępkiem świata. Tamto życie gdzieś odeszło i zobaczyłem też, że mogę coś dać innym i z tego czerpać radość i satysfakcję. Wtedy zobaczyłem, że mogę inaczej żyć.

Po roku niepicia dostałem propozycję pomagania: „Czy mógłbyś poprowadzić grupę tych, którzy zaczynają?” Wydawało mi się to niewiarygodne. Ja, z wykształcenia elektronik, nie widziałem siebie w tej roli. Brać – to tak, ale dać coś komuś – to nie! Ale ludzie namawiali – „Słuchaj Jarek, ty mógłbyś coś dać innym, mógłbyś coś im przekazać z własnych doświadczeń” – i usłuchałem. Początkowo zacząłem pracować jako wolontariusz w poradni odwykowej, a później zaproponowano mi tam pracę na etacie. Zobaczyłem, że jest to coś bardzo wartościowego. Poczułem ogromną satysfakcję, że mogę komuś pokazać drogę i że on ma szansę z niej skorzystać. Bardzo często spotykałem ludzi, którzy utracili już wiarę, że mogą inaczej żyć, że mogą przestać pić. Pokazywałem im drogę, dawałem świadectwo. Pamiętałem, jakie znaczenie miało dla mnie świadectwo mojego terapeuty. On mnie „zastrzelił” swoim wyznaniem.

Zobaczyłem, że to, co robię, ma dla mnie większe znaczenie niż praca w dotychczasowym zawodzie i robienie kasy. Pracując wtedy w poradni odwykowej, otrzymywałem 1/3 poprzedniej pensji w Centrum Radia i Telekomunikacji. Ludzie pukali się w głowę, co ja robię? Mój wybór był jednak całkiem świadomy, wiedziałem, co robię. Zacząłem się wtedy uczyć nowego zawodu. Ukończyłem Studium Pomocy Psychologicznej, warsztaty Doskonalenia Umiejętności Pomagania itp. i ostatecznie podjąłem studia na psychologii klinicznej, dowiedziawszy się, że ma tam powstać katedra uzależnień.

To, że zmieniłem zawód, że nauczyłem się czegoś nowego, ma bezpośrednie źródła w mojej chorobie, tej mojej energii, która kiedyś służyła mi do picia, a dziś służy do mojego rozwoju. W tej

chwili mam 56 lat i zastanawiam się, co by jeszcze postudiować? Bardzo ciągnie mnie filozofia.

Chciałem powiedzieć jeszcze o jednej ważnej rzeczy. Dwadzieścia lat temu zacząłem się modlić. Pierwsza moja modlitwa była bardzo prosta, zaczerpnięta z ruchu Anonimowych Alkoholików. Dawała mi ukojenie i załazek spokoju i równowagi duchowej. Taka prosta modlitwa: „Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić; odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego”. Najwięcej kłopotu miałem z mądrością, ale znajdowałem ją w innych ludziach. Zacząłem pytać, szukać i otrzymywałem odpowiedzi.

Ktoś mi kiedyś powiedział: „Pokochaj pracę, to nie będziesz musiał pracować!” Jest to głęboka prawda. Moja praca jest moją pasją i jest to dla mnie najwspanialsza przygoda. Zona się już z tym pogodziła, podobnie moi dwaj dorośli synowie, że moje życie jest podporządkowane pomocy ludziom i jest dla nich zrozumiałe, jeśli odwołam jakieś spotkanie lub spóźnię się na nie.

Paweł Wdówik

Cieszę się, że jest tu wśród nas pani Krystyna Mrugalska, której z całą pewnością zawdzięczam to, kim jestem i co robię oraz moje obecne spojrzenie na niepełnosprawność i osoby niepełnosprawne. Sama zapewne nie powie, jak wybitną jest osobą, więc sam muszę powiedzieć, że właśnie pani Krystyna zmieniła w przeogromny sposób sytuację osób niepełnosprawnych w Polsce.

Chciałbym powiedzieć o rzeczach, które dla mnie, jako osoby niepełnosprawnej, są dosyć bolesne, bo doświadczam ich na co dzień i ich nie akceptuję.

Przyjechałem z moimi chłopakami, gdyż Jaś miał obiecanie przez panią Rektor pokazanie eksponatów, które go szalenie interesują, związanych z geografią i podróżami, a Franio z kolei odbywa pierwszą samodzielną podróż bez mamy i dla niego jest to wyjątkowy dzień. Długo się zbierał, żeby z tatą gdzieś pojechać, a terazjechał Jaś, więc była wyjątkowa okazja. Mówię o tym, aby pokazać normalność człowieka, który będąc niepełnosprawnym, nie żyje jednak, patrząc na swoje życie przez pryzmat niepełnosprawności.



Fot. 4. Krystyna Mrugalska i Paweł Wdówik

W Polsce bardzo często patrzy się na niepełnosprawność przez pryzmat braków, które ona ze sobą niesie. I potem jesteśmy z siebie szalenie dumni, że rozwijamy modele dobroczynności, opiekuńczości, wsparcia itd., itp. To jest coś, co osobę niepełnosprawną, która chce normalnie żyć, strasznie ogranicza i w niektórych momentach strasznie boli. Pamiętam taką sytuację, jak umówiłem się z ludźmi z duszpasterstwa akademickiego z Wrocławia, że się spotkamy w Małym Cichym, w parafii przy kościele, który też jest prowadzony przez O. O. Dominikanów. Jechałem z Warszawy, oni jechali z Wrocławia. Przyjechałem do Zakopanego, nie było żadnego autobusu, deszcz lał jak z cebra, na szczęście znalazł się ktoś, kto jechał w tamtą stronę i mnie podrzucił. Kiedy tam dotarłem, ojciec dominikanin, którego imienia nie wymienię przez grzeczność, powiedział na mój widok: „W pana sytuacji to trzeba w domu siedzieć, a nie ludziom problem robić. Co ja teraz mam z panem zrobić na tej parafii?” Mówię, że zaraz przyjadą ludzie z duszpasterstwa. „A co oni z panem zrobią?”

Jest to klimat tym bardziej bolesny, że niestety w bardzo istotny sposób rozwijany przez Kościół. Jesteśmy tutaj w swoim własnym gronie, dlatego o tych rzeczach mówię dosyć otwarcie, jako czło-



Fot. 5. Paweł Wdólik z synkami Jasiem i Franiem

wiek, który się mocno identyfikuje z Kościołem katolickim, choćby przez to, że pracuję w dawnym Radio Józef, a obecnie od dwóch tygodni w Radio Plus Warszawa.

Jesteśmy z żoną od pięciu lat we wspólnocie Neokatechumenalnej i to jakoś określa naszą tożsamość. Chcę jednak powiedzieć, że, to co robi Kościół katolicki w Polsce, jest w wielu momentach krzywdzące dla wielu osób z taką niesprawnością, która nie wymaga specjalnej troski i gestów czasami wręcz upokarzających dla osób niepełnosprawnych.

Pamiętam taki film w TV z jubileuszowej pielgrzymki w 2000 roku. Nazywał się „Jubileuszowa Pielgrzymka Niepełnosprawnych”. Nie osób, żeby było jasne! Najczęściej osoba niepełnosprawna nie jest osobą, lecz „niepełnosprawną”. Wszyscy to powtarzają, bo tak mówią media. Więc ta pielgrzymka osób niepełnosprawnych wyglądała tak, że dotarto do niepełnosprawnych według wskazówek proboszczów, powyciągało się ich z domów, zebrało się wolontariuszy i całe towarzystwo załadowało do pociągu, aby zawieźć do Rzymu. Był to bardzo dobry wyciskacz łez, bo wszyscy byli szczęśliwi, śpiewali przy akompaniamencie wolontariuszy grających na gitarach. Jednym słowem, było super!

Potem wszyscy powrócili do domów. Niepełnosprawni płakali, że teraz znowu wracają w swoje cztery ściany, a organizacje katolickie były z siebie szalenie dumne. Trudno mi było zrozumieć, dlaczego nie zrobiono tak, aby tych ludzi włączyć do pielgrzymek parafialnych, gdzie każdy jechałby w swoim środowisku. Dawało to szansę, że parafia, znając ograniczenia swojego parafianina, od tego momentu mogłaby mu na przykład organizować udział we Mszy św. niedzielnej.

Ewangelia jasno mówi, jaki powinien być układ. Paralityka przyniosło czterech. Nie wystarczy jeden wolontariusz, który jednocześnie pomoże osobie niepełnosprawnej, za to musi odpowiadać jakaś społeczność. Kościół się od tego w fatalny sposób wykręca, na dodatek budując w sobie przekonanie, jacy to jesteśmy świetni. Proszę popatrzeć na różne organizacje pomocowe, które potem w telewizji takiej lub innej, lub w gazetce parafialnej piszą jaką to akcję zrobiły. Nie chodzi o akcję, ale o to, abyśmy byli normalnym społeczeństwem, w którym każdy człowiek czuje się pełnowartościowy. Przyjechałem tutaj z moimi chłopakami, ponieważ żyję w przekonaniu, że jestem normalnym facetem, którego stać nie tylko na spłodzenie trójki dzieci, ale jeszcze na ich wychowywanie. Nie wymagam od państwa, aby zafundowało mi niańkę, która wychowa moje dzieci. Domagam się natomiast, aby państwo, wszystkie instytucje, cały układ społeczny, w którym funkcjonujemy, znało moje prawa.

Proszę zobaczyć, co się dzieje w edukacji, bo to mój konik. Cały czas się mówi, że szkoły nie są przygotowane. Spytałem się, ilu macie na waszej uczelni studentów niepełnosprawnych? Troje, a powinno być 2-3 procent! Taki jest rozkład statystyczny. W grupie wiekowej 19-24 lata mamy 2 do 3% osób niepełnosprawnych. Na Uniwersytecie Warszawskim, gdy zaczynałem pracę jako Pełnomocnik Rektora ds. Osób Niepełnosprawnych, na 50 tysięcy studentów mieliśmy 50 studentów niepełnosprawnych. To był jeden promil! Po dwunastu latach mamy ponad tysiąc (!) studentów niepełnosprawnych, czyli 1,5%. Brakuje nam do odzwierciedlenia statystycznej średniej drugie tyle! Co zrobił Uniwersytet Warszawski? Przede wszystkim zdecydował, że osoba niepełnosprawna jest normalnym obywatelem, czyli ma prawo studiować. Nie pytamy, czy jesteśmy przygotowani, lecz gdy zda egzamin wstępny, to jest przyjmowany. Potem Uniwersytet wyciąga pieniądze z różnych źródeł, aby stwo-

rzyć odpowiednie warunki. Jedyne, co jest ważne to, że ta osoba ma te same obowiązki, ale także te same prawa.

Patrzmy na niepełnosprawność jako na pewną inność. Gdy człowiek nie może wejść na drugie piętro, to nie jest jego problem. Jest to problem nasz wspólny. Nie polega on na tym, że tak się nieszczęśliwie zdarzyło, że masz sparaliżowane nogi, ale tak się nieszczęśliwie zdarzyło, że ten budynek niestety nie ma windy. Kto jest za to odpowiedzialny? Być może Pan Bóg, ale z całą pewnością też ludzie. Dopiero taki punkt widzenia, gdy zaczniemy spostrzegać, że niepełnosprawność nie siedzi w człowieku, lecz jest pewną interakcją. Nie jest ubytkiem, ale interakcją, która czasem daje negatywne skutki, wtedy kiedy środowisko nie jest przystosowane. Zmiana czasem dotyczy osoby, czasem środowiska. Kiedy przyjeżdża człowiek na wózku do pałacu Kazimierzowskiego, czyli siedzi by władz Uniwersytetu Warszawskiego, to dziesięć lat temu nie był w stanie spotkać się z rektorem. Rektor schodził do niego na dół. Część rektorów myślała, że problem jest w tym człowieku, w jego niepełnosprawności. Gdyby siedział w zakładzie pracy chronionej, nie miałby tego problemu, że chce wejść na górę. Teraz może już wjechać na drugie piętro, spotkać się z tym lub innym rektorem i nie pamiętają obaj, że wcześniej barierą był wózek inwalidzki. Niepełnosprawność nie boli dopóty, dopóki nie zderzy się z jakąś barierą w środowisku.

Nie jestem zwolennikiem tak ekstremalnych rozwiązań, jak w Rumuni, gdzie 15 października w Międzynarodowy Dzień Osób Niewidomych zorganizowano wielką demonstrację przed Parlamentem z białymi laskami, żeby domagać się normalnego traktowania, właśnie w wymiarze społecznym. Nie opieki, ale prawa do normalnego traktowania, tzn. prawa do bezpiecznego poruszania się, do kształcenia się w normalnych szkołach.

Uważam, że dużo zmienia się na plus. Równocześnie trzeba mówić o tym, gdzie nie widać zmian na lepsze. Naprawdę fatalnie jest w edukacji. Polski system oświatowy jest systemem dyskryminującym, gdzie dochodzi do ewidentnej dyskryminacji osób niepełnosprawnych. Prawo mówi, że rodzice mogą wybierać dla dziecka szkołę, jaką chcą, a szkoła ma obowiązek zapewnić wszystkie rozwiązania, aby to dziecko uczyło się na równych prawach, uczyło się tego samego i na tym samym poziomie. Praktyka jest jednak inna.

Gdy dziecko niewidome pojawi się w szkole ogólnodostępnej, to dyrektor zrobi wszystko, żeby skierować to dziecko do szkoły specjalnej. Jeżeli jednak rodzice się uprą, to dyrektor nie zrobi nic, żeby temu dziecku zapewnić odpowiednie warunki. Tak się dzieje najczęściej. Oczywiście są wyjątki, ale dyrektorów, którzy coś robią i starają się zmienić sytuację, jest garstka. Są to najczęściej pasjonaci, którzy rozpoznają godność również w osobie niepełnosprawnej.

Ks. Adam Zelga

Spotykałem się ostatnio z ludźmi, którzy pracują z dziećmi autystycznymi. Jest to ogromny dramat, bo części dzieci autystycznych nie chce nikt. Część z nich sprawdza się w szkołach integracyjnych, część w szkołach specjalnych, ale jest duża część dzieci, dla których nie ma miejsca ani w szkołach specjalnych, bo są za dobre, ani w szkołach integracyjnych, bo są za słabe. Jest więc nisza, ale i ogromna niechęć społeczeństwa, a ze strony oświaty brak pomysłów na jakieś rozwiązanie tych problemów.

Krystyna Mrugańska

Chcę podziękować Pawłowi za życzliwe słowa. Nasza rzeczywistość jest wspólna, bo ja wprawdzie zajmuję się upośledzeniem umysłowym jako rodzajem niepełnosprawności i o tym będę dalej mówić, ale również po wielu latach pracy na rzecz upośledzenia umysłowego założyłam organizację, która nazywa się Polskie Forum Osób Niepełnosprawnych. Forum zrzesza organizacje ludzi o różnych rodzajach niepełnosprawności, a więc niewidzących, głuchych, niesprawnych ruchowo, a także rodziców osób z niepełnosprawnością intelektualną. Widzę doskonale, że każdy postęp, który się udaje wywalczyć w każdym rodzaju niepełnosprawności, jest dziełem takich zdeterminowanych ludzi jak Paweł. Żadna zmiana polegająca na godnym, normalnym życiu osoby niepełnosprawnej sama nie przychodzi.

Paweł był pierwszym człowiekiem niewidomym, który zaczął krzyczeć, że to jest dyskryminacja, gdy ludzie niepełnosprawni nie mogą się dostać do szkół wyższych. Mówiło się, że oni nie pojawiają się na rynku pracy, bo nie mają kwalifikacji, a przecież nie mają kwalifikacji, bo się nie dostają na wyższe uczelnie i nie mogą studiować. To są naczynia połączone. Jeśli nie zrobi się kroku w jednej dziedzinie, to druga już jest niedostępna.

Teraz mam mówić o swojej dziedzinie, przy czym muszę się zastrzec, że mam taką wypracowaną filozofię przez czterdzieści osiem lat, że o sobie nie mówię, ponieważ ważne jest tylko to, co robię. Mogłoby się tak zdarzyć, że gdybym mówiła o sobie i o swojej sprawie, to ludzie by powiedzieli, że robi to w gruncie rzeczy dla siebie, bo ma taki problem. A może zdarzyłoby się, że znaleźliby się ludzie litościwi, którzy by mi współczuli i w efekcie nie uzyskałabym rzeczowej relacji, o którą mi chodzi, nastawionej na czyn, tylko spotkałabym się z litością i współczuciem. Może nawet ludzie ci byliby przekonani, że zrobili wszystko, co trzeba i co można.

Swoje świadectwo postaram się powiedzieć krótko. Otóż w 1960 roku mnie i mojemu mężowi, który był pracownikiem naukowym Politechniki Warszawskiej, a ja właśnie skończyłam studia muzyczne, urodził się syn. Wkrótce okazało się, że ma bardzo ciężki uraz okołoporodowy mózgu. Całe życie był głęboko upośledzony umysłowo, nawet sam nie siedział i był niewidomy. Wobec tego miałam doświadczenia z kilku rodzajów niepełnosprawności. Tak się zdarzyło, że zanim nasz Grześ się urodził, interesowałam mnie niepełnosprawność jako problem.

Jeszcze w czasie studiowania w szkole muzycznej jeździłam do Lasek i prowadziłam tam zajęcia ruchowe z muzyką dla grupy dzieci niewidomych i jednocześnie upośledzonych umysłowo. To sprzężenie problemów występowało u niektórych uczniów w Laskach, a nie było osób, które umiały prowadzić takie zajęcia. Pracę tę przerwałam, gdy byłam w połowie ciąży.

Gdy urodził się mój syn i okazało się, że jest niepełnosprawny, do głowy nam z mężem nie przyszło, żeby rozpaczać i pytać Pana Boga i ludzi, a dlaczego nas to spotkało?

Myśmy sobie nie zadawali takich pytań, ponieważ tak się szczęśliwie złożyło, że oboje mamy do życia nastawienie zadaniowe. To znaczy, uważamy, że każdemu się w życiu przytrafia i dobro i zło. I jak się już przytrafia, to widocznie takie było zamierzenie



Fot. 6. Krystyna Mrugańska

Boga. Trzeba wtedy rozpoznać, co to dla nas znaczy i co potrafimy z tym zrobić. Zarówno zadanie w stosunku do osoby, w naszym przypadku dla naszego syna, jak i szerzej – dla dobra wspólnego.

Nasz syn wymagał bardzo dużo opieki. Sam nie zrobił żadnej świadomej czynności przy samoobsłudze. W ogóle nie miał takiej świadomości. Leżał i nie mówił. Bardzo szybko zorientowaliśmy się, że w pewnych sytuacjach mamy z nim kapitalny kontakt i że ten kontakt to szczęście dla niego, to cały świat i najważniejsza sprawa. Nie zgadzam się z opiniami – „wie pani to są przecież warzywa, to są rośliny, to co my tutaj będziemy robić.” Zdarzało się, że mówiły to osoby znajdujące się na bardzo wysokim świeczniku moralnym, które czerpały samozadowolenie i sławę z tego, że coś robiły dla niepełnosprawnych.

Ten kontakt z osobą głębiej niepełnosprawną uzyskuje się przez bycie blisko niej, nawet bez słów. Przez bycie razem, przez trzymanie się za rękę i mówienie, mimo że – być może – bardzo niewiele słów jest zrozumianych. Jest jednak świadomość, że mówię do ciebie i ty dajesz mi sygnał, że to odbierasz i jesteśmy razem, kochamy się. Intonacja głosu, rytm mowy, powtarzane słowa, kontakt – to bardzo ważne elementy relacji warte zachodu.

Nasz syn, na przykład, miał swoje ulubione kolędy, rozróżniał melodię hymnu polskiego i marsylianki, próbował towarzyszyć „mruczando” różnym melodiom, m.in. granym przez męża na ustnej harmonijce.

W 1963 roku, gdy nasz syn miał trzy lata, w mediach, a macie Państwo świadomość, jaki to był ustrój i jakie czasy, pojawiła się informacja, że rodzice z Warszawy, małżeństwo Ewa i Roman Garliccy chcą się skontaktować z innymi rodzicami, którzy też mają dzieci niepełnosprawne. Państwo Garliccy mieli dorosłą już córkę z zespołem Downa. Zaczęli zakładać organizację. Chcieli, żeby powstał związek rodziców analogiczny do Związku Niewidomych i Związku Głuchych. Ale władze na szczęblu wicepremiera zdecydowały, że to nie jest możliwe, bowiem patologia społeczna nie ma prawa istnieć w ustroju ogólnej szczęśliwości i nie ma prawa mieć reprezentacji. Powiedzieli, że „ponieważ jesteście rodzicami to możecie coś dla swoich dzieci robić, wybierzcie sobie organizację, która jest już koncesjonowana. Przy niej możecie działać”. I tak włączyłam się w budowanie i rozwój organizacji rodziców, najpierw ja-

ko sekretarz, potem wiceprezes, a wreszcie jako prezes – już w wolnej Polsce. Przez 30 lat była to jedyna w Polsce tego typu organizacja rodziców.

Przejrzelśmy statuty trzech organizacji. Polski Czerwony Krzyż nam nie odpowiadał, bo nie chcieliśmy, aby upośledzenie umysłowe kojarzyło się z katastrofą, trzęsieniem ziemi, z zarazą, epidemią i wojną. Towarzystwo Walki z Kalectwem nas nie chciało, bo nie chciało rodziców, a Towarzystwo Przyjaciół Dzieci w statucie dawało możliwość od razu pracy organicznej, czyli organizowania wycieczek, kolonii, świetlic. Po wstępnej rozmowie z władzami usłyszeliśmy, że możemy robić to, co uważamy za słuszne dla swoich dzieci, korzystając z wszystkiego, co TPD ma do zaoferowania, a tym czymś były przede wszystkim źródła finansowania, które TPD miało do dyspozycji, oraz legalność tworzenia kół rodziców w terenie.

Organizacja rodziców zaczęła ustalać, co chce zrobić dla swoich dzieci. Wiedzieliśmy, że dzieci, ale i dorośli głębiej upośledzeni umysłowo, siedzą w domach i nie mają żadnych kontaktów z innymi ludźmi, pomocy medycznej ani edukacji. Dla państwa i dla społeczeństwa osoby te nie istniały. Pamiętam dramatyczne wystąpienie starszego już ojca, mieszkającego w śródmieściu, który powiedział, że wychodzi z synem na spacer na ulicę Miodową w nocy. Czynił tak, ponieważ nie było w tym czasie akceptacji społecznej dla osób upośledzonych umysłowo. Rodzice byli posądzani o choroby weneryczne, niemoralne prowadzenie się i to, że urodziło się takie dziecko, było uznawane za ich winę i karę za grzechy.

To, co robiliśmy przez wszystkie lata, miało dać szansę dzieciom i dorosłym z niepełnosprawnością intelektualną, żeby byli równouprawnionymi członkami społeczeństwa, jak inni. Staraliśmy się zmieniać społeczny wizerunek tych osób. Ten smutny wizerunek wynikał ze stereotypu, że jest to kara za grzechy oraz że ludzie ci niczego się nie uczą, bo nie są w stanie, że są niebezpieczni i wobec tego postawy ludzi charakteryzowały się bardzo znacznym dystansem społecznym. Mówiono: „Nie chcemy mieć takich sąsiadów. Nie chcemy, żeby nasze dziecko z takim chodziło do szkoły. Nie chcemy żeby razem pracowali. Nie chcemy, żeby się razem bawili w piaskownicy. Nic nie chcemy! Niech siedzą zamknięci w domach rodzinnych albo w domach pomocy społecz-

nej.” Zdarzało się, że księża wypraszała z kościoła rodzinę z takim dzieckiem czy całą grupę niepełnosprawnych i ich opiekunów, odmawiali sakramentów.

Chcieliśmy przekonać ludzi, że ten stereotyp jest nieprawdziwy, że są to ludzie mili, przewidywalni, uczciwi, dobrzy, którzy pragną kochać i potrafią kochać, i chcą być użyteczni i pracowici, tylko tę pracę trzeba im dać. Z satysfakcją muszę stwierdzić po czterdziestu sześciu latach istnienia naszej organizacji – najpierw w ramach TPD jako „Ruch Pomocy Dzieciom Specjalnej Troski”, a od 1991 roku jako samodzielnej organizacji o nazwie „Polskie Stowarzyszenie na Rzecz Osób z Upośledzeniem Umysłowym” – trochę się zmieniło.

Myślę, że zmieniliśmy wizerunek osób upośledzonych u bardzo wielu ludzi. Poza tym wywalczyliśmy prawo do edukacji. Dzięki naszym naciskom państwo otworzyło pierwszą eksperymentalną szkołę, są teraz w systemie oświaty szkoły dla dzieci z umiarkowanym i znacznym stopniem niepełnosprawności. Jak powstawaliśmy, to tylko dzieci lekko upośledzone miały szkołę specjalną. Coraz więcej tych dzieci uczy się w szkołach integracyjnych, tworzyliśmy też przedszkola. Wywalczyliśmy po wielkiej kampanii, przełamując opór Ministerstwa, Sejmu i Senatu, prawo do edukacji dla osób głęboko upośledzonych, czyli takich jak mój syn.

Otworzyłam pierwszy w Polsce i jeden z pierwszych na świecie ośrodek wczesnej interwencji, czyli ośrodek diagnozowania i stymulowania rozwoju malutkich dzieci, nawet od niemowlęcia oraz wspierania rodziny, która jest w szoku, przerażona nie wie, co robić. W tej chwili w Polsce działa kilkadziesiąt takich ośrodków. Znowu nie możemy wywalczyć sposobu finansowania. Narodowy Fundusz Zdrowia tylko w części to finansuje. Jednym słowem, wciąż sprawa nie jest załatwiona. Otworzyliśmy też ośrodki przygotowania do pracy dla młodzieży, a teraz, dzięki unijnym pieniądzą, specjalne agencje pośrednictwa pracy o nazwie Centrum Doradztwa Zawodowego i Wspierania Osób Niepełnosprawnych Intelktualnie. Przeszliśmy przez te lata od całkowitej bierności, izolacji i braku jakichkolwiek szans wejścia w społeczeństwo, po pracę, po mieszkalnictwo chronione w małych grupach, a nie w wielkich domach pomocy społecznej, gdzie nie ma żadnej indywidualnej

szansy na życie, intymność, samostanowienie, bo tam jest „hurto-we” życie, jak powiedział jeden z wrażliwych dyrektorów.

W tej chwili posuwamy się w kierunku uczenia osób upośledzonych bycia obywatelami. Świadomość bycia obywatelem jest oparta na tak gruntowym podłożu wartości, że życzyłyby sobie i wszystkim, żeby nasi parlamentarzyści czy politycy mieli świadomość, że są obywatelami i umieli odpowiedzieć na pytanie: Jakie z tego wypływają konsekwencje dla mnie i innych obywateli? Stworzyliśmy możliwości osobistego rozwoju i radości życia przez udział w tworzeniu i konsumowaniu kultury. To nie do wiary, ile osób niepełnosprawnych ma talenty i jak wzbogacają one świat.

Osoby z głębszym upośledzeniem mają trudności z czytaniem i pisanem. Wynaleziono więc na świecie tzw. tekst łatwy do czytania. W specjalny sposób przerabia się różnego rodzaju informacje. Opracowuje się broszurki w ramach edukacji ustawicznej, żeby oni mogli korzystać ze słowa pisanego, ale w taki sposób sformułowanego, żeby to nie było za trudne. Nagle się okazuje, że również ludzie starsi i ludzie bardzo zapracowani chętnie czytają ten łatwy tekst do czytania. Ponieważ nie mają czasu czytać całego dokumentu, to czytają tylko fragmenty mówiące o istocie sprawy, takie jakby podtytuły. Moje stowarzyszenie (PSOUU) systematycznie wydaje takie broszurki – również jako wkładki do kwartalnika „Społeczeństwo dla Wszystkich”.

Przygotowując się do dzisiejszego spotkania, zauważyłam w tytule wyraz „...dostrzec”, „czy dostrzegam osobę słabszą”. Co znaczy „dostrzegam”? Jestem dość dociekliwa. Wolę sformułować to inaczej: „odróżniam” wśród ludzi mnie otaczających, tzn. wskazuję, że to jest ktoś inny. Czy mi to wystarcza? Nie. To kłóci się z moim zadaniowym podejściem do życia. Uważam, że dostrzeganie to nie jest nawet absolutne minimum. Lepiej brzmiałoby – zauważam. Zauważanie niesie ze sobą jakieś zobowiązanie w stosunku do tej osoby. To obdarzanie uwagą, co zobowiązuje.

Czy dostrzegam osobę słabszą? Jest to kwestia systemu wartości, jaki wyznaję. Jak oceniam wartość człowieka, czy czynię to pod kątem wyłącznie przydatności lub zagrożenia dla mnie samej. Wówczas byłoby to podejściem całkowicie przedmiotowym. Niedawno były robione badania na temat podejścia wybranej grupy ludzi do osób o upośledzeniu umysłowym. Okazuje się, że większość

tych, którzy nie chcieli mieszkać blisko osób upośledzonych, mówiło: „lękam się ich, oni są nieprzewidywalni”. Inne podejście, które jest moim ideałem, to zauważanie, co tej osobie można dać od siebie, żeby wyrównać jej szanse na rozwój, poczucie sensu życia, które przynosi dawanie czegoś innym.

Czytałam wczoraj książkę Tischnera o człowieku i w niej ulubiony temat autora – czyn. Postrzegam słabszą osobę jako tę, która może mnie potrzebować, nie dlatego, żebym się psychicznie lepiej poczuła, że jestem taka dobra, bliższa Panu Bogu, ale dlatego, że ten człowiek słabszy ma prawo do rozwoju. Jeżeli mu pomogę, stworzę jakieś warunki, żeby mógł zrobić krok do przodu, to wtedy nie tylko go zauważam, lecz włączam się czynem, aby dać mu szansę rozwoju, do którego mają wszyscy prawo z tytułu tego, że są ludźmi. Tischner napisał tak: „Czyn to jest doświadczenie wartości”. W etyce wartością jest drugi człowiek. Wartością jestem ja sam. I wartościami są rozmaite płaszczyzny obcowania człowieka z człowiekiem. Jeżeli to dostrzeżenie będzie sprzężone z czynem, to możemy powiedzieć wtedy, że zrobiliśmy coś dla drugiego człowieka. Uważam jednak, że podejście czysto charytatywne, że da się cukierka, pogłaszcze, zrobi koncert na rzecz tych osób, to zbyt mało. To nie ułatwia uznania, że wszyscy są równi w swojej inności, bo każdy ma prawo się różnić, ale też ma prawo do równych szans.

Na koniec chcę opowiedzieć dwie historie. Pierwsza dotyczy zakładania grupowego mieszkania w Warszawie, w którym mieszka dziewięć osób głębiej upośledzonych. Jest to prawdziwe mieszkanie, prawdziwy dom i życie rodzinne. Zastanawialiśmy się, co się stanie, gdy te osoby z biegiem lat będą się starzeć, będą chorować i jeżeli stan jednej z nich będzie wymagał takiej pielęgnacji, której nie będzie można zapewnić w tym domu. Wtedy będziemy szukać odpowiedniej placówki – stwierdziliśmy. Tak się zdarzyło, że pan Wiesio z zespołem Downa zachorował na alzheimera. Jest to dość częste połączenie, bo obie choroby są ulokowane na tej samej parze chromosomów. Wiesio tracił sprawności życiowe z dnia na dzień i zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie nadeszła pora, aby przenieść go do odpowiedniej placówki. Wtedy te osiem osób upośledzonych w czasie dyskusji rodzinnej orzekło, że Wiesia nie oddadzą, bo nikt Wiesia tak nie zrozumie jak oni sami i wtedy będzie on nieszczęśliwy. On tutaj będzie do końca życia. I Wiesio poszedł do szpitala

na dwa dni przed śmiercią, ponieważ potrzebny był tlen. Wszyscy mieszkańcy przy Wiesiu dyżurowali według ustalonego planu. Ordynator oddziału powiedział, że jeszcze mu się nie trafił taki umierający, który byłby pod tak czułą opieką i miał zapewnione takie wsparcie i miłość.

I drugie zdarzenie. Bardzo niedawno temu zmarła moja najbliższa współpracownica w Stowarzyszeniu, pani Teresa Dłuska, matka 50-letniego niepełnosprawnego syna, która prowadziła Koło warszawskie. To wszystko, co dzieje się w Warszawie, to jej zasługa. Pani Teresa została w dzieciństwie wywieziona z Wołynia na Syberię. Mając 11 lat, była opiekunką czworga młodszych dzieci, bo rodzice zmarli. Od przeszło 40 lat współpracowałyśmy. Odwiedziłam ją na dwa dni przed jej śmiercią. Na czas rozmowy ze mną odzyskała przytomność. Powiedziała do mnie: „zobacz, tak nas Pan Bóg obdarzył. Tyle udało nam się zrobić”. Myślę, że umieranie z taką świadomością jest naprawdę wielkim darem, chociaż życie jest trudne i jeszcze jest wiele do zrobienia.

Czterdzieści pięć lat temu wypracowaliśmy logo i hasło stowarzyszenia. Hasło brzmiało. „Otwórzmy przed nimi życie”. Wtedy to hasło było rewolucją. To był 1964 rok. Podejście do niepełnosprawnych było takie, jak mówił Paweł. Jeden z polityków ze Śląska powiedział: „Kupcie młotek i wybijcie sobie z głowy, żeby wasze dzieci jeździły na kolonie. One nie potrzebują świeżego powietrza.” Od tamtej pory bardzo dużo się zmieniło. Ale jeżeli uzyskujemy widoczne rezultaty, szybko okazuje się, że osoby upośledzone, które osiągnęły określony postęp, potrzebują otwierania następnych drzwi. Jest to proces nieustanny. Osiągnięcie każdego poziomu wymaga otwierania nowych szans, bo niepełnosprawni potrafią z nich skorzystać. Na koniec zacytuję wypowiedzi dwóch mężczyzn upośledzonych umysłowo: „Jak człowiek pracuje, to mówią do niego proszę pana”. A drugi mówi: „Jak człowiek pracuje, to go szanują”. Nie trzeba mieć doktoratu i profesury, żeby zobaczyć, na czym polega praca jako źródło prestiżu i źródło poczucia osobistej wartości.

Rafał Strent

My się z tu obecnym panem Pawłem znamy od dawna, choć on zapewne o tym nie wie. Pracujemy naprzeciw siebie na Krakow-

skim Przedmieściu i widzę go często. Jechaliśmy kiedyś pociągiem do Wrocławia i przegadaliśmy całą drogę. Niesłuchanie miło to wspominam. Mam dla niego wielki szacunek.

Chciałbym się z Państwem podzielić pewnym doświadczeniem. Zaproszono mnie kiedyś do Brighton University, jako „visiting professor.” Zasada pracy polegała na tym, że studenci wiedzieli wcześniej, że przyjedzie ktoś z „dzikiego” Wschodu i będzie z nim można porozmawiać o różnych rzeczach i wspólnie popracować. Pośród studentów, którzy zgłosili się do współpracy, była kobieta urodzona po talidomidzie w latach sześćdziesiątych. Był to środek uspakajający, który zażywany przez kobiety w ciąży powodował, że dzieci rodziły się z różnymi dysfunkcjami narządów ruchu. Kobieta, o której mówię, miała szczątkowe nogi i ręce. Nie mogła sama funkcjonować. Lekarze dorobili jej protezy, mimo tego głowę nosiła na wysokości metra. Spędziłem z nią najwięcej czasu. Przegadaliśmy mnóstwo godzin. Studiowała na wydziale artystycznym i malowała za pomocą ust. Próbowala być równie sprawna, jak była wrażliwa i mądra.

O czym jeszcze warto powiedzieć. Dla tej jednej kobiety przebudowano cały budynek Uniwersytetu. Zbudowano windę, która miała obok pionowych guzików drugi ich ciąg ułożony poziomo, dzięki czemu mogła, naciskając nosem, wybrać odpowiednie piętro. Szkoła zatrudniła Hiszpankę, która ją przywoziła, ucząc jednocześnie języka. W szkole miała dostęp do wszystkich możliwych urządzeń. Miała specjalnie przystosowaną klawiaturę komputera, którą mogła obsługiwać za pomocą nosa. Klamki zamieniono na takie, które mogła otwierać brodą. To było dla mnie niesłuchane, że tyle uczyniono dla jednej osoby.

Kilka lat temu znalazłem w jednej z naszych gazet artykuł o tej kobiecie. Czytałem go autentycznie wzruszony, bo ona ułożyła sobie życie, również osobiste. Wyszła za mąż za człowieka, który był również urodzony po talidomidzie.

W mojej uczelni kolejnym rektorom przypominam, że jest to moralny obowiązek przystosowania budynku dla potrzeb osób niepełnosprawnych. Pan Paweł przekonał rektora Uniwersytetu Warszawskiego i może się z nim, on sam i jego podopieczni, kontaktować bez problemu.

Myślę, że trzeba politykom przede wszystkim, ale i studentom architektury wprowadzić do programów obowiązek uczestniczenia



**Fot. 7. Od lewej: ks. Adam Zelga, Rafał Strent
i Jarosław Kalinowski**

w spotkaniach dotyczących osób niepełnosprawnych, aby się zorientowali, do ilu miejsc nie mogą dziś dotrzeć ludzie niesprawni ruchowo. To nie jest ich wybór, że mają taką lub inną dysfunkcję, ale my wszyscy, w pełni sprawni możemy zmniejszyć ich życiowe ograniczenia. Przypadek pani Mrugalskiej dowodzi, że zrobiła bardzo wiele dobrego dzięki doświadczeniu osobistemu. To samo pan Paweł, który mając świadomość, że jest takim samym człowiekiem jak my wszyscy, miał odwagę i siłę, żeby walczyć o bliźnich.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Wysłuchaliśmy wystąpień ogromnie ciekawych dla nas, ludzi, którzy nie mają takich doświadczeń, a chcą zauważać osoby słabsze. Myślę, że niezwykle ważne jest po prostu dobre wychowanie i zauważanie drugiego człowieka właśnie poprzez zasady dobrego wychowania. Jest to forma realizacji miłości bliźniego. Anglicy nazywają dobrze wychowanego człowieka „gentleman” – dosłownie „człowiek delikatny”. Dam przykład. Gdy ktoś wychodzi przez drzwi i puszcza te drzwi, nie zwracając uwagi, że ktoś idzie za nim, to nie jest dobrze wychowany. Każdy z nas to powie. Gdy jednak się odwróci i przytrzyma drzwi, a w autobusie wstanie i ustąpi miejsca słabszemu, to dobrze o nim świadczy. Życie codzienne dostarcza wielu przykładów, kiedy nie zauważamy drugiego człowieka. Nawet nie umiemy się do niego uśmiechnąć. Mamy z moim mężem doświadczenia z Europy Zachodniej, gdzie jest częsty kontakt przez uśmiech, między całkowicie nieznanymi ludźmi, co jest szalenie sympatyczne. U nas boimy się uśmiechu, boimy się zareagować uśmiechem do drugiej osoby, miłym słowem. Brakuje nam tego w wychowaniu. Myślę, że dobre wychowanie to jest to minimum w zauważaniu drugiego człowieka, tego słabszego, po prostu drugiego człowieka.

Obawy przed jakimkolwiek kontaktem z drugim człowiekiem były wyraźnie widoczne w Polsce, gdy w liturgii Mszy świętej wprowadzono znak pokoju przez podanie sąsiadom ręki. Widzieliśmy wtedy wśród ludzi w kościele nie tylko brak tego gestu, ale nawet jakiegokolwiek miłego zwrócenia się ku sąsiadowi. Wymagało to wielu lat, aby ten gest wszedł w zwyczaj. Nie zdajemy sobie często sprawy, jak ten szczegół liturgii wpływa na właściwe kształtowanie naszych wzajemnych relacji i wprowadza ważny element do naszego wychowania.

Bogdan Motelski

Nawiążę do tego, co mówiła Pani Profesor o wychowaniu. Można się podpisać pod tym dwiema rękoma. Ale żeby wychować, rodzice muszą mieć na to czas. Nie można zabierać dzieci rodzicom do ze-

**Fot. 8. Słuchacze**

rówki, jak będzie miało pięć albo cztery lata. Trzeba dać czas na dzieciństwo. Czytałem w gazecie kilka dni temu sformułowanie, że dzieci wyrażają rodzicom wdzięczność za to, że posyłali je do żłobka i wdzięczność w ten sposób, że sami posyłają rodziców do domu starców. Kto z nas młodych ludzi myśli o tym, że gdy będzie stary, to pójdzie do domu starców. Może to jest drastyczne sformułowanie, ale popatrzmy, że to, że dziecko idzie do żłobka, mając pięć lat nie zależy od rodziców, ale od tego, co politycy – posłowie i senatorowie wymyślą. Trzeba ich odpowiednio wybierać. To jest w naszych rękach. Jeżeli oni będą w ten sposób działać, to będzie więcej ludzi niepełnosprawnych w starości, którzy będą wymagali opieki społeczeństwa, a ta oczywiście kosztuje. Myślę, że stać społeczeństwo polskie na opiekę nad ludźmi niepełnosprawnymi, natomiast nie stać nas na wytwarzanie ludzi niepełnosprawnych.

Odniosę się jeszcze do urzędników. Powszechnie panuje opinia, że urzędnicy odnoszą się bezdusznie do ludzi starych. Urzędnik ma obowiązek stosować przepisy, niezależnie od tego, jakie są. Kto je zaś ustala? Znowu ci sami posłowie i senatorowie. Wybierajmy świadomie!

Magda Oszajca

Chciałabym podzielić się swoim doświadczeniem. Spotkałam w swoim życiu kapłana, który po dziesięciu latach odzyskał wzrok. Wcześniej był, właściwie wciąż jest, osobą niepełnosprawną. Od tego kapłana doświadczyłam dobroci i miłości Pana Boga. Chciałabym powiedzieć, jak on dzisiaj funkcjonuje. Opowiadał mi historię swojego życia. Otóż przez jakiś czas starał się dostać do zakonu, chciał być kapłanem. W dwudziestu trzech zakonach mu odmówiono! Wreszcie w dwudziestym czwartym go przyjęli. Dzisiaj jest osobą chodzącą, choć ma rękę niesprawną i krótszą nogę. Był czas, że długo przebywał w domu, nie chodził, większość czasu leżał w łóżku. Wiem, że jest poetą i to wszystko, co przeżył, przelał na papier. Dzisiaj jest kierownikiem seminarium i wykonuje wiele funkcji, mimo że jest osobą niepełnosprawną. Organizuje dla osób niepełnosprawnych kolonie i wczasy połączone z rekolekcjami. Wiem, że w tym roku na te wakacje pojechało kilkadziesiąt osób. Byli tam wolontariusze i osoby uczestniczące w rekolekcjach.

Jest również druga sprawa, o której chciałam powiedzieć. Pochodzę z rodziny patologicznej. Mam ojca alkoholika. Problem alkoholizmu nie jest czymś łatwym. Czasem udaje się tak, jak mówił Pan Jarosław. Chcę natomiast powiedzieć z własnego doświadczenia, że jest to problem brutalny. Do dzisiaj mój ojciec pije. Dlatego jak słuchałam pana Jarosława, to pomyślałam – jakich ma on rodziców? Pewnie dobrych. Może dlatego jemu się udało.

Pani Krystyna powiedziała, że każdy w swoim życiu otrzymuje krzyż, czyli ciężar, który musi dźwigać. Jestem też w jakiś sposób niepełnosprawna, bo mam uraz kolana. Też cierpię, szczególnie trudne mam doświadczenia z dzieciństwa i to wszystko wpływa na moje obecne życie, choć tej mojej niepełnosprawności zewnętrznie nie widać. Dlatego nie pogodziłabym się z tym, że osoby niepełnosprawne są dzisiaj traktowane inaczej lub źle. Każdy człowiek w swoim życiu doświadcza jakiejś niepełnosprawności, krzyża i ciężaru, z którym na co dzień się boryka.

Elżbieta Pierścionek

Chcemy pomagać. Dostrzegamy ludzi, którzy czekają na pomoc. Najłatwiej jest oczywiście pomóc finansowo, to jest najprostsze. Dzięki Bogu mam taką sytuację, że mogę pomagać finansowo. Pomagam.

O tę pomoc, o której powiem nie proszono mnie. Po prostu wyszłam sama z inicjatywą. Wiem, że dzięki tej pomocy osoba, której pomagam, żyje, że ma nadzieję na życie. Teraz okazuje się, po czterech latach tej pomocy, że to nie wystarczy. Ta osoba prosi mnie o pomoc, której ja nie potrafię udzielić. Nie wiem, do kogo się zwrócić. Byłam u księdza proboszcza i to, co od niego dostałam, jest dla mnie wielkim wsparciem, ale nie mogę naprzykrzać się osobom, które nie znają potrzebującej, która jest z innej parafii, z prowincji. Tam jeszcze większa bieda, jeszcze gorzej, jeszcze trudniej. Jestem wdzięczna za to Konwersatorium, za to spotkanie z ludźmi, którzy opiekują się, którzy profesjonalnie pomagają chorym. Znam też przypadek z Mławy, którego nie chcę teraz opisywać. Jest to samotna matka z dzieckiem niepełnosprawnym. Dziecko urodziło się dwa lata temu. Jest chore genetycznie. Może znajdzie się ktoś, kto im pomoże.

Na temat postrzegania osób, które potrzebują pomocy, napisałam dwa krótkie wierszyki. Oto one:

Jezu, czy pamiętasz?

Przesuń się góro, ustąp, zawadzasz dziecku.
Jego matka chwyta się brzytwy,
Nie przestaje kochać.
Jak ci pomóc synku?
Jezu Wszechmogący, nie odmawiaj matce łaski,
Wszak jesteś nie tylko bogaty i szczodry w miłosierdzie
Ty też byłeś dzieckiem.

Jezu, czy pamiętasz?

Czy czasem wspominasz swoje ziemskie dzieciństwo?
Boże, to dziecko to też mały chłopczyk,
Czy go dostrzegasz?
Swoją jasną twarzyczkę zwraca ku pogodnemu niebu,
Czyżby czuł, że jesteś i czekał?

Boża Fundacja

Dziewczynka w niczym nie gorsza od ciebie
Wstaje w nocy i idzie dwa kilometry przez las



Fot. 9. Wśród słuchaczy Elżbieta Pięścioneł

Do drogi, z której zabierze ją gimbus.
 Dziewczyna w niczym nie gorsza od ciebie
 Zachorowała z dnia na dzień
 I przyjmuje chemioterapię.
 Kobieta w niczym nie gorsza od ciebie
 Ma potargane włosy, podbite oko i wybite zęby.
 Matka w niczym nie gorsza od ciebie
 Ma niecałe dwa euro
 Na przygotowanie obiadu dla trojga dzieci.
 Ludzie nie lepsi od ciebie
 Pomagają, wspierają, dają nadzieję.
 A ty, kowalu własnego szczęścia
 Czy masz już wszystko?
 Na pewno?

Kasia Kowaluk

Proponując komuś pomoc, trzeba pamiętać, że musi być ona chciana obustronnie. To znaczy musi być osoba, która chce udzielić pomocy, i druga, która tę pomoc chce przyjąć. Równocześnie trzeba pamiętać, że zdarzają się ludzie, którzy chcą naszą pomoc w jakimś stopniu wykorzystać. Nie możemy pomagać w sferach, w których ktoś powinien być samodzielny. Kiedyś usłyszałam ważne słowa

od osoby, której bardzo chciałam pomóc, bo była osobą niepełnosprawną fizycznie. Na moją propozycję powiedziała mi, że może to zrobić sama, a jak będzie potrzebowała pomocy, to poprosi.

Mam doświadczenia z mojego wcześniejszego wydziału, z pedagogiki na UW, gdzie studiuje wiele osób ruchowo niepełnosprawnych, dzięki ułatwieniom technicznym wprowadzonych przez uczelnię i gdzie jest normalna i naturalna wzajemna pomoc. Niestety nie na wszystkich wydziałach Uniwersytetu takie udogodnienia istnieją.

Kamila Łozowska

Jestem wdzięczna, że mogłam po raz pierwszy w życiu uczestniczyć w takim spotkaniu. Jestem pełna podziwu dla pana Pawła, który potrafi być ponad problemem swojego niewidzenia i mówić o nim otwarcie, pokazując, że warto walczyć o siebie i o inne osoby, które dzięki niepełnosprawności straciły kontakt z drugim człowiekiem. Dziękuję Panu, że potrafi Pan stawiać czoła trudnościom i pokazać ludziom niepełnosprawnym i nam także tutaj, że warto nie rezygnować w staraniach o normalne życie.

Paweł Wdówik

Nie traktuję swojego życia jako życia człowieka z problemem. Mam kilka problemów, o których mogę opowiedzieć. Na przykład, czasami nie jestem w stanie zapanować nad swoimi dziećmi. Dla mnie najważniejsze są te normalne problemy, ważniejsze niż to moje niewidzenie, które nie jest problemem.

Większość wypowiedzi Państwa dotyczy pomagania, a główne nasze przesłanie z panią Krystyną jest przekazanie Państwu, że podstawową sprawą jest normalne traktowanie niepełnosprawnych, tzn. przyznanie komuś, kto jest inny, tych samych praw, które sobie przyznaję i które mi się należą. Dlatego zawsze się nad tym pomaganiem zastanawiam, bo to jest strasznie krzywdzące i denerwujące, gdy ciągle ktoś chce mi pomagać. Jak potrzebuję pomocy, to powiem. Poza tym chcę normalnie funkcjonować i np. iść z kolegą na piwo.

Kiedyś poszedłem do baru na ul. Rakowieckiej, który jest przy kościele O. O Jezuitów. Namierzyłem na ucho, gdzie jest kasa i mówię do pani w kasie: „Chciałbym zjeść jakiś obiad.” „Tak? Dobrze. Dla pana to może pierożki z serkiem, a może ewentualnie pierożki z mięskiem, albo naleśniczki” – infantyлізуje na wejściu. Mó-

wię: „Poczekam, zastanowię się.” Przychodzi facet i prosi łososia i ziemniaki z wody. Pomyślałem – dlaczego pani mi o tym łososiu nie powiedziała? Mówię więc do niej: „Ja też poproszę łososia i ziemniaki z wody”. A ona: „Ale pan jest niepełnosprawny, z renty?” „Z jakiej renty – pytam się? O jakiej rencie my mówimy?” „Ale to kosztuje trzydzieści złotych!” „Proszę bardzo, tutaj mam stówę.” „Ale starczy panu do końca miesiąca?” Mówię – „Jestem normalnym facetem, który zarabia pieniądze i chce zjeść normalny obiad. Niechże pani zechce mnie normalnie traktować.” I to jest ten poziom. Trzeba się z tego wyleczyć.

Osoba niepełnosprawna jest jak każda inna, tyle że ma jakąś niesprawność, którą trzeba traktować jak cechę, a nie jak nieszczęście. Krzyż każdy z nas jakiś ma, jeżeli patrzy na życie przez ten pryzmat. I one są zupełnie nieporównywalne. Być może któraś z pań tu obecnych, zmagając się z krzyżem szukania faceta, bardziej cierpi niż ja. Więc nie mówmy o tych rzeczach w kategoriach krzyża, tylko w kategoriach różnorodności. Wiem, że to brzmi strasznie lewacko, ale fatalnie jest, gdy moje sprawy załatwiają feministki i geje, bo to się do tego sprowadza. Oni są najbardziej postępowi w rozwiązywaniu różnych problemów społecznych. A ja bym chciał, żeby to właśnie prawica i Kościół były tymi organizacjami, które idą do przodu, a nie ciągle funkcjonują w klimacie pochyleń, dobroczynności i spełniania dobrych uczynków. Chrzanić takie dobre uczynki, trzeba się wziąć w garść i zacząć traktować człowieka jak człowieka, a nie przedmiot do swojego dobrego samopoczucia.

Krystyna Mrugalska

Chciałabym jedno, a może dwa zdania dodać na temat pomagania. Po pierwsze, nie trzeba uważać, że każda osoba niepełnosprawna jest objęta tym samym stereotypem: biedny, niezaradny, samotny, pozbawiony szans, zamknięty itd. Dopóki się w ten sposób patrzy na każdą osobę niepełnosprawną, to nie bierze się pod uwagę indywidualnej sytuacji. W tej chwili pokolenie niepełnosprawnych w podeszłym wieku, ludzie, którzy żyli w epoce, kiedy nie było żadnych szans dla nich, siedzą w domach i są nieszczęśliwi. Natomiast młode pokolenie jest przekonane, że ma równe prawa z innymi ludźmi i powinno mieć wyrównane szanse. Czyli to nie ma być pomoc charytatywna, ale dawanie nowych możliwości. Nie tylko winda

stworzy te możliwości, gdyż osoby niesprawnych na wózkach, nie są jedynymi niepełnosprawnymi. Są też inne rodzaje niepełnosprawności, które mają odmienne bariery i inne sposoby wyrównywania szans.

Byłabym za tym, żebyśmy byli przygotowani na to, że gdy zauważamy osoby słabsze, potrafili postawić sobie pytanie, czy to jest rzeczywiście słabość czy tylko obecność barier, dla nich nie do pokonania, które jednak można usunąć. W gruncie rzeczy chodzi nam o zupełnie inny wizerunek osoby niepełnosprawnej i o inne myślenie o barierach i obowiązkach społeczeństwa. Osoba – równe prawa – wyrównywanie szans. Nie podejście charytatywne i eksponowanie cierpienia, lecz wspieranie osób niepełnosprawnych, aby mogły być maksymalnie samodzielne, niezależne i przeżywać swoją wartość.

Jarosław Kalinowski

Co to znaczy pomagać? Tak naprawdę – troszczyć się. To jest troska. I wielu ludzi daje wyraz tej swojej troski, ale czasami pomagają nieumiejętnie. To słyszać i to widzieć. Często odbieram w Ośrodku telefony i słyszę na ten temat wiele. Miesiąc temu miałem taką rozmowę. Dzwoniła matka alkoholika i pytała: „Co ja jeszcze mam zrobić, aby mu pomóc? Gotuję mu, sprzątam, piore, daję pieniądze, a on obiecuje i... ciągle pije. Co ja mam jeszcze robić?” Pytam się tej pani: „A ile Pani syn ma lat?” Pada odpowiedź – 48 lat. Więc dlaczego ma przestać pić, jeżeli od tylu lat nie jest odpowiedzialny za swoje życie?

Jestem wędkarzem i w perspektywie wędkowania warto odpowiedzieć na pytanie, czy dać człowiekowi rybę, czy nauczyć go wędkować? Lepsze jest to drugie. Ale to wcale nie jest łatwe. To, że nie piję, że zmieniłem całe swoje życie, to była najtrudniejsza rzecz dla mnie. Zmienić przyzwyczajenia, zmienić schematy. Ludziom bardzo trudno jest uwolnić się od swoich schematów postępowania, swoich schematów zachowania. Spotykam na ulicy proszących o pięćdziesiąt groszy na bułkę. Ja wiem, jaka to „bułka”. Nie dam tych pięćdziesięciu groszy. Mogę jedynie kupić tę bułkę. Ale czy Państwo nie dajecie tych pięćdziesięciu groszy? Odkąd mam trochę wiedzy o uzależnieniach, nie dołożyłem się do czyjegoś picia. Bułkę mogę kupić, nie ma sprawy.



Fot. 10. Jarosław Kalinowski

Żeby komuś tak naprawdę pomóc, to trzeba mieć ogromną wiedzę, bo nieumiejętnym pomaganiem można człowieka zrazić. Są ludzie, którzy chcą pomocy, ale jeszcze o tym nie wiedzą. Poprzez różne swoje działania manifestują, aby ich zauważyć. Opierają się jednak przed konkretną pomocą, przed jakąś terapią, przed wizytą u specjalisty. Widzę, ile błędów popełniają rodziny. Mówią – ty nie pij. On nie pije przez dwa tygodnie i oczekuje, że w tym czasie będą go nosić na rękach. A za co? Za to, że jest normalny i nic złego nie robi? Mówię to na podstawie swoich doświadczeń. Bo mnie też proszono – ty nie pij, jesteś takim wspaniałym człowiekiem, masz różne talenty, tylko nie pij. Pytam się, kto w tej dyskusji ma przewagę? Czy ten, który prosi, czy

proszony? To ja miałem przewagę.

Bardzo często ludzie, którzy mają jakiś problem, jakąś chorobę, uczą się manipulować otoczeniem. Jest to wpisane w niektóre choroby, np. uzależnienia. Często całe otoczenie postępuje w określony sposób, posługując się schematami. To jest to, o czym mówił pan Paweł. Zapewne z serca ta osoba w barze proponowała Panu pierożki. Trzeba mieć jednak trochę rozsądku, wiedzy i wyczucia.

Troszczyć się, to dla mnie jest tak naprawdę kochać. Troska to synonim miłości. Tylko troska powinna być rozumna. Czasami przychodzą do mnie różni ludzie z różnymi pomysłami. A ja każdego człowieka traktuję tak samo, z całym szacunkiem, który należy się każdemu, bez względu na to, jaki ma problem i na co choruje. Dla mnie to nieważne, czy ktoś, kto przychodzi do Ośrodka, ma cztery klasy szkoły podstawowej, czy jest księdzem profesorem, bo takiego pacjenta też mieliśmy. Każdy człowiek może się rozchorować i pobłądzić. Podobnie czyni cały nasz personel w Ośrodku. W większości mamy swoje osobiste doświadczenia i wiemy, jak to jest trudno prosić o pomoc, a później, jak jest trudno skorzystać z niej. Nieumiejętnym pomaganiem można wiele zaszkodzić. Cała moja rodzina przez lata chciała mi pomóc, ale tak naprawdę pomagała mi w kontynuowaniu moich zachowań i chroniła przed konse-

kwencjami. Dopiero w konfrontacji z rzeczywistością, gdy życie zaczęło mnie boleć, podjąłem decyzję, aby z tym coś zrobić. Dałem sobie szansę.

Krystyna Mrugalska

Część rodziców dzieci z różnymi rodzajami niepełnosprawności, w tym z upośledzeniem umysłowym jest nadopiekuńcza. Nadopiekuńczy rodzice ograniczają inicjatywę młodych osób niepełnosprawnych. Jeżeli wychowują ich w przekonaniu, że oni nic nie mogą, a rodzice są po to, żeby im pomagać, to takie osoby nie mając własnych doświadczeń, nie mają odwagi domagać się czegoś dla innych i dla siebie. Mimo jednak różnych trudności widać na szczęście stale zwiększanie się liczby niepełnosprawnych osób, które żądają dla siebie szans. Nie opieki, ale szans. Chcą być niezależni i samodzielni, uczestniczyć w życiu społecznym tak samo jak inni, a wspieranie ich w tym powinniśmy uznawać za swój obowiązek.

Jadwiga Jakubas-Przewłocka

Czy wobec tego występowanie z chęcią pomocy jest wskazane? Czy tylko w sytuacji, gdy ktoś o to poprosi?

Krystyna Mrugalska

Problem jest w tym, jak występować z propozycją pomocy i jakiego rodzaju pomoc będzie oferowana.

Paweł Wdówik

Gdy jechałem z dziećmi na dzisiejsze spotkanie, spotkałem „karnarów”, którzy kontrolowali bilety w autobusie. Powiedziałem: „Bardzo dobrze, że panowie są, bo pomogą mi bezpiecznie wysadzić dzieci”. Może uratowałem kogoś, kto nie miał biletu, bo oni już czekali grzecznie ze mną na przystanek, aby mi pomóc.

Monika Grzegorzółka (studentka)

Kiedy chodziłam do szkoły podstawowej miałam koleżankę w klasie, z której wyśmiewała się cała grupa, bo była biedna, źle się uczyła, nie umiała grać w siatkówkę, miała problem z wymową niektórych słów. Smutno mi było jak patrzyłam na jej rozpacz, starałam się z nią rozmawiać, jak inne dziewczyny w klasie tego nie widziały,

ale gdy tylko przechodziły obok nas, to szybciotko odchodziłam, by nie pomyślały, że z nią rozmawiałam. Nie chciałam się tak zachowywać, było mi smutno z tego powodu, cierpiałam, ale bałam się, że jeśli ktoś zauważy moją sympatię, którą obdarzyłam Karolinę, to i mnie zaczął traktować podobnie, bo przecież też byłam z biednej rodziny, w której tato nadużywał alkoholu. Bardzo lubiłam Karolinę, chciałam być blisko niej, wspierać ją, przyjaźnić, ale strach przed grupą był tak silny, że nie potrafiłam tego zrobić. Cieszyłam się, że nikt mi nie dokucza i w tym spokoju żyłam z dnia na dzień. Lecz pewnego dnia coś we mnie pękło! Zobaczyłam w szatni, że koleżanki naśmiewają się z Karoliny, szarpia ją i wyrzucają wszystko z plecaka, a ona biedna siedzi pod ścianą połykając gorzkie łzy. Wtedy krzyknęłam „DOŚĆ”! Krzyknęłam to do dziewczyn upokarzających słabszą i do siebie samej! Stałam w jej obronie, co wprawiło w osłupienie „silniejsze” dziewczyny jak i słabszą koleżankę. Pomogłam jej i nie pozwoliłam na dalsze upokarzanie i wyśmiewanie. Wszystkie dziewczyny były w tzw. „szoku”. Owszem bałam się, że od tego momentu zaczął dokuczać również i mnie, ale ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu tak się nie stało. Od tamtego zdarzenia zarówno ja jak i Karolina byłyśmy traktowane z należytych szacunkiem, bez wyzwisk, wyśmiewania, dokuczania! Może nie była to jakaś wielka sympatia z ich strony, ale najważniejsze, że Karolina mogła w spokoju chodzić do szkoły, a ja zyskałam w niej najlepszą przyjaciółkę, a przyjaźń nasza trwa do dzisiaj.

Ks. Adam Zelga

Myślę, że warto z punktu widzenia formy pomocy oferowanej drugiemu człowiekowi przeczytać jeszcze raz Ewangelię. Jak robił to Jezus? Kiedy udzielał pomocy, kiedy się pochylał, kiedy czekał, aż przyniosą chorego we czterech.

Spisał z nagrania Andrzej Skoczek

*Co dla mnie znaczy Boży nakaz:
Czyńcie sobie Ziemię poddaną?*

Cytaty

Paweł VI. Encyklika Populorum Progressio (fragment).

Już na pierwszej stronie Pisma Świętego czytamy te słowa: Napełniajcie ziemię i czyncie ją sobie poddaną. Pouczają nas one, że wszystkie rzeczy na świecie zostały stworzone dla człowieka i że otrzymał on za zadanie poznawać ich wartość swoim umysłem oraz przetwarzać je i doskonalić przez swoją pracę i dla swojego pożytku. Skoro zaś ziemia została stworzona w tym celu, aby poszczególnym ludziom dostarczać zarówno środków do życia, jak i narzędzi rozwoju, wynika stąd, że każdy człowiek ma prawo otrzymać z niej to, co dla niego jest konieczne. Sobór Powszechny Watykański II przypomniał to w następujących słowach: Bóg przeznaczył ziemię ze wszystkim, co ona zawiera, na użytek wszystkich ludzi i narodów tak, by dobra stworzone dochodziły do wszystkich w słusznej mierze, w duchu sprawiedliwości, której towarzyszy miłość.

Normie tej trzeba podporządkować wszystkie inne prawa, jakiegokolwiek by one były, łącznie z prawem własności i wolnego handlu; przy czym nie tylko nie powinny one przeszkadzać jej wykonaniu, ale raczej mają obowiązek je ułatwiać; przywrócenie zaś tym prawom ich pierwotnego celu winno być uważane za ważne i naglące zadanie społeczne.

Kto by miał majątność tego świata, a widziałby brata swego w potrzebie i zamknął przed nim serce swoje – jakże może w nim przebywać miłość Boża?

Wiadomo wszystkim, jak dobitnie przedstawiali Ojcowie Kościoła obowiązki ludzi bogatych względem będących w potrzebie: Nie z twojego dajesz ubogiemu – mówi święty Ambroży – ale oddajesz mu to, co jest jego. Sam używasz tego, co jest wspólne, dane na użytek wszystkich. Ziemia należy do wszystkich, nie do bogatych. Słowa te stwierdzają, że własność prywatna nie daje nikomu takiego prawa, które byłoby najwyższe i nie podlegałoby żadnym ograniczeniom. Nikomu nie wolno dóbr zbywających zatrzymywać jedynie dla prywatnej korzyści, podczas gdy innym brakuje tego, co konieczne do życia. Jednym słowem według tradycyjnej nauki Ojców kościoła i znakomitych teologów nigdy nie można używać

prawa własności ze szkodą dla dobra wspólnego. Jeżeliby zaś prawa nabyte i zasadnicze potrzeby społeczności znalazły się w konflikcie ze sobą, władza publiczna ma obowiązek starać się te zagadnienia rozwiązać przy współpracy obywateli i grup społecznych.

Jan Paweł II. Pamięć i tożsamość (fragment).

Trzeba, abyśmy mieli przed oczyma ten zarys pierwotnego stanu człowieka, gdy wrócimy raz jeszcze do pierwszego rozdziału Księgi Rodzaju, gdzie jest mowa o tym, że Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje i powiedział: „Czyńcie sobie ziemię poddaną”. Te słowa bowiem są najpierwotniejszą i najbardziej kompletną definicją polskiej kultury. Czynić sobie ziemię poddaną to znaczy odkrywać i potwierdzać prawdę o własnym człowieczeństwie, które jest w równej mierze udziałem mężczyzny i kobiety. Bóg temu człowiekowi, jego człowieczeństwu, dał cały stworzony świat widzialny i równocześnie mu go zadał. Tym samym Bóg zadał człowiekowi konkretną misję: realizować prawdę o sobie samym i o świecie. Człowiek musi kierować się tą prawdą o sobie samym, aby mógł według niej kształtować świat widzialny, ażeby mógł go prawidłowo używać, nie nadużywając go. Innymi słowy, ta dwoista prawda – o świecie i o sobie – jest podstawą wszelkiej pracy, którą człowiek wykonuje, przeobrażając widzialny świat.

Ta misja człowieka wobec widzialnego świata, jak ją rysuje Księga Rodzaju, ma w dziejach swoją ewolucję, która w czasach najnowszych doznała niezwykłego przyśpieszenia. Wszystko zaczęło się od wytwarzania nowoczesnych maszyn: od tego momentu człowiek przetwarza już nie tylko surowce dostarczane mu przez naturę, ale także produkty swojej pracy. W tym sensie praca ludzka stała się produkcją przemysłową, której zasadnicza norma pozostaje jednak ta sama: człowiek musi pozostać wierny prawdzie o sobie samym i o przedmiocie swej pracy, zarówno w przypadku gdy tym przedmiotem jest surowiec naturalny jak i gdy tym przedmiotem jest wytworzony produkt.

KONWERSATORIUM XXXIV (17.11.2009 r.)

**Co dla mnie znaczy Boży nakaz:
Czyńcie sobie Ziemię poddaną?**

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii im. bł. Edmunda Bojanowskiego), Andrzej Zalewski (redaktor i twórca EkoRadia w pierwszym programie Polskiego Radia oraz inicjator święta polskiej niezapominajki 15 maja), Tomasz Borecki (leśnik, profesor SGGW, były rektor, obecnie dyrektor Instytutu Problemów Współczesnej Cywilizacji), Joanna Angiel (geograf, nauczyciel akademicki, doktor), Iwona Waksmundzka (polonistka, poetka).

Ks. Adam Zelga

Temat naszego spotkania „Czyńcie sobie Ziemię poddaną” można różnie rozumieć. Można zdanie to traktować jako polecenie: „Macie władzę, więc róbcie z tą Ziemią, co chcecie”, inaczej – Ziemia jest waszym niewolnikiem. Zdanie to można jednak traktować



**Fot. 11. Paneliści: ks. Adam Zelga, Iwona Waksmundzka,
Joanna Angiel i Tomasz Borecki**

inaczej: „Czyńcie sobie Ziemię poddaną – czyli jesteście za nią odpowiedzialni”, a więc Ziemia jest niejako waszym partnerem. Chciałbym, aby zaproszone tu osoby wypowiedziały się na ten temat, ponieważ swoim życiem dają świadectwo temu zdaniu; są osobami, które pragną, aby Ziemia była poddana człowiekowi. Zapraszam do przedstawienia własnych świadectw.

Tomasz Borecki

Uważam, że w „Księdze Rodzaju” Bóg mówiąc „Czyńcie sobie ziemię poddaną”, nie wziął pod uwagę tego, że człowiek stworzony na Jego obraz i podobieństwo niekoniecznie będzie boski rozumem. Człowiek w swoim działaniu popełnia wiele głupot i wiele błędów i ja, jako leśnik i przyrodnik, chciałbym zabrać w tej kwestii głos. Gdybym miał wprost odpowiedzieć na pytanie, jak rozumiem ten często powtarzany zapis, to Boże polecenie, sformułowałbym je następująco: aby „człowiek zmieniał Ziemię i tak ją przysposabiał, aby człowiekowi żyło się na niej dobrze i coraz lepiej”. Wiemy jednak, że egoizm ludzki i partykularne interesy każdego z nas, albo grup ludzkich, doprowadzają do tego, że tak się nie dzieje ani w polskiej, ani światowej rzeczywistości. Jak pisze znakomity pisarz amerykański Friedman, jesteśmy obecnie na takim etapie globalizacji, w którym jednostki decydują o postępie. Ten etap, według niego, zaczyna się od wielkiej katastrofy w Nowym Jorku, kiedy to jacyś wariaci tego świata, chcąc zburzyć istniejący porządek, sprawili, że samoloty pasażerskie uderzyły w budynki World Trade Centre. Globalizacja ta charakteryzuje się tym, że pojedynczy człowiek niezależnie od miejsca, w którym się znajduje, ma możliwość oddziaływania na zachodzące zmiany, a wybitne jednostki w coraz większym stopniu decydują o tym świecie. W dzisiejszej rzeczywistości, przy obecnej populacji ludzi na Ziemi, musimy działać w sposób niezmiernie roztropny.

Przytoczę pewne fakty, skupiając się na tym, na czym dobrze się znam, czyli na przyrodzie i na lesie.

Naturalny przyrost ludzi na Ziemi wynosi obecnie około 11 promili, czyli co 14 lat przybywa nas ok. 1 miliarda. Dla porównania: w 1820 r. było na globie ziemskim 1 miliard mieszkańców, a po 110 latach, czyli w 1930 r., było nas już 2 miliardy, a dzisiaj na globie ziemskim żyje ok. 6,7 miliarda ludzi. Za trzy lata będzie

nas 7, a za następne 13 lat – 8 miliardów. Jeszcze niedawno smuciliśmy się faktem, że na globie ziemskim było 750 milionów ludzi, którzy są codziennie głodni, którzy jedzą tylko raz dziennie lub rzadziej. Dzisiaj mamy takich biednych ludzi już miliard. Światowe organizacje twierdziły niedawno, że ludzi głodujących powinno ubywać, a w rzeczywistości ciągle ich przybywa. Dzisiaj cały świat chce „lepiej i więcej” i trzeba pomyśleć, jak ten świat, ta Ziemia, która jest zmieniana przez człowieka (tak jak powiedział Bóg w „Księdze Rodzaju”), ma nastarczyć, jak podołać temu wszystkiemu. Mówi się już, że problemem nie będzie jedzenie, ale będzie woda, której i w Polsce też nie ma za dużo. Wszyscy do-



Fot. 12. Tomasz Borecki

brze wiemy, że niszczyliśmy świat, a robimy to przez swoją nierozwagę, brak rozumu, przez swoją chciwość. W Polsce także chcemy zawładnąć brzegami jezior, brzegami rzek; chcemy je ogrodzić, a nie ma to nic wspólnego z nakazem Bożym. Bo wiem to, co jest na Ziemi, jest dla wszystkich ludzi i nie łączmy tego z socjalistycznym czy komunistycznym myśleniem. Znane są przykłady wielkich cywilizacji babilońskiej i asyryjskiej, gdzie nierozważny człowiek przez nieumiejętność współżycia z przyrodą doprowadzał do jej zagłady, a wraz z nią i do zagłady własnej cywilizacji. Tu, gdzie obecnie jest Sahara, gdzie dzisiaj piasek wysypuje się do Europy Południowej, były kiedyś bardzo wysoko postawione cywilizacje. To jest skutek naszego działania. Ameryka-

nie zagospodarowując wielkie tereny stanów Minnesota czy Dakota, wielkich stepów, gdzie opady są niewielkie, zapominają o tym, że zmieniając tę rzeczywistość i prowadząc intensywne uprawy na tych obszarach, mogą doprowadzić do degradacji środowiska. Uwagi krytyczne z zewnątrz nie odnoszą skutku.

Po tym krótkim globalnym spojrzeniu zajmę się moją dziedziną. Las był zawsze dla mnie frapujący. Jak wszyscy Państwo wiecie, las żywił, chronił, był miejscem zdobywania pokarmów, schronie-

nia, ogrzewał. Właśnie do lasu uciekali ludzie, aby uchronić się przed zagładą w czasie epidemii, które były tak częste w wiekach średnich, a nawet w wieku XIX. W układzie globalnym powierzchnia lasów kurczy się. Jeszcze w XVI wieku Ziemia w znacznym procencie była pokryta lasami, których powierzchnia wynosiła 7,6 miliarda hektarów; w 1958 roku było ich już tylko 4,4 mld ha, a obecnie powierzchnia lasów wynosi jedynie 3,6 mld ha. Każdego roku jest niszczonych lub ginie na świecie 15 mln ha lasów, w tym około $10 \div 12$ mln ha lasów tropikalnych, niezmiernie ważnych ze względu na wymianę tlenu w powietrzu, globalnych układów prądów morskich, cykliczności pogody itp. Dzisiaj rozumny człowiek, który ma zmieniać Ziemię, powinien wiedzieć, że cokolwiek i gdziekolwiek czyni, to oddziałuje na cały globalny świat. Znane są przypadki dewastacji wielkich powierzchni leśnych, np. 20 lat temu Brazylijczycy wypalili 200 000 km² puszczy tropikalnej, lasów deszczowych, lasów niezmiernie ważnych z punktu widzenia klimatu, po to tylko, żeby zamienić ten obszar w tereny rolnicze. Takie działanie nie ma nic wspólnego z logiką.

Obecna industrializacja świata nabrała bardzo żywego tempa. Na przykład, Chińczycy uważają, że „dzisiaj jest pięć minut dla Chin” i bez szacunku dla środowiska eksploatują zasoby naturalne i rozwijają przemysł. Człowiek jest częścią otaczającej przyrody, jest częścią ekosystemu – tego wielkiego globalnego ekosystemu i musi zdawać sobie sprawę, że jest granica, której nie może przekroczyć, by nie doprowadzić do zniszczenia świata. Chcemy żyć wygodnie, chcemy jeździć samochodami, golimy się odkręcając kurek z ciepłą wodą na pełen regulator, nie zdając sobie sprawy, że jest to związane z powstawaniem dużych ilości dwutlenku węgla i z wydzielaniem się związków siarki. Wszyscy chcemy żyć dobrze, mieszkać wygodnie i nie bierzemy pod uwagę, jak istotny i ważny jest otaczający nas świat, otaczająca nas przyroda oraz to, co w tej przyrodzie się dzieje.

Główna dewastacja lasów ma miejsce w lasach tropikalnych Ameryki Południowej, Afryki i Azji, ale to nie ma nic wspólnego z mądrością: „Czyńcie sobie Ziemię poddaną”, bo jeżeli wylesia się przepotężne obszary puszczy amazońskiej – jednego z największych rezerwuarów tlenu i czystego powietrza – po to tylko, aby powstały pastwiska na bardzo ubogich glebach, gdzie dla jednej kro-

wy trzeba aż 5 ha ziemi, to nie ma to nic wspólnego z logiką i mądrą działalnością człowieka. W wielu krajach lasy przestały już istnieć lub powierzchnia ich jest bardzo niewielka. Straty są przeogromne, a dalsze kurczenie się lasów może wywołać lawinowe następstwa. Błędy popełniane przez człowieka mszczą się. Przykładem tego mogą być nasze Karkonosze, gdzie z jednej strony monokultura świerkowa, z drugiej wielkie zanieczyszczenia dwutlenkiem siarki, a z trzeciej nieprzemyślana gospodarka człowieka połączona ze zmianami klimatu, a w szczególności obecnością susz



Fot. 13. Od prawej: Tomasz Borecki, Andrzej Zalewski i Joanna Angiel

na tym terenie, spowodowały, że proces dewastacji lasów karkonoskich miał przebieg lawinowy. Na południu Polski i Pogórzu człowiek, wprowadzając niewłaściwe składry gatunkowe lasów, czyniąc „Ziemie poddaną sobie”, przyczynił się do zubożenia tych lasów.

Światowa Unia Ochrony Przyrody informuje, że 12% gatunków roślin i 75% gatunków ssaków jest w tej chwili zagrożonych na świecie w wyniku osłabienia lasów.

Jeżeli chodzi o lasy i ich funkcje, są trzy różne grupy zagrożeń. Pierwsze – to te, które powstają w wyniku konkurencji o ziemię. Dotyczy to szczególnie lasów tropikalnych. Na tych terenach jest

to bezmyślna konkurencja, bo pozyskaną ziemię wykorzystuje się rolniczo tylko w krótkim okresie, gdyż w tych warunkach klimatycznych i glebowych bardzo trudno jest o dłuższą produkcję rolniczą.

Drugie zagrożenie to rosnące zapotrzebowanie na drewno, a trzecie wynika ze zmian klimatycznych i zmniejszającej się różnorodności biologicznej. W najbliższym okresie, do roku 2050 wzrośnie zapotrzebowanie na drewno przemysłowe o 50% i o prawie 50% na drewno opałowe. My w Polsce żyjemy w luksusie w porównaniu z ludnością Azji, Afryki i Ameryki Południowej, gdzie biedy jest wiele i ludzie głodują. Żeby zagotować tam raz dziennie trochę strawy lub wodę na herbatę, potrzebny jest opał, a najczęściej drewno, które jest podstawowym źródłem energii.

Lasy gromadzą co najmniej 1/3 wszystkich gatunków roślin i zwierząt; biotyczna różnorodność lasów jest wykorzystywana jako źródło genów dla wydajnej hodowli ważnych dla gospodarki człowieka roślin i zwierząt.

Europa jest jedynym kontynentem, gdzie lasów przybywa, a racjonalność myślenia pod tym względem jest daleko posunięta i dobrze, że tak się dzieje. My Polacy kochamy lasy, ale równocześnie w lesie opróżniamy popielniczki z naszych samochodów i wyrzucamy wszystko co się da: stare łóżka, stare lodówki itp. Zaśmiejemy wszystko, co można, jakbyśmy rozumu nie mieli.

W 1945 r. było w Polsce 21% powierzchni leśnej, a obecnie mamy już 29%. Dzieje się tak na skutek zamierzonej i racjonalnej gospodarki. Część tych zalesień po II wojnie światowej dotyczyła szczególnie Ziemi Odzyskanych. Dzisiaj w Polsce jest realizowany program zalesień do 2015 roku, przewidujący zalesienie 700 tys. hektarów gleb rolniczych marginalnych. Nie ma pojęcia „lesistości optymalnej”. Im więcej jest lasów, tym lepiej żyje się człowiekowi. Las to zieleń, czyli nadzieja, to dobre ukojenie i wypoczynek człowieka, to różnorodność gatunków gwarantująca mu przetrwanie, bo w tej różnorodności jest piękno, ale również i bezpieczeństwo trwania. Dzisiaj polskie lasy są zmieniane w kierunku lasów liściastych, lasów o strukturze bardziej zróżnicowanej. Często słyszymy powiedzenie, które bardzo mnie boli, że „leśnicy to tylko wycinają lasy”. Wycinać też trzeba, bo każdy chce mieć w domu ładny stół dębowy albo bukowy i dobrą klepkę na podłogę. Trzeba to jednak

uzyskiwać w roztropny sposób, aby w użytkowaniu lasu niczemu co dobre nie przeszkodzić.

Amerykanie mają pragmatyczne podejście do środowiska; nie patrzą na nie tylko z zachwytem. W cytowanych często przeze mnie badaniach amerykańskich jest podawane, że drewno to tylko 5 ÷ 7% wartości lasu, a prawdziwa jego wartość zawiera się w tym wszystkim, co się nazywa: bioróżnorodność, ochrona środowiska, ochrona wody, ochrona gatunków, to także izolacja od przemysłu, izolacja od szosy, wypoczynek, doznania estetyczne.

Las zawsze nastraja nas miło i ciepło. Kiedyś, kiedy nie było wstydem pisać o takich doznaniach piękna, wielki Jan Kochanowski pisał:

„Serce roście patrząc na te czasy!
Mało przed tym gołe były lasy
Śnieg na ziemi wyżej łokcia leżał
A po rzekach wóz najcięższy zbieżał.
Teraz drzewa liście na się wzięły,
Polne łąki pięknie zakwitnęły,
Lody zeszyły, a po czystej wodzie
Idą statki i ciosane łodzie.”

Uważam, że gdyby każdy z nas miał trzy „mercedesy”, dwie wille i czterech kochanków albo pięć kochanek, to nic nas nie będzie cieszyło, jak nie będzie czystej wody, czystego powietrza i śpiewu ptaków.

Chciałbym jeszcze zacytować pisarza bardzo mi bliskiego, byłego studenta Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego – wielkiego Stefana Żeromskiego, który tak pisał:

„Przyszła znowu na swe miejsce Polska. Nie zamienili Moskale klasztoru Św. Katarzyny na koszary konnicy, jak to było w ich planie i nie przyłożył Austriak siekiery do korzeni lasów. Stoi oto wciąż dom Boży. Widać ze wszech stron białą jego wieżę w dolinie fiołkowej od lasów, co z dala i z bliska ciągną ku niemu wielkimi pasmami. Jest jakoby zwornikiem, w jedność ujmującym wielorakie pustkowia. Oko przebiega z obszarów i spoczywa na jego białym kształcie, a wyrzeźbionych w żrenicy – zachowuje w sercu na zawsze. Żyj wiecznie, świątnico, ogrodzie lilii, serce lasów! Prze-

minęły nad tobą złe czasy zlane ludzką krwią. Ciągną inne, inne. Lecz któż może wiedzieć, czy z plemienia ludzi”, którym Bóg kazał Ziemię poddaną czynić sobie, „gdzie wszystko jest zmienne i nie wiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu, lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakie bądź byłoby prawo, czyjekolwiek by było, do tych przyszłych barbarzyńców poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: – nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym święty jeleni chodzi – jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i żywa pieśń wieczności. Puszcza jest niczyja – ani moja ani twoja, ani nasza, jeno boża – święta!”

Chciałbym, abyśmy bronili tych polskich lasów, tej własności państwowej, bo ona jest gwarancją, że się tego nie rozdrapie, a to też nie ma nic wspólnego z komunistycznym myśleniem.

Elżbieta Mycielska-Dowgiało

Nawiązując do słów mego przedmówcy, chciałam parę słów powiedzieć o wielkiej roli edukacji i świadomości obywatelskiej we właściwej gospodarce środowiskiem. Przez wiele lat prowadziłam badania na pustyni saharyjskiej oraz uczestniczyłam w prezentacji wyników badań na pustyni Negev i Judzkiej w Izraelu.

Na obszarze Sahary obszary oaz się kurczą. Woda, która pojawiała się w artezyjskich źródłach na powierzchni jeszcze 100 lat temu, obecnie jest pompowana z kilkuset metrów głębokości. W dużym stopniu jest marnowana, gdyż prowadzona na powierzchni otwartymi kanałami, na skutek parowania ucieka i w efekcie zasala glebę.

Przeciwnie, na terenie pustyń Izraela widać cofanie się pustyń, które stopniowo porasta sadzony las. Opady deszczu, mimo że skąpe, są łapane w odpowiednie, zamykane zbiorniki lub instalacjami hydrotechnicznymi są wprowadzane pod ziemię w celu ochrony przed parowaniem. Woda zbierana w zbiornikach zlokalizowanych na wzniesieniach systemem rurek nawadnia tereny zboczy i pozwala stopniowo zwiększać areał lasów i upraw. Metod wykorzystania opadów widziałam na tym terenie bardzo dużo i podziwiałam dyscyplinę ludzi, którzy podporządkowują się w pełni tym działaniom i świadomie w nich uczestniczą.

Andrzej Zalewski

Przybyłem tutaj z radością dlatego, że Szkoły Przymierza Rodzin uważam za kuźnię polskiej inteligencji tak okrutnie niszczonej przez prawie 70 lat. Chyba rozczaruję państwa, bo w moim wystąpieniu nie będę mówił, czy na Boże Narodzenie w tym roku będzie śnieg, czy też pójdziemy na plażę, wytłumaczę to w EkoRadio i na mojej stronie internetowej – www.niezapominajki.pl. Chcę natomiast mówić o potędze ducha Polaków wobec tego, co dzieje się na świecie.

Na pewno jestem najstarszy w tym zacnym gronie; należałem i należę do pokolenia tzw. „kolumbów”, tj. pokolenia, które rodziło się od 1897 roku do 1930. Jest to pokolenie strasznie dotknięte przez historię, pokolenie, które w sposób cudowny odbudowywało swój kraj, przez dwadzieścia lat żyło w pełnej wolności, aby potem stać się ofiarą zbrodni i ze wschodu i z zachodu, gdy z niezwykłą starannością likwidowano inteligencję polską. Jestem „kolumbem”, z której to grupy większość już odeszła, znaczna część moich przyjaciół kolegów – na polu chwały i walki o wolność, inni umierali śmiercią mniej czy bardziej naturalną. Wielka ich grupa zginęła w obozach hitlerowskich i sowieckich. Jestem w tej końcowej grupie osób, która otrzymała polecenie od naszych przyjaciół będących tam wysoko: „Mówcie prawdę do końca o Duchu Polaków i Polski, o fenomenie historycznym, który wiążemy oczywiście z sytuacją przede wszystkim ekologiczną i w Polsce, i na świecie”. „Kolumbowie” to ludzie, którzy zdążyli wnieść do Polski mnóstwo wiedzy i nauki. Chodziłem do jednej z takich szkół. Zdążyłem skończyć gimnazjum Górskiego pod wezwaniem Św. Wojciecha. Mój wspaniały dyrektor, Wojciech Górski był genialnym prorokiem, który przewidywał to, co czeka Polskę i Polaków w najbliższych kilkudziesięciu latach; uczył nas pogody ducha, uczył nas, że nauka prowadzi nas do wiedzy, a dzisiaj tryumf wiedzy na świecie jest niewyobrażalny. Równocześnie uczył nas, że największą siłą jest wiara, która jest istotą naszego życia. Patrzę dzisiaj na świat z pozycji „kolumba”, który wcześniej czy później dołączy do moich wspaniałych kolegów. Z mojej klasy w szkole Górskiego na 34 chłopców doczekało 1945 roku szesnastu, następnych sześciu zginęło w więzieniach ubeckich. Znaczna część moich kolegów, taki np. wspaniały Godlewski, to byli niezwykle bohaterowie; można by napisać książkę o każdym z nich.

To co powinno nas dzisiaj interesować najbardziej, to jak najszybsza odbudowa inteligencji brutalnie zniszczonej przez gigantyczne zakłamanie, jakie przez dziesiątki lat utrzymywało się w Polsce. W tej komunistycznej Polsce myślałem nieraz, że jedyną prawdą, o której się mówi, to jest wschód i zachód słońca, a wszystko inne było kompilacją mniejszych czy większych faktoidów i po prostu kłamstwem. Teraz my musimy to wszystko z siebie zrzucić i zrzucić. Robimy to dzięki następnemu cudowi Niepodległości, który zdarzył się w 1989 roku.

Myślę, że takich szkół jak wasza będzie w Polsce coraz więcej, bo istota rzeczy polega na tym, żebyśmy szybko byli mądrzy: inspere audace iudas, tzn. bądź mądry już natychmiast i my musimy tacy być. Jak dzisiaj patrzę na nasze społeczeństwo i porównuję je ze społeczeństwem, z którego wyszedłem przed 1939 rokiem, to ogarnia mnie wielki smutek.

Podam taki drobny przykład z epoki „kolumbów”, czyli z mojego dzieciństwa. Tramwaj, róg Puławskiej i Rakowieckiej, ja z tornistrem jadę tramwajem, w nim dwóch młodych ludzi od czasu do czasu rzuca słowa niecenzuralne na „k” lub „h”. W tramwaju oburzenie: „Wyrzucić tych chamów z tramwaju”. Tramwaj dojeżdża do przystanku na Rakowieckiej. Z pomostu wchodzi do tramwaju mocarny granatowy policjant i dwiema rękami wynosi obydwu, nazwijmy ich chuliganami, ale w porównaniu z dzisiejszymi to byli cudowni chłopcy. Wywnióś ich na chodnik i pałą gumową, przepraszam państwa, kilka razy zdzielił po tyłkach przy oklaskach publiczności. Czy wyobrażacie sobie państwo podobną sytuację dzisiaj, w roku pańskim 2009, kiedy by natychmiast mnóstwo polityków, rzeczników praw dziecka, blondynów, brunetów itp. interpelowało. Co więcej musimy dzisiaj zrobić, aby ten duch, rozum służył naszej wiedzy, aby nauka dawała tę wiedzę i abyśmy stworzyli warunki dla ochrony „tej Ziemi”, a na tej Ziemi nas sam Bóg osadził. Cytujemy tu



Fot. 14. Andrzej Zalewski

„Księgę Rodzaju”, a ja zacytuję Ojca Świętego Jana Pawła II, który powiedział: „pocałunek Ziemi to pocałunek Matki”. Zupełnie inny człowiek – poeta Jan Sztaudynger – kiedyś napisał fraszkę:

W lesie nie trzeba kłać,
kapelusz trzeba zdjąć.

Co my, każdy z nas, dzisiaj musimy w trybie niezwykle pilnym czynić? Nie zawaham się powiedzieć, że sytuacja na świecie jest dramatyczna. Uszkodzenia środowiska i rewolucja obyczajowa są olbrzymie. Mówiłem o młodych chuliganach z 1933 roku, a dzisiaj idąc ulicami Warszawy, słyszę za sobą i przed sobą głosy chłopięce i dziewczęce: k..., h..., k...h..., itp. i robi mi się słabo.

Tę ochronę środowiska musimy zacząć od nas samych, od każdego z nas, przy każdym odkręceniu kurka z wodą, przy każdej rozmowie; musi powrócić do tego kraju kult mądrych, inteligentnych ludzi, a wtedy wszystko będzie jaśniejsze.

Nie sądzcie państwo, że tak ostro mówiąc o ojczystym kraju, nie mam świadomości, iż kundli się cały świat. Korzystając z Internetu i połączeń satelitarnych, lubię oglądać niektóre kanały telewizji niemieckiej. Ku swemu przerażeniu dowiedziałem się wczoraj, że w Niemczech, jednym z trzech, czy czterech najbogatszych krajów na świecie, od jutra czy od pojutrze w wielkich miastach, w obliczu coraz częstszych wypadków bicia i katowania starych ludzi, będą wprowadzone do metra posterunki przebranych komandosów. Kundli się świat? Tak, ale czy my w Polsce musimy się kundlić? Na pewno nie.

Przejdę teraz do samej ekologii. Otóż otrzymuję od radiosłuchaczy tysiące listów. W domu moja żona z przerażeniem patrzy na cztery paki listów, z których zaledwie połowę zdążyłem przeczytać. Te listy napawają mnie nadzieją, że jest w Polsce coraz więcej ludzi, którzy mają świadomość tego, że potęga ducha, nauka i wiedza doprowadzą nas z powrotem na szczybel wielkiej wiary, a nie przygody intelektualnej, jak to czasem się dzieje z niektórymi mówiącymi o sobie, że są wierzący.

Mówiąc tak ostro, świadomie to robię. Potęga przyrody jest wielka; nie próbujmy niszczyć tej potęgi, bo wtedy świat będzie zniszczony nie przez przyrodę, ale przez człowieka. W tej chwili człowiek jest

przekonany o swojej imponującej wiedzy. Próbuje odczytywać przeszłość ostatnich trzech miliardów lat, równocześnie im głębiej cofamy się w przeszłość, im głębiej wchodzimy w mikroświat, im częściej zaczynamy wpuszczać komputer do komórki człowieka, tym coraz wyraźniej widzimy, że otwierają się zupełnie nowe, nieznane przestrzenie świata boskiego. Zmusza to nas do tego, abyśmy naukę przebudowywali w naszą wiedzę, ale pilnowali naszej wiary.

Kilka ciekawostek. Olbrzymia była skala zakłamania w Polsce i jeszcze ciągle próbujemy manipulować faktoidami opinią publiczną. Dlatego też EkoRadio jest bardzo chwiejne w swojej obecności w mediach, ale trwamy – może nie tak silnie jak telewizja „Trwam”, ale trwamy. EkoRadio jest, a ostatnie zapewnienia nowego zarządu Polskiego Radia napawają mnie nadzieją, że jeszcze będę mógł mówić to, co mówię, wskazując na problemy bezpieczeństwa ekobiometeorologicznego, które muszą być poznane przez każdego przy puszczeniu wody z kranu, przy każdym jedzeniu, przy każdym ruchu i w całej naszej bytności w polskich lasach. Skala zaśmiecenia naszych lasów jest rekordowa w Europie, a przynajmniej w krajach Unii Europejskiej.

Podam ciekawostkę obrazującą jak powoli, ale skutecznie odchodzimy od zakłamanego świata. Nie ma ona nic wspólnego z ekologią, natomiast dotyczy wspaniałych Polaków, wspaniałej polskiej armii. Kapitulacja po II wojnie światowej odbyła się w Wilhelmshaven, gdzie na polecenie Eisenhowera kapitulację admirała Dönitza i admiralicji Kriegsmarine, czyli najsilniejszej wówczas marynarki wojennej, przyjmował polski generał Stanisław Maczek. Zakaz informowania naszego społeczeństwa o tym wydarzeniu trwał właściwie jeszcze do lat 90. XX wieku. Dopiero od niedawna zaczęliśmy mówić w Polsce całą prawdę, również o tym, o czym chcę powiedzieć. Ta uroczystość odbyła się w sposób niezwykle. Po jednej stronie Dönitz z admirałami, po drugiej stronie generał Maczek z oficerami. Kapitulacja dobiegała końca, kiedy Dönitz wstał i poprosił o głos: „Panie generale, ja nie w sprawie kapitulacji, którą podpisałem, ale proszę o wyjaśnienie następującej sprawy: po pana prawej stronie siedzi oficer Wojska Polskiego – major. On jest pańskim tłumaczem, a mówi do nas tak pięknym niemieckim literackim językiem, o jakim my w Niemczech zapomnieliśmy. To jest niemożliwe, żeby to był polski oficer”. Wstaje



Fot. 15. Andrzej Zalewski z mikrofonem, obok Tomasz Borecki i Joanna Angiel

generał Maczek i zwraca się do majora: „Panie majorze, proszę się przedstawić”. Na to pan major przedstawia się w dwóch językach: „Byłem Niemcem. Byłem i uciekłem z Niemiec, nie przyznaję się do swego niemieckiego pochodzenia, zwłaszcza w obliczu waszej hitlerowskiej władzy. Nazywam się Otto Habsburg. Trafiłem do więzienia wsadzony przez Hitlera, uratował mnie król szwedzki, a dzisiaj jestem dumny, że jestem oficerem polskim”.

Nasz duch dzisiejszy musi być duchem silnej wiary nie tylko w Boga, ale w nasz Ojczysty Kraj, który pokona wszystkie przeciwności, który jest w stanie wytrzymać olbrzymią rewolucję ekologiczną i ekonomiczną, jaka jest na świecie.

Teraz trochę o pogodzie. Zakłócenie równowagi meteorologicznej na świecie ma zasięg globalny. O tym wszyscy wiedzą, tylko że walka toczy się między dwoma grupami. Jedna grupa powiada, że jest ocieplenie i nadmiar dwutlenku węgla, i że musimy wobec tego odejść od naturalnych źródeł energii: węgla, ropy i tych nieodtwarzalnych źródeł energii. Jak wiadomo, za kilkanaście dni będziemy w Kopenhadze rozstrzygali o losach świata i ludzkości. Jest też grupa inna, która powiada, że wszystko to nieprawda, bo w historii Ziemi następowały cyklicznie okresy zimne – zlodowaceń

i ciepłe – interglacjałów, a ostatnie oziębienie 200 lat temu, w Małej Epoce Lodowej, kiedy po zamrożonym Morzu Bałtyckim można było saniami dostać się do Szwecji, nie stanowiło wyjątku w okresie historii Ziemi i człowieka. Mimo że stwierdzenia te są słuszne, wydaje mi się, że ta druga grupa działa w ściśle określonym interesie energetyki i przemysłu węglowego na świecie, który jest zaniepokojony tym, że zmniejszą się dochody jego wielkich koncernów. Wielu z nas obserwując zakłócenia w przyrodzie, obawia się, że na naturalną cykliczność nałożył się wpływ człowieka i kwitnącej cywilizacji, które zaburzyły odwieczne rytmy przyrody. W związku z tym my musimy powrócić do szacunku do tej przyrody, wszędzie gdzie należy, musimy tworzyć zabezpieczenie środowiska, uczyć ludzi współżycia z przyrodą.

Jaka jest pogoda, którą widzimy za oknami, jest rzeczą oczywistą. Jak długo ona potrwa, tego naprawdę nikt nie wie. Wydaje się, że do końca grudnia praktycznie pogoda będzie bez zmiany, ale to się tylko wydaje. W najbliższym czasie grożą nam różnego rodzaju punktowe nawałnice, tak jak to dwa dni temu stało się na pograniczu Szkocji i Anglii, gdzie w ciągu jednej doby spadło 200 mm deszczu. Cywilizacja uzbrojona w kanalizację, wodociągi, budynki, elektryczność w ciągu dwóch godzin stała się całkowicie bezradna, bo miasta angielskie – dwa lub trzy – zostały zalane dwumetrową warstwą wody. Wczoraj za pomocą śmigłowców zdejmowano ludzi z dachów. Takie punktowe nawałnice są przed nami. Reasumując: to, co na pewno nam grozi, to częste zmiany, incydenty zimowe i wiosenne nie w porę i musimy się do tego przyzwyczaić. Na Boże Narodzenie będzie śnieg? Chyba nie. Na Nowy Rok będzie śnieg, a jak dobrze pójdzie, mróz będzie gdzieś w drugiej połowie stycznia. Skąd to moje przypuszczenie, oparte zresztą na wiedzy mądrzejszych ode mnie meteorologów, nie tylko polskich? Kilkadzieś lat temu odkryto, że nad każdą półkulą przemieszczają się z zachodu na wschód wielkie fale powietrza na przemian cieplejszego i chłodniejszego. Obecnie Atlantyk dostał od południa fale ciepła, które dotarły do Grenlandii, Norwegii i Spitsbergenu. Jednak tuż za Uralem fala idzie w przeciwnym kierunku, na południe, aż po Tybet. Mrozy, które w ciągu ostatnich dziesięciu dni ogarnęły Syberię, są uważane na tym terenie w listopadzie za rekordowe. Temperatura spadła tam do $-44 \div -52^{\circ}\text{C}$.

Reasumując: dynamika pogody – niezwykła, pogoda urozmaicona, warunki biometeorologiczne bardzo skomplikowane, po prostu *sapere aude incipe* – bądźmy mądrzy już dzisiaj.

Joanna Angiel

Moje podejście do tematu spotkania było nieco inne, gdyż wiązało się z doświadczeniem życia, mojego nauczycielskiego życia. Szukałam słów – kluczy, które pozwoliłyby mi uporządkować moje doświadczenia pro-środowiskowe. Ziemia należy do wszystkich – zdanie to wynika z definicji przyrody i z definicji polskiej kultury oraz z „dialogu” między naturą i kulturą. Co to znaczy odkrywać Ziemię – czy oznacza szukać prawdy o sobie i o świecie? Co znaczy określenie prawidłowo używać świata – nie nadużywać go? Czym jest moje przeobrażanie świata? I wreszcie, co to znaczy być wiernym sobie, wiernym prawdzie o przedmiocie swojej pracy? Takie bilanse nieczęsto się tworzy; musi być do tego jakiś impuls – wyzwanie i stało się nim dzisiejsze spotkanie.

Pierwszą moją refleksją – wspomnieniem na temat tego, jak wraz innymi służyłam sprawie ochrony środowiska, było spotkanie z geografami (im bliska była i jest idea rozwoju zrównoważonego), którzy około 15 lat temu stworzyli książkę „Człowiek bliżej Ziemi”. Jej tytuł wskazuje na to, że dotyczy tematu, o którym dzisiaj rozmawiamy. Oprócz zawartych w niej tekstów teoretycznych (filozoficznych) i praktycznych (nauczycielskich), także piękne ilustracje autorstwa Zbigniewa Józwicka, przedstawiające ludzi zaprzyjaźnionych z Ziemią, mogą być przykładem tego, jak należy „napełniać Ziemię” i jak jej „używać”.

Nasunęły mi się wówczas już pytania: jak następowało odkrywanie przeze mnie miejsca, w którym mieszkam, jakie jest to miejsce na Ziemi, w którym przyszło mi żyć, w którym Bóg mnie postawił? Jakie jest moje zadanie do wykonania w tymże miejscu na Ziemi? Co to znaczy czynić sobie Ziemię poddaną?

Poddany to jest ktoś, kto służy. Mała Ojczyzna i duża Ojczyzna – Polska są miejscami, które służą mi w sposób oczywisty. Odcisnęłam na nich ślad swoich stóp poprzez moje życie w tych kręgach przestrzeni. Postawiłam sobie także kolejne pytanie: w jaki sposób równoważę ten bilans: ile wzięłam, a ile jestem w stanie oddać? Można przecież mówić o zabieraniu przestrzeni, w której się żyje,

czy też o korzystaniu z surowców odnawialnych lub nieodnawialnych. Jak próbuję oddawać i niwelować straty, których byłam i jestem przyczyną?

Moje miejsce na Ziemi, mała Ojczyzna, jest moim miejscem pracy – rozmaitych działań i miejscem edukacji, czy też samoedukacji. Warto uświadomić sobie, jakie są relacje z miejscem, w którym się żyje.

Mała Ojczyzna jest takim darem, po który trzeba się schylić, trzeba go zauważyć, ale trzeba go wpierw samej – samemu odkryć, bo jest ukrytym skarbem, jak to bywa zwykle ze skarbami. Jest też skarbem dziedzicznym; wiąże się z naszym domem, naszym dzieciństwem, z naszą młodością. Jan Sabiniarz, architekt, regionalista związany z Borami Tucholskimi, napisał: „Małą Ojczyznę otrzymuje się w darze w dniu swoich urodzin, ale odnajduje się ją przez całe życie, to w sobie, to na zewnątrz siebie”.

Bóg powiedział nam: „Czyńcie sobie Ziemię poddaną”, ale nie powiedział nam, jak to robić. Każdy z nas musi rozważyć w głębi swego serca, korzystając ze swojej wiedzy, swego rozumu, swojej hierarchii wartości, czerpiąc ze swojej mądrości – jak to należy czynić. Wiemy, jaki powinien być tego efekt; mówiono o tym wcześniej. Jest on określony w strategii ekorozwoju poszczególnych państw i w skali globu. Można powiedzieć krótko: „Żyj i korzystaj z darów Ziemi tak, abyś zostawił po sobie Ziemię w takim stanie, by cieszyć się z niej mogły następne pokolenia”. To jest w wielkim skrócie idea rozwoju zrównoważonego. Człowiek przez swoją zachłanność, pazerność, chciwość próbuje korzystać z darów Ziemi nadmiernie, podwyższając standardy swojego życia. Należałoby natomiast zwrócić uwagę na jakość życia, a mniej na standardy materialne. Jan Paweł II jasno



Fot. 16. Joanna Angiel

określił nam drogę ekorozwoju, gdy mówił, że trzeba „bardziej być”, niż chcieć „więcej mieć”.

Czy konsumpcyjny styl życia nie wkręcił nas w kierat chęci posiadania więcej? W sklepach, już teraz, w listopadzie, jest to widoczne. Na miesiąc przed świętami widzimy, jak się nas wabi, próbując wciągnąć do „więcej mieć” – poprzez odpowiednią scenerię, muzykę i reklamy. W okresie przedświątecznym – warto się przyjrzeć naszym zakupom z punktu widzenia czerpania z zasobów Ziemi, nadużywania jej dóbr.

Jak większość z nas szukałam swojego powołania. Znalazłam je w geografii, a wezwanie „Czyńcie sobie Ziemię poddaną” jest dla mnie okazją, ale też i bardzo wyraźnym nakazem poznawania Ziemi. Jawi mi się ona wciąż w innych odsłonach, innych sceneriach. Wymaga to jedynie ciągłego otwarcia rozumu i serca. W swoim zawodowym życiu nauczycielskim pamiętam taki moment, w którym zapytałam siebie: „Co Ziemi po sobie zostawię oprócz śladu moich stóp?”. Wówczas przewartościowałam moje życie, bo wyobraziłam sobie spotkanie w niebie z Ojcem, który nie zapyta mnie, ile napisałam artykułów naukowych i książek, ile wygłosiłam wykładów, tylko zapyta, co konkretnego zrobiłam dla „tej Ziemi”, miejsca swego życia. Nie tyle ważne są zatem same badania naukowe, które prowadzę, ale co się z nimi dalej stanie. Czy będą komuś służyły? Wtedy uświadomiłam sobie, że o Ziemi muszę rozmawiać z dziećmi – czyli... muszę podjąć pracę w szkole. Zeszłam zatem na etap nauczania podstawowego, potem licealny, ucząc geografii. Znalazłam się w szkole między innymi po to, by dowiedzieć się, doświadczyć, jak uczniowie podchodzą do kwestii ekologicznych, jak przeżywają swój związek z przyrodą, czy są związani z miejscem swojego życia. Teraz, gdy pracuję na uczelni, zobaczyłam inaczej własne powołanie i w pełniejszy sposób wykorzystuję wcześniejsze doświadczenia w pracy ze studentami. Dzięki kilku osobom obecnym tutaj na sali zrozumiałam też, że poznawanie wartości, jakie oferuje nam Ziemia, triady wartości: prawdy, dobra i piękna, powinno zaczynać się od szukania najpierw piękna, a potem dobra i prawdy. Są one oczywiście ściśle ze sobą powiązane. Ukazuję zatem studentom najpierw piękno „tej Ziemi” nie tylko poprzez tworzenie „geografii rozumowej”, ale przede wszystkim „geografii ma-



Fot. 17. Joanna Angiel z mikrofonem

lowniczej” – odwoływania się do poezji, esejów geograficznych, do myśli, które płyną z serca.

I oto w pewnym czasie pojawiło się kolejne pytanie: a teraz gdzie dalej iść, co tworzyć, z kim współpracować, gdzie odnaleźć swą kolejną pasję? Nowy pomysł – zesłał mi Pan Bóg jako koło ratunkowe w bardzo trudnych momentach mojego życia. Zesłał po to, abym się nie poddała, nie zniechęciła, nie zatrzymała w rozwoju. W przypadku pana profesora Tomasza Boreckiego tą pasją jest las, pana redaktora Zalewskiego – zjawiska pogodowe, a moją pasją jest... rzeka Wisła. Łączy ona w sobie różne znaczenia, konteksty. Jest elementem środowiska przyrodniczego Polski, swoistym fenomenem, symbolem Polski i jej dziejów, symbolem kultury. Rzece tej poświęciłam kilka ostatnich lat życia, penetrując ją z moimi studentami i z wody, i z lądu. Wydaje mi się, że najważniejszą rzeczą w edukacji jest osobiste doświadczenie: obserwacja, słuchanie, przeżywanie itp. i tworzenie w ten sposób własnej struktury wiedzy, jak również tworzenie związków emocjonalnych, w tym przypadku – z Wisłą. Istnieje szereg stereotypów myślenia o Wiśle: że jest brudna, że śmierdzi, że nie warto nad nią chodzić, bo nic tam nie ma, tylko same krzaki, gdzie można „dostać po głó-

wie” itp. Trzeba pokazywać ludziom, że jest inaczej. Stwarzać okazję do „bycia nad rzeką” i jej doświadczania. Moje szczęście polega na tym, że poznałam grupę młodych ludzi kochających tę rzekę, od których nauczyłam się wielu rzeczy, z którymi penetrowałam jej brzegi i doświadczałam tej „innej Wisły”, choć znałam ją dobrze i wcześniej. Myślę o ludziach z Fundacji „Ja Wisła” (www.jawisla.pl). To są młodzi ludzie, pasjonaci, którzy napawają optymizmem, ponieważ przywołują warszawiakom społeczną wartość Wisły. Mówią: „Zobaczcie, jaka ona jest piękna i ważna – może być taka również dla was – poznajcie ją wraz z nami”.

Mieszkańcy Warszawy traktują Wisłę często tylko jako granicę komunikacyjną w mieście lub jako rzekę niewiele znaczącą (nie pamiętając nawet, że służy im ona np. jako woda pitna), natomiast młodzi wolontariusze z fundacji uświadamiają nam jej rozmaite wartości, np. kulturowe, chociażby przez próby odnowienia zapomnianego już prawie szkutnictwa wiślanego. Dzięki nim warszawiacy mogli w tym roku pływać po Wiśle tradycyjnymi łodziami, tzw. batami, odtworzono też krypę wiślaną, która służyła do edukacyjnych spływów Wisłą na Bielany. I tak oto razem poznajemy rzekę, uczymy się jej, służymy odtwarzaniu jej wartości w świadomości ludzi.

Podsumowując – zachęcam do zadania sobie pytania „Co ci dałam, Ziemi, w ciągu lat mojego życia?”, do rozmowy, dialogu z Ziemią na ten temat. Mnie samej trudno to zbilansować, choć mam świadomość tego, że nigdy i w żadnej mierze nie odpłacę za to, co od niej otrzymałam, swoją służbą – nawet najstaranniej wykonywaną.

Ks. Adam Zelga

Pan Rektor zabrał nas do lasu, pan Redaktor ku niebiosom, ku klimatowi, Pani sprowadziła nas do rzeki, a wydaje mi się, że podsumowanie znajdziemy w wypowiedzi pani Iwony.

Iwona Waksmundzka

Na dzisiejsze spotkanie przyniosłam bajkę, tj. Ostatnią z bajek Cypriana Norwida. Zanim przejdę do świadectwa, chciałabym krótko opowiedzieć o niej. Kto z nas nie lubił bajek? Jest to w końcu jeden z najstarszych gatunków wypowiedzi literackiej, który znamy od dzieciństwa. Dlaczego Norwid nazwał swoją bajkę ostat-

nią? Może dlatego, że napisał ją już pod koniec swojego życia, ale też może dlatego, że chciał odwrócić powód, dla którego ona powstała, a powstała wtedy, kiedy nastąpiło „rozdalenie”. Choć to termin typowo Norwidowski, nietrudno go zrozumieć. Chodzi o „rozdalenie” między człowiekiem a zwierzętami. Nastąpiło ono wtedy, „odkąd człowiek samego siebie tylko w stworzeniu poszukiwał, nic poza ten widok nie ważąc sobie”.

Jak wierzył autor, pierwotnie, po stworzeniu świata, istniało szczególne porozumienie między człowiekiem a światem zwierząt, które Bóg stworzył i które dał mu w posiadanie.

Z „Księgi Rodzaju” wiemy, że kiedy Bóg stworzył zwierzęta, zaprowadził je do mężczyzny, aby ten nadał im imiona. W świecie biblijnym w imieniu zawarta jest nie tylko nazwa zwierzęcia, ale także cała jego istota, dlatego „mężczyzna dał nazwę wszelkiemu bydłu, ptakom powietrznym, wszelkiemu zwierzęciu wolnemu”. W świecie biblijnym także znać czyjeś imię – jak mówi Anna Świderkówna w Rozmowach o Biblii – to również „mieć nad nim władzę, wiedzieć o nim wszystko”, ale jednocześnie, i to chyba najważniejsze, wziąć za nie odpowiedzialność. Zatem o czym jest Ostatnia z bajek Norwida?

Oto anioł przynosi nowinę, radośną nowinę: narodził się człowiek, najpiękniejsze ze stworzeń – czysty, piękny, szczery, wdzięczny i właśnie przyjmuje chrzest jako „niemowlę, czyniące nabożeństwo swej niewinności. Pełni swoją modlitwę, jaka jest mu tchnięta” i właściwie tylko wtedy – jako dziecko – jest czysty i piękny, bo im dalej, tym bardziej i więcej obrasta tym, co dziedziczy i tym, co świat mu daje w zamian, albo co on sam robi z tym światem. Podnosi się gwar zwierząt, które także witają nowo narodzonego, ale już nie tak radośnie jak anioł, bo wiedzą, co on przynosi ze sobą. Owady, ptaki,



Fot. 18. Ks. Adam Zelga

wiewiórki, ryby, cielęta, wszystkie one wiedzą, czego należy spodziewać się po człowieku. Owady mówią o przebijaniu szpilkami w celu ekspozycji, ptaki mówią o kaleczeniu oczu albo o wyrywaniu piór na ozdobę kapeluszy. Wiewiórka żali się, jak przez lekko-



Fot. 19. Iwona Waksmundzka

myślność człowieka traci pokarm, który zgromadziła na całą zimę. Ryba i cielę mówią o mordowaniu w szczególnie okrutny sposób dla uzyskania pożywienia. I jeszcze kilka takich bardzo smutnych historii zawartych w bajce. Głos zwierząt zamienia się w pieśń, a raczej w lament, który w końcu dociera do żebraka, moczącego w kałuży twarde okruchy chleba, żeby się pożywić. Ten także dołącza do lamentu zwierząt: przecież człowiek, który miał umiejętnie korzystać z dobra, które zostało mu dane, nigdy jeszcze nie nakarmił ludzi – braci. W końcu pieśń dociera do żubra, do puszczy – pięknej, ale jednocześnie dziewiczej i groźnej, skrywającej całą mądrość stworzenia.

Zacytuję krótki fragment tej bajki. Żubr rzekł:

„Człowieka jeszcze do-miarkowanego nie zna stworzenie: energia jego sama się

z siebie raduje i dowcip sam w sobie szaleje z potęgi własnej. Może on jeszcze nigdy nie jadł – może on dopiero pokąsał wszystko i wyssał? Dlatego to i nie nakarmia swoich wszystkich!... Jeżeli rozpustuje w pozerstwie i łupieniu zwierząt, to iż onych także zapomniał albo nie zna wśród opatrnych praw ich ojczyzny. – Bydło jego są to dzieci i wnuki jeńców, drzewa są niedorabane wióry! – Ale on dopędzi kresu tej chuci, gdy spotka się pierś w pierś z pomnikiem ojczyzny opatrnej tworów na tej ziemi – gdy spotka się z Lasem-Dziewicą!”

Zasmucił się anioł. Okrążył jeszcze raz Ziemię, być może uroił łąkę, w której odbiła się tęcza, znak przymierza Boga z człowiekiem. Poleciał i znalazł ukojenie dopiero w kaplicy – grocie ojców pustelników, którą napotkał gdzieś na pustyni. I ucieszył się anioł widokiem ludzi, „na których żywocie, imieniu i obyczaju nie było

żadnej skazy naznaczonej gwałtem lub krzywdą jakąkolwiek bliźniego, ludzkości i stworzenia!...”

I tak samo ta bajka, krótka bajka, chociaż bardzo smutna, zrobiła okrażenie: od stworzenia do Norwidowskiego „rozdalenia”, a potem wspomnienia Przymierza, kiedy po raz kolejny Bóg pobłogosławił wszelkie stworzenie i znowu dał je człowiekowi w posiadanie.

Tyle bajka. Myślę, że gdyby Norwid dożył naszych czasów, pisałby jeszcze smutniejsze bajki, ale w każdej bajce jest nadzieja i zawsze nawet chociażby przez tę antytezę możemy próbować odwrócić porządek rzeczy, jeżeli mamy wiarę i wolę odwrócenia. W cytatach do tego Konwersatorium obydwaj papieże, tj. Paweł VI i Jan Paweł II, upominają człowieka o tym, że on dostał w posiadanie tę Ziemię, ale powinien racjonalnie korzystać z tego, co otrzymał dla dobra swojego i innych. Powinien czerpać z niej tylko tyle i to, co mu konieczne do życia. Ponadto nic dla próżności, obżarstwa czy zaniedbania.

Krótko o zwierzętach, o tym, co my możemy zrobić i co się dzieje w naszym najbliższym otoczeniu. Zarówno w cytatach, jak i we wszystkich innych tekstach, które czytałam przed tym spotkaniem, zwróciłam uwagę, że ani Bóg, ani żaden z papieży, ani też Norwid nie mówią do nas, nie mówią do szerszego grona, ale do pojedynczego człowieka. Myślę więc, że to w naszych rękach jest nasz los i ta Ziemia, która została nam dana. Może brzmi to trochę patetycznie, ale może nie, jeżeli jednak zobaczymy, w jaki sposób realizujemy tego typu przykazania w naszym otoczeniu. Nie przyniosłam tutaj statystyk, bo nikt ich nie lubi, tym bardziej kiedy są przerażające a dotyczą schronisk dla zwierząt, ekstremalnych i okrutnych warunków przetrzymywania czy zabijania zwierząt w rzeźniach, hodowania zwierząt przeznaczonych specjalnie do walk dla rozrywki. Zaczniemy od siebie, od traktowania przez nas zwierząt domowych i naszej odpowiedzialności za nie. Jeżeli bierzemy do domu zwierzę, to miejmy świadomość, że jest to zobowiązanie na co najmniej piętnaście lat i że jest to istota żywa, która ma swoje potrzeby.

4 października br. w naszej parafialnej kaplicy pod wezwaniem bł. Edmunda Bojanowskiego na Ursynowie była przedziwna nadprogramowa Msza Święta, odprawiona z inicjatywy proboszcza tej



Fot. 20. Iwona Waksmundzka z mikrofonem

parafii, obecnego tu ks. Adama Zelgi. Zaprosił on na tę Mszę Świętą swoich parafian razem ze zwierzętami, które zostały pobłogosławione. Miał rację Norwid, który pisał, że w oczach zwierzęcia widać jego los. Mit o łzach zwierząt cierpiących? Nie, to prawda. One cierpią i to okazują. Potrafią także świadczyć o dobru i miłości, których zaznają. Właśnie wtedy, w czasie tej Mszy Świętej, ludzie i zwierzęta dawali świadectwo o sobie i nie o „rozdaleniu”, ale właśnie o „spół-położeniu”, które było pierwotnie – w bajce.

Ks. Adam Zelga

Jeśli chodzi o tę Mszę Świętą, to bałem się strasznie, że nie uda nam się zapanować nad sytuacją, jak przyjdzie ze 30 psów od najmniejszego do największego, a do tego koty. Na Mszy Świętej były i psy, i koty, i wąż, chomiki i żółw, a to co było dla mnie zdumiewające, to że jak zaczęła się Msza Święta, to te zwierzęta jakby modliły się. Nie było żadnego hałasu, warczenia, miauczenia, złego partrzenia, szczególnie jak był znak pokoju.

Bardzo dziękuję Iwonie za jej wystąpienie, które wprowadziło nas w klimat liryczny.

Zastanawiałem się, skąd Pan Bóg ma tyle cierpliwości za te cykle niszczenia Ziemi, że powiada do człowieka, jak wyraża to Norwid, czyńcie sobie Ziemię poddaną, a człowiek znowu swoje i znowu – czyńcie sobie Ziemię poddaną. Te cykle niszczenia Ziemi cią-



Fot. 21. Ks. Adam Zelga

gle wracają. Myślę, że Pan Bóg ma na Ziemi sojuszników. Nie mówię tu o świętych, ale o takich ludziach, jak państwo, którzy tu jesteście i dzięki którym w jakiejś mierze Pan Bóg mówi „no to jeszcze raz powiadam, czyńcie sobie Ziemię poddaną, nie w sensie niewolnictwa, ale w sensie partnerstwa”.

Dyskusja

Tomasz Umiński

Pełny tekst fragmentu, do którego odnosiliśmy się dzisiaj, zaczyna się od słów: „Rośnijcie i mnożcie się i napełniajcie całą Ziemię” i trzeba byłoby w związku z tym dopowiedzieć, że tę Ziemię już napełniliśmy i pora przestać ją przepełniać, pora zatrzymać eksplozję demograficzną, ponieważ kontynenty Ziemi nie rosną w sposób nieskończony. Można oczywiście trzymać kurczaki „brojlery” po 20 w małej klatce; ludzi też tak można byłoby trzymać, ale czy tego chcemy? Jest jeden problem, a mianowicie środowiska i organizacje międzynarodowe, które biją na alarm, że jest

eksplozja demograficzna i że na gwałt trzeba ją zatrzymać, te same środowiska i te same organizacje, jako jeden ze środków mniej lub bardziej lubianych, mniej lub bardziej potępianych, ale w każdym razie dopuszczalnych, traktują „aborcję na życzenie”. Trzeba zdać sobie sprawę z tego, że to jest inne zagadnienie. Jeżeli my aborcję traktujemy jako zbrodnię zabicia nienarodzonego dziecka, to jest to jedna sprawa; w tym nasze stanowisko jest takie, jakie jest. To nie rzutuje na to, czy ludzi na świecie powinno być więcej, czy też należy wszystko robić poza środkami moralnie niegodziwymi, żeby zatrzymać eksplozję demograficzną. Oczywiście to rozważanie dotyczy przede wszystkim najuboższych krajów trzeciego świata. Polska w tej chwili nie ma eksplozji demograficznej; nawet w ostatnich latach liczba ludności Polski nieco maleje i w tej sprawie nie ma sensu robienie paniki. Jest jedno, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę: zatrzymanie eksplozji demograficznej to jest doprowadzenie do stanu takiego, w którym przeciętne małżeństwo ma dwoje albo troje dzieci. Dwoje albo troje dzieci – to jeszcze ciągle zupełnie normalne rodziny. Jeśli chodzi o sytuację Polski, chciałbym przypomnieć, że ludność Szwecji, Danii, Belgii i Holandii łącznie liczy dokładnie tyle, ile ludność Polski. Wobec tego jako absolutnym priorytetem, rzeczą najważniejszą byłoby, żeby każde polskie dziecko było tak wychowane i tak wykształcone, aby za 20 lat Polska odgrywała taką rolę, jak dziś Szwecja, Dania, Belgia i Holandia razem wzięte. Nie mówię tu o wszystkich kierunkach, w których przoduje np. Holandia.

Możliwe są dwa niesprzeczne i uzupełniające się spojrzenia na człowieka. Jedno, że człowiek jest jednym z gatunków istot żywych, jednym z gatunków zwierzęcych; drugie, że ten gatunek jest różny od wszystkich możliwych gatunków zwierzęcych w stopniu przepastnym, czego akurat w tym gronie nie muszę udowadniać. Ten pogląd o całkowitej odmienności człowieka od świata zwierzęcego, do którego należy, nie jest powszechnie przyjmowany i między innymi wśród najrozmaitszych przyjaciół zwierząt trzeba pilnie zwracać uwagę, czy nie kryją się wśród nich również tacy, którzy uważają, że ponieważ według nich nie ma różnicy między człowiekiem i zwierzęciem, to nie ma żadnej dobrej racji, dla której dla dobra człowieka miałyby się robić eksperymenty biomedyczne na zwierzętach. W tej chwili po Europie toczy się spór o noweliza-



Fot. 22. Tomasz Umiński

cję dyrektywy 86/609 sprzed 22 lat starej Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, która mówi o traktowaniu zwierząt eksperymentalnych w badaniach biomedycznych. Ponieważ według niektórych zwierzętom przysługują prawa, mówi się o czymś takim, jak prawa zwierząt, wobec tego proponuje się całkowity zakaz jakiegokolwiek eksperymentowania na małpach, psach i kotach. W tych projektach nowelizacji jest również o tym, że trzeba uwzględnić zdolność odczuwania cierpienia przez zarodki i płody zwierząt kręgowych. Paradoxem jest, że troska o cierpienie zarodków kręgowców wychodzi dokładnie z tych samych kół, które „aborcję na życzenie” traktują jako jedno z elementarnych praw człowieka i obywatela. Do tych, o których cierpienie troszczą się w szalejącej w tej chwili dyskusji, dochodzą niewylęgnięte jeszcze kurczęta. W teraźniejszych kłopotach z gripą niezwykle cenionym materiałem przy hodowli szczepionek i w innych zastosowaniach są zarażone jajka, ponieważ kurczaka w jajku ani nie trzeba karmić, ani poić, nie trzeba po nim sprzątać; jest to idealny materiał. Istnieje już projekt ustawy, żeby to poddać kontroli ze względu na cierpienia, którym mogą być poddawane niewylęgnięte kurczaki.

Całkowicie zgadzam się z tym, że jeżeli bierze się zwierzę do domu, to bierze się odpowiedzialność za to zwierzę na ileś lat, że zwierzęcia nie powinno traktować się jak zabawki i że nie powinno kupować go się w prezencie, jeżeli nie jest oczekiwane i pożądane.

Równocześnie trzeba zdawać sobie sprawę, że każdy, kto protestuje przeciwko badaniom biomedycznym na zwierzętach jest wrogiem każdego, kto bądź sam, bądź ktoś z jego bliskich będzie miał jakąś naprawdę poważną chorobę. Protestujący ludzie działają w rzeczywistości w tym celu, żeby nie były możliwe skuteczniejsze metody leczenia niż te, które istnieją dzisiaj.

Maciej Jakubowski

Chciałbym nawiązać do wypowiedzi pani Waksmundzkiej. Wiąże się to z pewnym doświadczeniem mojego życia z ostatniego okresu, zupełnie dla mnie zaskakującego. Moja córka razem z dwiema przyjaciółkami założyły instytucję, która nazywa się „Hotel dla psów”, przy czym nie jest to wyłącznie hotel, bo są tam jeszcze miejsca pozostawione do dyspozycji fundacji, która zajmuje się psami porzuconymi, wyrzuconymi z domu, znalezionymi w lesie itp. W związku z tym to miejsce jest dla mnie polem niesłychanie ciekawej obserwacji, ponieważ jeżdżę tam i pomagam córce. Korzystam z doświadczeń córki, ale mam także własne spostrzeżenia, które są dla mnie nowe, ponieważ nigdy nie hodowaliśmy zwierząt w domu. Chciałbym zwrócić uwagę na problem, który wiąże się z myślą o „rozdaleniu” i „współpołożeniu” między człowiekiem a tą częścią stworzenia Bożego, jaką są zwierzęta. Taka instytucja, jak ten hotel, szczególnie w części schroniskowej, daje wgląd w to, jaki jest rzeczywisty stosunek ludzi do zwierząt – od bardzo niedobrego aż do bardzo budujących przykładów. Jest też polem obserwacji, jak zachowują się same zwierzęta. Fascynuje mnie obserwacja komunikacji między człowiekiem i zwierzęciem, a właściwie zwierzęcia, które komunikuje człowiekowi. Takim zwierzęciem jest pies. To komunikowanie jest przedziwne, a obserwacja zróżnicowania tych psychosobowości jest dla mnie fascynująca. Można tu powiedzieć o strukturze stworzenia, która zawiera w sobie bogactwo i różnorodność – to jest rzecz chciana przez Stwórcę. W konkretnym przypadku sprowadza się to do stwierdzenia, że nie ma dwóch jednakowych liści na drzewie, nie ma dwóch jednakowych pasków na zebrze, bo każda jest inna, nie ma dwóch takich samych szczeniąt w tym samym miocie, chociaż pochodzą od tej samej matki i tego samego ojca, a to już stwarza pewną sytuację, którą trzeba brać pod uwagę, czyli trzeba umieć postępować, tzn. trzeba się uczyć i trzeba wiedzieć.

Tu chciałbym nawiązać do pewnej myśli pochodzącej wprost od kardynała Ratzingera, iż „skalę panowania człowieka nad Ziemią, nad stworzeniem wyznacza sam Stwórca przez swoje stworzenie, przez jego język, jego rytmy, jego sens i jego logikę”. Niewątpliwie zatraciliśmy umiejętność słuchania stworzenia, słuchania Ziemi. Mówi się o pierwotnych ludach: Indianach, Pigmejach itp., wtopionych w środowisko i rozumiejących jego język, i chyba jednym z warunków poszukiwania tej jakiejś nowej równowagi w relacjach człowiek – Ziemia, człowiek – stworzenie jest powtórne uczenie się języka, którym stworzenie do nas mówi. Las ma swój język, dla nas geografów krajobraz ma swój język, czyli to, co powiedziałem – pewne rytmy, pewne prawa; tego trzeba się chyba na nowo uczyć, a więc mamy przed sobą taką perspektywę uczenia się o stworzeniu. Nauka, przyrodoznawstwo, doświadczenie ludzkie idą naprzód i trzeba się ciągle tego uczyć, a więc uczyć się o stworzeniu, ale także uczyć się od stworzenia. Ja właśnie w tej chwili uczę się tych piesków, a one sygnalizują: przynosi mi patyk i mówi „pobaw się ze mną”. Ostatnio zaobserwowaliśmy, jak pies przychodzi do miski, siada przy misce i nie pije. Dlaczego pies nie pije, chociaż woda jest w misce? Bo było sprzątanie w domu, a woda jest pełna kurzu i paprochów. On mówi: „daj mi innej wody”. Tego typu opowieści można by mnożyć. Na koniec chciałby więc jeszcze raz powtórzyć myśl, która jest mi ostatnio bliska: „uczmy się o stworzeniu i uczmy się od stworzenia”.

Iwona Waksmundzka

Ostatnie zdanie mojego przedmówcy obrazuje, że do porozumiewania się między zwierzęciem a człowiekiem konieczne są pewne warunki. Wymienia je także Norwid w swojej bajce. Były one spełnione pierwotnie, zanim nastąpiło owo „rozdalenie”.

„Spół-położenie”, a więc funkcjonowanie w jednej przestrzeni, w jednym otoczeniu: to właśnie język i „uczucie prawdy”. Norwid mówi o tym, że ten język nadal istnieje – oczywiście chodzi o czas, kiedy autor pisze tę bajkę – i istnieje nawet mimo zaniechania, a pierwotnie był bardziej czytelny niż np. niektóre odmiany języka Papuasów. Ot, taka ciekawostka. W związku z tym, że język ten został zaniechany, zaginął sposób porozumiewania się między człowiekiem i zwierzęciem i ... musiała powstać bajka.



Fot. 23. Iwona Waksmundzka

Ks. Adam Zelga

Norwid w swojej bajce zachęca do powrotu na pustynie jak anachoreci i pustelnicy, żeby odzyskiwać ten język.

Elżbieta Pierścioneł

Dziękuję panu Jakubowskiemu za sprowadzenie dyskusji do psów, czyli temat „zszedł na psy”. Do kościoła chodzę na godzinę szóstą rano, jest jeszcze noc i cały chodnik jest zabrudzony odchodami psów. Raz wdepnęłam tak porządnie, że musiałam się wrócić i do kościoła nie doszłam. Mijam po drodze tzw. osiedle zamknięte, więc nie ma tam miejsca na to, żeby psy załatwiały swoje potrzeby fizjologiczne. Wobec tego, jak tylko wybiegną za bramę, pędzą w kierunku wsi, w kierunku właśnie kościoła i cały chodnik jest zabrudzony. Staram się zwracać uwagę, ale zwykle robię to nieudolnie i wychodzi jakoś głupio. Nie wiem, jak powiedzieć i co powiedzieć, żeby trafiło do właścicieli psów. Kiedy jestem nad morzem i widzę, jak psy i dzieci, młodzież i starsi niszczą klif, wtedy umiem zwrócić uwagę, mówiąc: „Proszę pana, proszę pani, czy pani nie chodziła do szkoły”. Wtedy taka uwaga trafia. Okazuje się, że każdy chodził do szkoły. Więc apeluję do nauczycieli i księży, mówcie o tym sprzątaniu po swoich pupilach, mówcie, że jest to obowiązek.

Pan Zalewski zacytował śliczną fraszkę Sztaudyngera o lesie. Obserwuję młodzież, która idzie na plażę, idzie przez dwukilometrowy odcinek parku, pali papierosy, a niedopałki wyrzuca gdziekolwiek, nieraz ma słuchawki na uszach i nie słyszy, jak się do nich mówi. Ja zacytuję drugą fraszkę Sztaudyngera:

Kto zabije palacza,
temu Pan Bóg wybacza.

Andrzej Zalewski

Niech to zabrzmiał jak zawołanie mojego pokolenia „kolumbów”: „Polska i Polacy nie mają innego wyboru, musimy być mądrzy”. Żyjemy w takim miejscu świata i Europy, że to zagrożenie dla nas, dla naszej egzystencji wcale nie ustąpiło; ono tylko zmienia formy i jest w dalszym ciągu aktualne. Bądźmy mądrzy, mądrzy wszędzie: w lesie, nad Wisłą, w sklepie, na ulicy, w domu i Kościele. Nauka, wiedza, wiara. Wiara to istota naszego życia. Tylko wtedy atrakcyjność Polaków utrzyma się w tej niesłychanej konkurencji na świecie. Polacy mają szansę. Wierzę głęboko, że przed nami Opatrzność stawia nowe zadania, tylko nie wszyscy Polacy jeszcze to dokładnie zrozumieli. Bądźmy mądrymi Polakami, budujmy Kraj tak, jak go budujemy, ale jeszcze lepiej, mądrzej i chrońmy tę przyrodę, którą nam Pan Bóg dał. Mamy jeden z najpiękniejszych krajobrazów przyrodniczych w Europie. Pojedźcie chociażby do Holandii i poszukajcie tam drzewa, i prawdziwego krajobrazu; chyba nie znajdziecie. Jeszcze raz powiadam w imieniu moich kolegów zza grobu i moim własnym: nasze pokolenie „kolumbów”, przy całym dramatyzmie nieszczęścia kasowania polskiej inteligencji, sprawiło, że dzisiaj ta Polska jest w Unii, że mamy wolność słowa, tylko ciągle jeszcze nam się wydaje, że najlepsze jest hasło „Róbta, co chceta”. Jest to nieprawda.

Tomasz Borecki

Chcę się odnieść do paru kwestii, które mnie tutaj poruszyły. Zacznę od tego, o czym powiedział pan Andrzej Zalewski, a mianowicie „bądźcie mądrzy”. Bardzo trudno jest być mądrym, ale nie pozostaje nam nic innego. O tej nadziei, że Polska może być wielka, napisał, przywoływany już dzisiaj znakomity amerykański pisarz Friedman, w swojej najnowszej książce, w której twierdzi, że



Fot. 24. Tomasz Borecki i Andrzej Zalewski (z mikrofonem)

w ciągu 20, 30 lat Polska będzie jedną z potęg Europy porównywalną z Niemcami, co daj Panie Boże.

Pragnę nawiązać też do wypowiedzi pani Angiel o Wiśle: pisałem o swej małej rzeczce Piwonii, która była kiedyś tak piękna, pełna kaczeńców, bo to było kiedyś torfowisko niskie i na wiosnę, jak się rozlewała, to człowiek mógł wierzyć, że ten świat jest bardzo piękny. Potem przyszły melioracje, które zrobiły dużo dobrego, ale zepsuły też bardzo wiele. Wracając do tego, o czym mówiliśmy wcześniej, od czego zaczęliśmy: „czyńcie sobie Ziemię poddaną”, każde nasze działanie musi być wszechstronnie przemyślane. To, co zrobiliśmy w latach sześćdziesiątych, wyprowadzając wodę z lasów, było katastrofą. Dzisiaj wracamy do małej retencji, do młynów, do wszystkiego, co było i komuna zniszczyła. Andrzej Zalewski o tym kiedyś mówił w swoim EkoRadio: 140 tys. małych przytamowań na rzekach, które dawały wyższy poziom wody gruntowej, pracę młynarzowi, który był kułakiem, ale ryby na Wigilię były i piękno krajobrazu z soczystą zielenią i bogactwem ptaków.

Dbłość o wodę to jest też dbłość o Polskę. My mamy najmniej wody w Europie. Spływ jednostkowy, czyli to, co na jedne-



Fot. 25. Słuchacze

go Polaka spływa w ciągu roku, to jest tylko 1500 m^3 , a w Europie średnio prawie 5000 m^3 . Musimy wodę zatrzymać i mieć ją czystą.

Chcę teraz połączyć trzy wybitności, które były dzisiaj wspomniane. Ojciec Święty Jan Paweł II, u którego kiedyś miałem przyjemność spędzić parę dobrych godzin w małym gronie osób, czyli mogłem z Nim rozmawiać i muszę powiedzieć, że Ojciec Święty, jak nikt inny potrafił zobaczyć, co jest istotne i ważne. Rozmawialiśmy o wielu sprawach, ale dwie z nich poruszyły niesamowicie Ojca Świętego. Jedna – to polska młodzież. Jak pytał, jaka jest, ja mówię „wspaniała”, znam ją, jestem belfrem tyle już lat. Druga sprawa – to polska przyroda i polskie lasy, że są tak piękne i potrafimy o nie dbać. Arcybiskup Dziwisz mówił wtedy, że ma pretensje do Wojtka Byrcyna-Gąsienicy, że on wprowadził opłaty za wejście do parku; Wojtek był jeszcze wtedy dyrektorem Parku Tatrzańskiego. Na to Ojciec Święty odparł, że „My w Kościele na tacę też zbieramy”.

Nawiążę teraz do osoby, która była bardzo bliska Ojcu Świętemu, mianowicie do księdza prof. Józefa Tisznera, do filozofii tisznerowskiej. Mówił on „Może ci jakaś byle traweczka to ci duszy nie ma, ale brzoza to ci duszę na pewno ma. A te opuszczone psy



Fot. 26. Jacek Waksmundzki

na działkach, te zwierzaki, może ci podlejszą duszę, ale duszę mają”. Myślę, że rozumienie takie i takie podejście do świata jest gwarancją tego, że będziemy trwali i że będziemy istnieć.

Powróć też do wielkiego Norwida. Chcę połączyć to, co mówił pan Andrzej Zalewski i pani Iwona Waksmundzka, a więc troskę o Polskę, o tę przyszłość Polski, o tę pozycję, inteligencję, a jednocześnie troskę o środowisko i o przyrodę. Oto kim był w swojej wymowie sam Norwid? Ja, prosty gajowy tak rozumiem, że przywrócenie Norwida w ostatnim okresie zawdzięczamy Ojcu Świętemu oraz kręgom kościelnym. Słyszałem to ostatnio z bardzo wybitnych ust, że Norwid był największym polskim poetą, a jednocześnie wyrażał tragedię, jak gdyby tragedię Polski, bo ten wielki Polak, znakomity poeta umarł w przytułku i nie wiemy nawet, gdzie jest pochowany, a jego symboliczna mogiła znajduje się na cmentarzu Montmorency pod Paryżem, gdzie leży Kniaziewicz i cała polistopadowa elita Polaków. Chcę powiedzieć państwu, że SGGW dba o ten cmentarz i o groby na tym cmentarzu, i zbierając składki, staramy się, aby tam było coraz piękniej. A żeby połączyć te dwie myśli, powiem państwu mało znany, a piękny wiersz Norwida:



Fot. 27. Bożena Zalewska
(żona red. Andrzeja Zalewskiego)

„Jeśli ma Polska pójść nie drogą mleczną
W cało-ludzkości gromnym huraganie,
Jeżeli ma być nie demokratyczną,
To niech pod carem na wieki zostanie!

Jeśli mi Polska ma być anarchiczną,
Lub socjalizmu rozwinąć pytanie,
To już ja wolę tę pansławistyczną,
Co pod Moskałem na wieki zostanie

Tu oba dłońmi uderzą w kolana,
Aż się poruszył stół, za stołem ściana,
Aż się oberwał z gwoździem krzyż gipsowy
I padł, jak śniegu garść...

... Koniec rozmowy.”

Joanna Angiel

Na zakończenie ujmę się za każdym, najdrobniejszym nawet elementem przyrody, takim jak np. źdźbło trawy, jako za naszym wspólnym skarbem i chcę zaprosić do spotkania z poezją księdza Jana Twardowskiego, czyli „księdza od biedronki”. Dzisiaj nie powinno go tutaj zabraknąć. „Ksiądz Jan od biedronki” mówił tak:

Piękne są góry i lasy i róże są równie ciekawe,
lecz z wszystkich cudów natury jedynie poważam trawę,
bo ona deptana, niziutka, bez żadnych owoców, bez kłosa,
trawo, siostrzyczko moja, karmelitanko bosa!

Spisał z nagrania Bogumił Chlebny

Kto dla mnie jest autorytetem i dlaczego?

Cytaty

Ks. Wojciech Żmudziński, SJ. Pomnik nie może być autorytetem (fragmenty).

Matka czternastoletniej Magdy wróciła do domu ze szkolnej wiadówki, gdzie przez godzinę słuchała wykładu zaproszonego gościa. Tematem był „Autorytet u dzieci i młodzieży”. Usiadła z córką przy stole i zapytała: „Czy masz w życiu kogoś, kto jest dla ciebie autorytetem?”. Na co Magda odpowiedziała pytaniem: „A w twoim życiu, mamo, jest ktoś taki?”.

„Moim największym autorytetem – kontynuowała mama – jest papież Jan Paweł II. Za każdym razem, gdy widzę go w telewizji, jak przemawia, poszłabym za każdym jego słowem. A gdy przyjechał do Gdyni, ty pewnie tego nie pamiętasz, to przez cały rok żyłam pełną energii i odzyskałam sens wszystkiego, co robię”.

„A moim autorytetem jest islandzka piosenkarka i aktorka Björk” – rzekła Magda.

„Ty chyba, dziecko, żartujesz. Przecież znasz ją tylko z MTV i jakiegoś filmu.”

„A ty znasz Papieża osobiście?”

Dwa rodzaje autorytetów

Powyższa rozmowa matki z córką uświadomiła mi, że są dwa rodzaje autorytetów moralnych: ten „na odległość” i ten wpływający z głębokiej relacji osobistej. Mama Magdy знаła Papieża jedynie z telewizji i spotkania z mieszkańcami Trójmiasta. Podobnie jak Magda, która swojego idola oglądała na ekranie i na wielkim koncercie w Gdyni. Obie nie miały obok siebie nikogo, kto byłby dla nich żywym przykładem codziennego, godnego pozazdroszczenia, wartościowego życia. Zadałem sam sobie pytanie: „Czy jest w moim życiu ktoś, kogo znam osobiście i o kim mógłbym powiedzieć, że jest moim autorytetem? Czy jest ktoś, kto wpływa na moje życie swoimi postawami? Czy istnieje taka osoba, z którą relacja zmienia mnie na lepsze, motywuje, wzbudza pragnienie do naśladowania jej?”. Przypomniałem sobie wiele osób, które spotkałem na drodze swojego życia. Każda z nich odegrała w moim osobistym

wzrastaniu jakąś rolę, ale czy dziś, jako wychowawca, mam wokół siebie autorytety, z którymi pozostaję w głębokiej, osobistej relacji? Dopóki nie odpowiem sobie na to pytanie, nie powinienem dziwić się brakiem takich autorytetów wśród młodzieży.

Filozofia sukcesu

Jednak najbardziej powinni się o swoje dzieci obawiać rodzice, którym się wszystko w życiu udaje. Marek odpowiadając na pytanie: „Dlaczego zaczął ćpać?”, opowiedział mi o swoim ojcu i jego ciągłych sukcesach. Już w szkole podstawowej matka pokazywała mu szkolne świadectwa ojca, wyróżnienia, jakie zdobywał, i dawała wyraz swojemu niezadowoleniu, gdy Marek przynosił ze szkoły oceny dostateczne. Ojciec nigdy nie przyznawał się do porażek i dawał siebie za przykład człowieka, któremu się w życiu powiodło. „Jak będziesz pracował tak jak ja, to też do czegoś dojdiesz” – mówił.

Ojciec Michała zabrał go kiedyś na wycieczkę do Niemiec. Pojechali zakupionym niedawno BMW. Gdy w Berlinie policjant nie pozwolił im wjechać w jedną z uliczek centrum i gdy ojciec zawrócił, Michał odezwał się usatysfakcjonowany: „A jednak ci się nie udało”. Ojciec spojrzał rozdrażniony na syna i rzekł: „Mnie się zawsze wszystko udaje. Zaraz ci to udowodnię”. Wrócił z powrotem do stojącego u wlotu do uliczki policjanta i dał mu do ręki plik marek. Spojrzał zadowolony na syna i z piskiem opon pojechał dalej. Kilka lat później Michał trafił do jednego z ośrodków dla narkomanów i nadal walczy z uzależnieniem od heroiny.

Filozofia pozoru

„Jak ty wyglądasz? Ubierz się po ludzku, przecież idziemy w gości. Co ludzie powiedzą, gdy zobaczą cię w takiej fryzurze? Tak to możesz sobie chodzić na dyskotekę, a jeśli już wychodzisz ze mną, to będziesz wkładała to, na co ja ci pozwolę.”

„Gdy rodzice dowiedzieli się, że ćpam, ukrywali to przed wszystkimi – mówi Monika. – Kupowali mi najlepsze ciuchy i wysyłali co drugi dzień do fryzjera, abym nie wyglądała na narkomankę. Co by ludzie o nich pomyśleli, gdyby dowiedzieli się, kim naprawdę jest ich córka. Byli przecież taką zgraną parą, zawsze uśmiechnięci i ładnie ubrani”.

Niejeden dyrektor szkoły, zapytany o problem zażywania narkotyków przez uczniów odpowiada zbulwersowany: „W naszej szkole problem nie istnieje”. A gdy w szkolnej toalecie pojawia się zapach palonej marihuany, to „z pewnością ktoś ma omamy węchowe”. Natomiast wychowawca sygnalizujący problem uzależnienia ucznia od narkotyków pomawiany jest czasem o działanie na szkodę wizerunku szkoły. Pozoranci jednak nie mogą liczyć na autorytet wśród naprawdę wrażliwych młodych ludzi.

Filozofia posiadania

Jednego z narkomanów odwiedziła w więzieniu mama i zapytała go: „Dlaczego nam to zrobiłeś? Czyż ja i tato nie daliśmy ci wszystkiego, czego chciałeś?”. On na to odpowiedział: „Tak, daliście mi bardzo dużo rzeczy. Ja natomiast chciałem mieć was”.

Ojciec ośmioletniego Macieja, dyrektor dobrze prosperującej firmy, zwykł zlecać sekretarce także robienie zakupów. Mama Macieja umarła kilka lat temu, dlatego ojciec musiał troszczyć się o to, aby domowa lodówka zawsze była pełna. Gdy zbliżały się święta Bożego Narodzenia, sekretarka dostała od szefa dwie kartki ze spisany-
mi artykułami do kupienia. Jedna kartka była napisana przez szefa, druga zaś, w zaklejonej kopercie, przez jego syna. Co roku Maciej mógł napisać trzy rzeczy, które chciałby otrzymać pod choinkę. Gdy obie kartki dotarły do sekretarki, zwróciła się do szefa wychodzącego w pośpiechu na kolejną naradę: „Ależ, Panie Dyrektorze, nie mogę zrealizować listy, jaką otrzymałam od Maćka”. „Niech Pani spełni jego wszystkie trzy życzenia. Stać mnie nawet na bardzo drogie prezenty.” „Ale tego nie da się nigdzie kupić!” – krzyknęła za zbiegającym już po schodach szefem. Nie mogąc go zatrzymać, wróciła do biurka i jeszcze raz przeczytała listę życzeń przygotowaną przez Macieja: „W tym roku na Boże Narodzenie chciałbym, abyś mi, tato, nic nie kupował. Moje trzy życzenia to, abyś był częściej ze mną, poszedł ze mną do kina i nauczył mnie grać w szachy”.

Ks. Adam Streczko. Autorytet rodzicielski (fragmenty)

Prawdziwym autorytetem jest rodzic, który przyczynia się do wzrostu swego dziecka, potrafi odpowiadać na jego najgłębsze, ludzkie potrzeby. Posiadany przez rodziców autorytet powinien ujawniać się w atmosferze miłości i szacunku dla dziecka.

Właściwie pojmowany autorytet rodzicielski udziela dziecku wolności osądu i działania, stosownie do jego możliwości. Rodzice, którzy czują, iż posiadają autorytet, potrafią znaleźć „złoty środek” między przyzwalaniem a ograniczaniem dziecka. Potrafią powiedzieć stanowcze „nie” w reakcji na nieodpowiednią prośbę dziecka, ale także: „tak” lub „to zależy od twojej decyzji”, gdy dziecko jest zdolne do większej samodzielności.

Szczególnie ważny jest autorytet rodziców, jeśli chodzi o wychowanie religijne dzieci. Rodzice wychowują przede wszystkim swoją osobowością, tym, kim są. Oddziałują przez swoje postawy moralne i religijne, które dziecko dostrzega, ogląda naocznie sposoby zachowania się rodziców i przez nie kształtuje własne postawy. Harmonia między wiarą i życiem rodziców jest najlepszym kluczem do wychowania chrześcijańskiego potomstwa. Religijność, jeśli jest prawdziwa, oparta na głębokiej wierze, podnosi autorytet rodziców w oczach dziecka, a wartość dziecka w oczach rodziców. Wzrasta wówczas odpowiedzialność za życie dziecka i za jego wychowanie, czego brakuje często dzisiejszemu wychowaniu w rodzinie.

KONWERSATORIUM XXXV (19.12.2009 r.)

Kto jest dla mnie autorytetem i dlaczego?

Prowadzący: ks. Zdzisław Wojciechowski SJ, Franciszek Kampka (nauczyciel akademicki SGGW, profesor), Małgorzata Grabowska (pracownik PIG, bibliotekarz), Jacek Grabowski (geolog, doktor, pracownik PIG), Maciej Dąbski (geograf, nauczyciel akademicki, doktor), Anna Ciepiela (studentka socjologii).

Ks. Zdzisław Wojciechowski

Temat dzisiejszego konwersatorium brzmi: „Kto jest dla mnie autorytetem i dlaczego?” Jesteśmy świadkami zjawisk, które zachodzą zarówno w Kościele, jak i w społeczeństwie i widzimy, jak na naszych oczach różne autorytety się pojawiają, a wiele dawnych autorytetów się kompromituje. Dlatego też temat ten jest szalenie



Fot. 28. Paneliści: ks. Zdzisław Wojciechowski, Franciszek Kampka, Jacek Grabowski, Małgorzata Grabowska, Anna Ciepiela, Maciej Dąbski

ważny. Pomysłodawcy tego tematu tak go sformułowali, żeby miał on charakter przede wszystkim osobisty. Zachęca on do świadectwa. Do ukazania tego, co w moim życiu i dla mnie jest ważne, i kto jest dla mnie ważny? Gratuluję wszystkim panelistom odwagi podjęcia się tego tematu.

Zanim udzielię głosu dzisiejszym uczestnikom, chciałbym rozpocząć od przypomnienia paru spraw ogólnych, czym jest autorytet w socjologii. Ogólnie można powiedzieć, że jest to społeczne uznanie dla osoby lub osób w instytucji społecznej opartych na cenionych w danym społeczeństwie wartościach. Może to być osoba lub instytucja ciesząca się uznaniem, mająca kredyt zaufania co do profesjonalizmu, kompetencji, prawdomówności czy bezstronności w ocenie jakiegoś zjawiska, czy wydarzenia. Może to być także osoba, która ma wyjątkową charyzmę i mówimy wtenczas, że to jest autorytet wynikający z pewnych właściwości osobowych, z charakteru i z preferowanych wartości. Z grubsza możemy powiedzieć, że możemy wymienić takie rodzaje autorytetów:

- autorytet oparty na kompetencji, profesjonalizmie,
- autorytet desygnowany, wynikający z władzy, z funkcji lub z pewnej roli społecznej,
- autorytet moralny, wynikający z godnego i moralnego życia tej konkretnej osoby.

Gdy mówimy o autorytetach, jest ważne, abyśmy mieli świadomość – do jakiego zakresu się odnosimy.

Na końcu jeszcze jedno sformułowanie. W języku polskim mamy dwie formuły, które odnoszą się do autorytetów. Mówimy, że ktoś ma autorytet albo, że ktoś jest autorytetem. Jedna i druga formuła odzwierciedla różne stopnie zespolenia umiejętności z wartościami osobowymi. Gdy mówimy o tym, że ktoś ma autorytet, pamiętajmy, że nie jest to cecha bezwzględna i trwała, że dana osoba



**Fot. 29. Ks. Zdzisław
Wojciechowski**

ten autorytet ma, ale go może utracić. Czasem to się zdarza w życiu społecznym czy politycznym. Natomiast być autorytetem, znaczy być nim bezwzględnie, a więc jest to człowiek, który ma tak zespoloną sprawność w uprawianiu danej dziedziny zawodowej ze swym charakterem, że jedno nie może istnieć bez drugiego. To jest pewna postawa moralna, to jest charakter tej osoby, to są te wartości.

Małgorzata Grabowska

Zastanawiając się nad osobami, które były lub są moimi autorytetami pomyślałam o księdzu, który zaczął kiedyś pracować w naszej parafii. Byłam wtedy w liceum. Nie mogę powiedzieć, żeby w tym czasie moi rodzice byli dla mnie szczególnymi autorytetami. Gdy się ma 17 lat, rodzice rzadko bywają dla nas autorytetami. W moim wypadku też tak było. Szukałam autorytetów na zewnątrz mojego domu rodzinnego. Ksiądz, o którym wspomniałam, był kimś, kto miał olbrzymią charyzmę. Był dla mnie wówczas przede wszystkim autorytetem moralnym, kiedy pokazywał inną drogę, którą można iść, zwłaszcza w swoim życiu wewnętrznym, duchowym. Był to czas, kiedy usilnie szukałam drogi do Pana Boga, ale nie przychodziło mi to łatwo. Było to szukanie trochę „na opak”. Chwilowymi autorytetami stawały się moje przyjaciółki, ktoś ze szkoły, ale czułam, że czegoś mi brakuje, że nie tędy droga. Ksiądz stał się autorytetem dlatego właśnie, że pokazał mi drogę do Pana Boga. Przez wiele lat naszej znajomości, ponad dwadzieścia, cały czas jest dla mnie autorytetem. Oczywiście teraz nie mam z nim częstych kontaktów jak wówczas, gdy mieszkaliśmy w jednej miejscowości – wtedy mieszkaliśmy na wsi. To, że od wielu lat nie mamy bliskiego kontaktu, nie przekreśla tego, co on zrobił dla mnie w okresie mojego nastoletniego życia. Myślę, że nie tylko dla mnie jednej był on autorytetem. Gdy trafił do naszej parafii, młodzież nie miała zaczepienia przy kościele i jakoś nie bardzo garnęła się do Pana Boga. Ksiądz pokazał nam, że życie wiarą nie musi być tylko czymś dla starszych ludzi, że możemy my sami coś stworzyć, że możemy zmieniać swoje życie i że to życie może być ciekawe. Zaczęliśmy wyjeżdżać na różne spotkania. Zaczęliśmy organizować festiwale piosenki religijnej, razem spędzać wakacje. Dla nas to było coś nowego i odkrywczego. To było dla mnie tak ważne, że gdy już po maturze znalazłam się w innym mieście i straciłam kontakt

z moją grupą, w której byłam przez dwa lata, w nowym środowisku zaczęłam szukać podobnej grupy ludzi. Bardzo mi zależało, żeby kontynuować podobną relację z Panem Bogiem, a wiedziałam, że bardzo pomaga w tym wspólnota. Kolejny etap swojego życia zaczęłam w młodzieżowej wspólnocie religijnej, która w istotny sposób ukształtowała moje życie osobiste i moje życie dorosłe. Miała ogromny wpływ na to, kim jestem teraz, jakie mam podejście do życia, kim staram się być i chcę być.

Z czasem, poza wspomnianym księdzem, zaczęłam mieć także inne autorytety. Byli to wykładowcy, którzy mnie pociągali swoją wiedzą i swoją postawą. W ostatnich kilkunastu latach autorytetem jest również dla mnie mój mąż. W postawie życiowej, w podejściu do życia, patrzeniu na świat zawsze mogę polegać na nim i na jego zdaniu. Jego opinie są dla mnie bardzo ważne. Nie mogę powiedzieć, że jest tak przy organizacji życia domowego czy w prowadzeniu domu, bo w tym zakresie mój mąż nie jest ekspertem, ale w innych aspektach naszego wspólnego życia rodzinnego jego zdanie jest dla mnie istotne.

Anna Ciepiela

Nie potrafię wyszczególnić jednej osoby, która byłaby dla mnie najważniejsza we wszystkich kwestiach. Jestem otoczona ludźmi niezwykłymi. Mam cudowną rodzinę, rodzice byli dla mnie zawsze wsparciem. W wieku lat 17, licealnym, kiedy się przechodzi największe zawirowania i okres buntu, zawsze przychodziłam do taty, siadaliśmy sobie na schodach w naszym mieszkaniu i potrafiliśmy rozmawiać całą noc. Tata zawsze był dla mnie ważny, liczyła się dla mnie jego opinia i był wzorem w wielu kwestiach.

Ale na autorytety natrafiłam również poza domem. Mam niezwykle szczęście do ludzi, spotykam świetne osoby na swojej drodze. Mam przyjaciół od wielu lat, których świadectwo życia i za-



Fot. 30. Małgorzata Grabowska



Fot. 31. Anna Ciepiela

chowania budzi mój podziw i uznanie. W wielu sprawach dążę do tego, żeby być tak dobra i mądra jak oni. To wszystko zależy od różnych czynników. Oni też popełniają błędy, ale to dodaje mi sił, bo wiem, znając ich dobrze, że są normalnymi ludźmi, tak jak ja, i chociaż czasem się mylą, potrafią się podnieść i iść dalej. Widzę, jak naprawiają swoje błędy, jak się na nich uczą, że nie załamuje ich porażka. Obserwując ich, zyskuję siłę do walki z moimi przeciwnościami i wiarę, że się uda. Gdy ich poproszę, zawsze służą mi radą i pomocą.

Taki rodzaj autorytetu jest dla mnie szczególnie ważny. Nie jest to wydumana postać ze świata mediów czy historii, której za życia tak naprawdę nigdy nie będzie nam dane poznać. Nie chcę doznawać zawodu, kiedy dowiaduję się, że osoba, któ-

ra była dla mnie wzorem i ideałem, okazuje się kimś zupełnie innym. Nie chcę odkrywać, że to, co podziwiałam, było tylko dobrze wyreżyserowanym spektaklem dla publiczności. Moimi autorytetami otaczam się na co dzień, są blisko mnie i udawadniają mi, że dobre życie to nie tylko pusty frazes, to nasze codzienne drobne wybory.

Maciej Dąbski

Bardzo podobało mi się to, co ksiądz Zdzisław powiedział na początku, gdy podzielił autorytet na trzy rodzaje – autorytet znawcy: osoba, która dobrze zna się na określonej dziedzinie życia czy wiedzy; autorytet przełożonego: człowieka desygnowanego wynikający z władzy, funkcji itp. oraz autorytet moralny.

O tych trzech autorytetach chciałbym się wypowiedzieć. Kto jest dla mnie autorytetem i dlaczego? Jeśli chodzi o autorytet znawcy – w dyscyplinie naukowej, którą uprawiam, z dziedziny morfologii obszarów zimnych, są to autorzy bardzo dobrych podręczników, których w dodatku miałem okazję poznać na różnych szkoleniach: profesor... tu można rzucać nazwiskami, ale nie o to chodzi.

To są konkretne osoby, które znam z imienia i nazwiska, wiem, jak wyglądają i wiem, że rzeczywiście znają się na rzeczy. Również Pani Profesor Elżbieta Dowgiałło, która nauczyła mnie metod postępowania naukowego, jest dla mnie autorytetem z dziedziny geomorfologii. Pozostając w obrębie autorytetu znawcy, jeszcze bym wyróżnił autorytet umiejętności sportowych: mój brat jest dla mnie wzorem dobrej jazdy na nartach, a kolega Jarek wspinaczki skalnej.

W dziedzinie umiejętności artystycznych moim autorytetem jest, na przykład, aktor Dustin Hoffman lub piosenkarka Barbra Streisand. Wreszcie w dziedzinie umiejętności rzemieślniczych – krawiec, szewc są dla mnie autorytetami, bo lepiej znają się na szyciu ubrań czy na robieniu butów niż ja sam.

Jeżeli chodzi o autorytety z naznaczenia, z nadania, to w zasadzie takiego autorytetu nie mam. Może Papież jest tą osobą odpowiedzialną za prawdy wiary, które wyznaję.

Natomiast jeśli chodzi o autorytet moralny, światopoglądowy – ten chyba najważniejszy dla mnie rodzaj autorytetu, chciałbym powiedzieć o trzech osobach: o mojej mamie, która nauczyła mnie optymizmu życiowego, podstaw wiary, odwagi i umiłowania przyrody; o Pani Profesor Elżbiecie Dowgiałło, mojej mistrzyni, która charakteryzuje się ogromną otwartością na drugiego człowieka, zawsze potrafi znaleźć czas dla innych, zawsze uśmiechnięta i pełna optymizmu. Jest dla mnie w tej kwestii niewątpliwym autorytetem. Powiem jeszcze o jednej osobie – księdzu Józefie Marii Bocheńskim – dominikaninie, w którym się zaczytywałem. Autor wielu ciekawych książek – filozof, logik, sowietolog. Cenię go bardzo za bystrość myślenia, krytycyzm, odwagę i bezkompromisowość. Imponował mi jako osoba, żołnierz i pilot, który jeszcze w wieku emerytalnym latał awionetką na swoje wykłady. Naprawdę chciałbym być w takiej formie.



Fot. 32. Maciej Dąbski

Jacek Grabowski

W swojej wypowiedzi chciałbym się skupić na autorytetach moralnych, bo one są tak naprawdę najważniejsze. Pierwsze autorytety niewątpliwie wywodzą się z domu rodzinnego. Są takie momenty, które pamiętam do dzisiaj, które mnie kształtowały. Pamiętam, na przykład, zdarzenie z roku 1979, kiedy miałem kilkanaście lat i byłem w pierwszej klasie liceum. Nie wiedziałem, czy mam iść na dyskotekę, czy na całonocny Rajd Świetlików w Górach Świętokrzyskich. Chciałem i tu, i tu. W końcu nigdzie nie poszedłem. Byłem zły na mamę, że nie zdecydowała za mnie. Ona mi powiedziała: Ty nie zadeklarowałeś się, gdzie chcesz iść i co chcesz robić. Je-

steś już na tyle duży, że powinieneś wiedzieć i umieć wyartykułować to, co chcesz i na co masz ochotę. Nie będę za ciebie decydować, musisz to zrobić sam. Zrozumiałem wtedy, że straciłem coś fajnego przez ten brak decyzji. Było to dla mnie bardzo ważne doświadczenie. Uświadomiłem sobie, że muszę wiedzieć, co chcę, żeby takie sytuacje więcej się nie powtarzały. Gdy później planowałem jakieś szalone wyjazdy czy podejmowałem inicjatywy, to w myślach wracałem zawsze do tej rozmowy z mamą. Gdy przychodziłem do niej z moimi pomysłami, mama na ogół mi pozwalała.

Niestety mama szybko umarła. Trzeba było autorytetów szukać gdzieś dalej. Była drużyna harcerska. W Rejtanie „Czarna jedynka” to było bardzo sympatyczne środowisko. Muszę przyznać, że tak jak Gosię

w okresie liceum ukształtował ksiądz, o którym opowiadała, tak mnie w tym samym mniej więcej czasie harcerstwo. Spotkałem tam fantastycznych ludzi. Nauczyłem się postawy służby, lojalności i wierności – tych wartości, które stanowią o moralnym kręgosłupie człowieka. Wiele z tych osób, kolegów z harcerstwa znam do dzisiaj i obserwuję ich rozwój rodzinny i zawodowy. Pozakładali fantastyczne rodziny. Są doskonałymi specjalistami: psychologami, lekarzami. Jeden z moich drużynowych jest księdzem, jest nie-



Fot. 33. Jacek Grabowski

pełnosprawny, bo miał wypadek samochodowy. Działa na Ukrainie i Białorusi. To ksiądz Andrzej Bafeltowski, pallotyn. Założył fundację. Wspiera drobne katolickie parafie, które działają w bardzo trudnych warunkach.

Często jest tak, że coś przeczytam i w pewnym momencie autor tej książki, który wyraził ważny dla mnie pogląd, staje się dla mnie autorytetem. Takim stał się wiersz Herberta „Przesłanie Pana Cogito”, który przeczytałem chyba w 1981 roku. Mam wrażenie, że ten wiersz cały czas tkwi we mnie. Jest on może pesymistyczny, trochę smutny, ale daje poczucie, że go napisał człowiek, który dużo przeżył, który wie, co w życiu jest najważniejsze. Autor pisze w nim, że nie należy oczekiwać jakiejś szczególnej nagrody za to, co się robi, że warto być uczciwym, żeby robić to, co się uważa za słuszne i nie oglądać się za bardzo za siebie i nie czekać, że ktoś nas będzie bardzo kochał i dopieszczał na tym świecie.

Dużym przeżyciem było też dla mnie przeczytanie w wieku kilkunastu lat książki Ericha Fromma „O sztuce miłości”. Było dla mnie prawdziwym odkryciem, że miłość ma różne twarze i różne są jej aspekty, ale zawsze niesie ze sobą dobro i jest sposobem na życie.

Jeśli chodzi o autorytet oparty na kompetencji i zaufaniu do nauki, to wspomnę o mojej pracy Instytucie Paleobiologii, który był dobrym instytutem opiniotwórczym. Modna była wtedy dziedzina zwana socjobiologią. Jednym z naczelnych autorytetów tego kierunku był i jest Richard Dawkins. Jest to ateista, ale sama teoria jest bardzo pociągająca. Socjobiologia to trochę darwinizm społeczny, w którym stawia się pytania, czy wyłącznie rządzą nami geny, czy każdy organizm jest tylko opakowaniem na geny, a naprawdę ważne jest to, żeby nie działać przeciwko organizmom pokrewnym. To jest istota istnienia wszelkich organizmów, a według skrajnych socjobiologów również człowieka.

Antoni Hofman był człowiekiem, który pięknie wykladał teorię socjobiologii. Kiedyś gdy szedł do Instytutu, podszedłem do niego i zapytałem: czy to jest aktualne, czy pan w to wierzy, co pan o tym sądzi? On powiedział, że to jest interesująca teoria, która prawdopodobnie dobrze opisuje zachowania świata organicznego, świata żywego, ale byłoby źle, gdyby było prawdą, że opisuje również model zachowania ludzi. Bardzo mi tym zaimponował, że mi-

mo iż tyle wie, potrafi mieć wątpliwości i do nich się przyznać. Jego autorytet u mnie wzrósł. Ta postawa wątpienia jest dla mnie bardzo cenna. Cenię ludzi, którzy wątpią trochę w dziedzinę, którą uprawiają. To jest motorem postępu. Oczywiście są granice tego wątpienia, bo nie można wątpić we wszystko. Gdzieś ten stabilny grunt trzeba znaleźć. Z pomocą przychodzi religia.

Szukałem księdza, który wyjaśniłby mi różne wątpliwości. Chodziłem na Msze Święte papieskie, ale przede wszystkim, żeby pokrzyczeć „solidarność” i posłuchać, kiedy on tej władzy przywali, bo to trochę tak się odbierało. Kiedyś przeczytałem „Opowieści ewangelistów” Kosidowskiego. Stwierdziłem, że w Ewangeliach nie zgadzają się pokolenia Jezusa. Tu jest 50 patriarchów, tu 48 czy 45. Opis cudów też nie zawsze się zgadzał. Na szczęście znalazłem księdza, który mi wytłumaczył, że Ewangelie nie zostały napisane jako książki historyczne, jako podręczniki, że one przekazują wiedzę zupełnie inną. Pozwoliło mi to pogodzić Księgę Rodzaju i historię stworzenia z wiedzą człowieka, który zajmuje się historią Ziemi. Te rozmowy z księdzem, o którym wspominam, wyraźnie mnie ukształtowały.

Podobnie jak w wypowiedzi pana Macieja, autorytetem dla mnie jest Jan Paweł II. Dochodzę do niego jednak jakby pośrednio. Kształtuję go sobie poprzez to, co piszą o nim inni, jak Paweł Zuchniewicz, dziennikarz katolicki, czy Wanda Półtawska.

Reasumując – jest wiele autorytetów i warto poszukiwać w każdym momencie swojego życia osoby, która to życie pozytywnie zmieni.

Franciszek Kampka

Mówiąc na temat autorytetów, chciałbym poruszyć dwie kwestie – po pierwsze, jak rodzi się autorytet, a po drugie opowiedzieć o kilku osobach, które stały się dla mnie autorytetami. Pozwolę sobie najpierw przywołać opowieść o dwóch uczniach idących do Emaus. Pamiętają Państwo, jak idą, rozczarowani i przygnębieni, i nagle podchodzi do nich ktoś obcy – nie rozpoznają przecież od razu Chrystusa. Podchodzi ktoś obcy i pyta: dlaczego jesteście smutni? To znaczący moment – Chrystus przecież wszystko wie, mógłby ich od razu pouczyć, zwrócić im uwagę, że przecież wszystko to było zapowiadane – śmierć na krzyżu, a potem zmar-

twychwstanie, że powinni to sobie przypomnieć, skojarzyć, a nie smucić się i załamywać, bo to nie najlepiej o nich świadczy. On jednak nie traktuje ich w ten sposób, tylko pyta: dlaczego jesteście smutni? I wtedy oni zaczynają opowiadać. To jest ten moment, który uważam za bardzo istotny w rodzeniu się autorytetu. Gdy spotykamy kogoś, kto nie próbuje nas pouczać, tylko jest szczerze zainteresowany tym, co my przeżywamy, czego my doświadczamy. Chrystus idzie z nimi, trzując się drogą, słucha ich, zaczyna im stawiać pytania. Kiedy uczniowie dochodzą z Chrystusem do Emaus, a On sprawia wrażenie, jakby miał iść dalej, ich serca się otwierają i uczniowie proszą: Panie, zostań z nami. Uważam, że to jest ten moment, w którym oni uznali Jego autorytet.



Fot. 34. Franciszek Kampka

Należę do tych ludzi, którzy jaśniej widzą własne myśli i problemy, kiedy mogą o nich porozmawiać, ująć je w słowa. Jest to możliwe jednak tylko wówczas, kiedy natrafiam na człowieka, który mnie słucha, który ma dla mnie czas, który mnie nie poucza, nie próbuje prostować na wszystkie możliwe sposoby. Człowiek rozpoznaje autorytet po tym, że ten ktoś ma dla nas czas, kto słucha nas i chce naszego dobra. Nawet wówczas, gdy jesteśmy ludźmi słabymi, popełniamy błędy, upadamy, to nie jest to ktoś, kto nas chce koniecznie naprawiać. On chce, żebyśmy zrozumieli, że trzeba iść dalej. Trzeba powstać. Miłość, nadzieja, wiara, zaufanie, wszystko właściwie się koncentruje na tym, że trzeba ciągle w życiu powstawać. To dla mnie jest kontekst rodzenia się autorytetu.

Odwołując się do tego kontekstu, przypomnę sytuację sprzed lat z mojego życia. W roku 1967, tuż po śmierci mojego ojca, niespodziewanie do naszego mieszkania zapukał ksiądz katecheta, który uczył mnie religii. Przyszedł, ponieważ miał świadomość, że komuś z jego klasy zmarł ojciec i że trzeba się tym kimś zainteresować. Nie pamiętam, o czym rozmawiał z mamą, ale pamiętam, że w pewnym momencie powiedział, żebym poszedł z nim. Posze-

dłem z nim na plebanię, gdzie dał mi pieniądze. Wręczył mi 500 zł, a w tamtych czasach było to bardzo dużo. Wyciągnął jeszcze jakieś słodycze i kakao i powiedział, że mam to oddać mamie. Choć minęło sporo lat, ten człowiek jest w mojej świadomości cały czas, pamiętam jego bezinteresowną wrażliwość, pomoc udzieloną zgodnie z biblijną zasadą „niech nie wie lewica, co czyni prawica”. Takiej dobroci serca nie da się zapomnieć.

Drugą osobą, o której chcę opowiedzieć, był inny ksiądz, który przede wszystkim rozmawiał ze mną. Dziś nazwałbym to permanentną działalnością wychowawczą, była to bardzo delikatna, taka wrażliwa obecność jego w moim życiu. Oddziaływał na mnie, wykorzystując zwykłe codzienne sytuacje. Kiedyś, na przykład, wychodziliśmy razem i ja mu chciałem podać płaszcz. On wstrzymał moją rękę i spytał: „a mamie podajesz?” „No nie.” „To mnie też nie będziesz podawał”. Czasem walczyłem sam ze sobą, żeby wprowadzać w swe życie działania, które on sugerował. Pamiętam, że zamierzałem zmienić szkołę. On mówił tak: „Pamiętaj, że to jest możliwe. Może wybrałeś źle, to zmień tę szkołę, ale rób tak, żebyś nie musiał więcej zmieniać. Bo inaczej będziesz człowiekiem, który skacze z kwiatka na kwiatek”. Lata mijają, ja ciągle utrzymuję kontakt z tym księdzem. Nigdy nie rozmawiałem z nim na temat tego, czy on jest dla mnie autorytetem, czy nie, myślę jednak, że ten przykład dobrze pokazuje, jak silnie autorytet wpływa na nasze życie i jak bardzo to zależy od wrażliwości, dobroci i troski o dobro drugiej osoby.

Kolejną osobą była moja nauczycielka polskiego w szkole średniej. Ona również wywarła na mnie znaczący wpływ. To była osoba, która obdarowała mnie ogromnym zaufaniem. To była taka sytuacja, w której nauczyciel z jednej strony wierzy w możliwości ucznia, a z drugiej strony pokazuje mu sposoby wykorzystania tych możliwości, zaszczeplając w nim pewne wartości, rozbudzając potrzeby (np. uczestniczenia w życiu kulturalnym, przez wyjazdy do teatru, opery, zachęcanie do czytania).

Wydaje mi się, że w rozważaniu na temat autorytetu ważne jest też, by zdać sobie sprawę, że jeżeli wykorzystujemy inspiracje dawane nam przez osoby, będące dla nas autorytetami, zyskujemy większą radość życia, poczucie jego sensowności, umiemy lepiej wykorzystać własny potencjał.

Ostatni przykład, o którym chciałbym powiedzieć, nie dotyczy osobistego spotkania, Henry'ego Nouwena znam bowiem tylko z jego książek. Nouwen wykładał na najlepszych amerykańskich uniwersytetach. Pomimo oszałamiającej kariery, czegoś mu brakowało. Pewnego dnia spotkał Jeana Vaniera, który wysłuchawszy jego historii, zasugerował mu, żeby zostawił to wszystko i poświęcił się pracy z osobami niepełnosprawnymi. Nouwen to zrobił. Teraz ja czytam jego książki i myślę sobie – to niezwykle człowiek. Urzeka mnie jego umiejętność wydobywania głębokiej mądrości z pozornie niewiele znaczących drobiazgów. Pozwolę sobie przytoczyć dwie sceny. Oto Nouwen opisuje, jak przyszedł do ośrodka dla niepełnosprawnych, miał zjeść z nimi obiad i nagle uświadomił sobie, ile w nim i w nas wszystkich jest próżności. Zrozumiał bowiem, że dla tych ludzi nie ma znaczenia, że pracował na najlepszych uniwersytetach. Że nie docenią tego, że napisał już ze trzydzieści książek. Że nie może pokazać, jaki jest dobry, nawet w ten sposób, że podzieli się kotлетem, bo człowiek, któremu chciał oddać kotlet, daje mu znak, że nie lubi mięsa. Uświadomił sobie wówczas – pisze – że nie chodzi o to, by ludzi epatować swoją wielkością, dobrocią, mądrością itd., żeby czuli, że są mi poddani przez to, że ja jestem kimś. Chodzi o to, że ja muszę być człowiekiem, który tych ludzi, jacy zostali mu dani, po prostu kocha.

Kolejna scena pokazuje, jak bardzo Nouwen był otwarty na ludzi. Miał pojechać do Nowego Jorku, aby wygłosić jakiś ważny wykład w szacownym gronie. Gdy mówił o tych planach, jeden z niepełnosprawnych powiedział, że pojedzie z nim i będzie mu pomagał. Proszę sobie wyobrazić, jaka to niezręczna sytuacja – Nouwen ma wystąpić w roli ważnego mówcy przed ważnymi ludźmi, a przy nim będzie stał jakiś chłopiec, który będzie mu przewracał kartki w czasie wykładu. Ale Nouwen wziął go ze sobą. Nie bał się śmieszności. Autorytet buduje się czasem z drobnych gestów. Gdy czytam Nouwena, świat dla mnie staje się piękniejszy. Gdy mam zły dzień i nic mi nie wychodzi, to biorę sobie którąś z książek Nouwena i uspokajam się, bo od niego promieniuje tyle ciepła, tyle dobra i tyle optymizmu.

Ks. Zdzisław Wojciechowski

Czas mojego dorastania to był zupełnie inny czas niż dzisiaj. Telewizor dopiero wchodził do domów, nie było Internetu, a jedy-



Fot. 35. Ks. Zdzisław
Wojciechowski

na rozrywka, która dla mnie była wtedy dostępna, to było czytanie książek. Kiedy miałem lat 15, jedyne pismo, które wten-
czas funkcjonowało jako pismo religijne, to było „Słowo Powszechne” wydawane przez PAX. Było to pismo, które w moim domu było do czytania i ja od czasu do czasu rozwiązywałem w nim krzyżówki i czasem wysyłałem rozwiązania. Pamiętam, że za jedno z takich rozwiązań otrzymałem w nagrodę Pismo Święte. Dzisiaj zdobycie Pisma Świętego nie jest żadnym problemem, kto chce, wejdzie do księgarni i po prostu je kupi. W tamtym czasie, w początkach lat siedemdziesiątych, tak nie było. Wielkim sukcesem było, gdy księgarnia Świętego Wojciecha otrzymała pozwolenie na wydrukowanie trzech czy pięciu tysięcy egzemplarzy. Pismo Święte, właściwie Nowy Testament, który wów-

czas wygrałem, spowodował moje zainteresowanie osobą Jezusa Chrystusa, który to Człowiek – Bóg stał się najważniejszym autorytetem w moim życiu. W tamtym okresie bardziej Go rozumiałem jako nauczyciela życia czy mądrości. Dzisiaj na inne elementy zwracam uwagę, ale myślę, że dla mnie w życiu jest to najważniejsza Osoba i najważniejszy autorytet. Kiedy podejmuję najprzeróżniejsze decyzje, nawet takie, które okazały się niefortunne, to jest to Ktoś, kto zawsze mnie akceptuje i kto zawsze okazuje mi życzliwość, przyjaźń i miłość. Religijność w judaizmie, podobnie jak w katolicyzmie, jest religijnością legalistyczną, zwracającą uwagę na to, czy przykazanie zostało spełnione, czy poszedłeś do synagogi, czy studiowałeś Torę itd., czyli, czy pewne nakazy czy zakazy zostały spełnione. Jezus wyszedł poza tę logikę legalizmu. Dla Niego nie było najistotniejsze, czy czyn zawsze odpowiada normie, ale czy rzeczywiście chodzi w nim o bliską relację przyjaźni z Panem Bo-

giem, czy także chodzi o autentyczną przyjaźń i dobro drugiego człowieka. Normy kulturowe, czy nawet religijne, Jezus pokazywał w nowym świetle. To dla mnie było fascynujące, postawienie nie na legalizm, tylko na przyjaźń i wolność. Jezus nikogo nie zmuszał, ogromnie szanował wolność. To mnie – muszę powiedzieć – bardzo mocno pociągało. Mówił „jeśli chcesz” – i dawał czas na refleksję, na to, żeby dojrzeć. Nie naciskał, nie stawiał nikogo pod presją.

Dziedzinami, którymi od lat się interesuję, jest judaizm i kultura antyczna. Pragnę lepiej zrozumieć warunki funkcjonowania ludzi w tamtym okresie, żeby bardziej rozumieć Jezusa. To pozwala lepiej widzieć Jego wielkość, Jego autorytet i zapoczątkowany przez Niego przełom. Ogromnie się cieszę i jestem dumny, że jestem Jego uczniem.

Z ludzi, którzy byli dla mnie autorytetami, pierwszą osobą był mój dziadek. Wielkopoolanin, człowiek, który był bardzo dobrze zorganizowany, bardzo pracowity, a to dobrze zorganizowane życie łączył z prawie dziecięcą pobożnością. Było to u niego coś naturalnego, że trzeba się pomodlić, że trzeba w niedzielę świętować, być na Eucharystii. Było to dla niego oczywiste i normalne. Nie było to coś nad czym on się zastanawiał, to płynęło z niego. Kiedy patrzę na moje dalsze losy, to widzę, że w dużej mierze jego przykład bardzo był dla mnie ważny, był autentyczny i pociągający. Do tej pory jestem jego osobą zafascynowany, mimo że od 1973 roku już nie żyje.

Później, kiedy miałem lat 16, zachęcony przez znajomego kupiłem dwutomową książkę James’a Brodrick’a, irlandzkiego jezuitę „Powstanie i rozwój Towarzystwa Jezusowego”. Tom pierwszy był o świętym Ignacym, a tom drugi o świętym Franciszku Ksawerym – wielkim misjonarzu w Japonii i wysp między Japonią a Chinami. Ta książka zrobiła na mnie ogromne wrażenie, tak że później było czymś naturalnym, że gdy zdałem maturę, wstąpiłem do jezuitów. Do mnie bardzo dużo dociera przez książki lub przez bardzo konkretne spotkania z ludźmi.

Kolejną osobą dla mnie ważną był o. Stefan Miecznikowski SJ (rocznik 21), którego poznałem w Kaliszu tuż przed rozpoczęciem nauki w szkole średniej. Był on przed wojną w harcerstwie, które mu na całe życie wpoilo głęboki patriotyzm i wrażliwość na sprawy społeczne. Przez wiele lat był duszpasterzem akademickim w Lublinie i Łodzi. To z jego duszpasterstwa rekrutowali się działacze

niepodległościowej organizacji „Ruch”, rozbici i aresztowani przez SB w 1967 roku. Dobro ojczyzny leżało mu głęboko w sercu. Dzięki kontaktom z jezuitami kaliskimi miałem kontakt z ich biblioteką, z czego bardzo często korzystałem. Ta tradycja niepodległościowa przekazywana przez o. Stefana była dosyć żywa u mnie. Pamiętam, że w szkole średniej, podczas lekcji historii, dyskutowałem z nauczycielem o represjach i wywózkach sowieckich na Sybir ludności kresowej, pamiętam też dyskusje na lekcjach „wiedzy o Polsce i świecie współczesnym” – czy w konstytucji powinien być zapis o przewodniej roli partii, czy też nie. Był to 1976 rok. Pamiętam te dyskusje, mogłem sobie na nie pozwolić, bo dość dobrze się uczyłem i mogłem mieć własne zdanie i zbytnio mnie nie interesowało, co kto powie i jakie będą konsekwencje. Był to czas, kiedy wiedziałem, że chcę iść do jezuitów i nie musiałem się martwić, że ktoś da mi złą opinię i nie dostanę się na studia, mogłem więc sobie na to pozwolić. Ten typ księży reprezentował później ks. Jerzy Popiełuszko w Warszawie. Dla mnie, pochodzącego z Wielkopolski, taka działalność kapłanów nie była obca. Takich kapłanów mieliśmy na co dzień – społeczników, ludzi, którzy byli bardzo oddani zarówno Panu Bogu, jak i tym przeróżnym postawom patriotycznym, a nade wszystko troszczących się o ludzi, organizujących życie społeczne, życie publiczne czy nawet organizujących spółdzielczość bankową, czy różne formy samoobrony społecznej itp. O. Stefan był dla mnie przykładem człowieka, który był kontynuatorem wielkich społeczników – księży, którzy bardzo mocno zaważyli na naszej historii. To na pewno dla mnie był człowiek, którego wiara i zaangażowanie patriotyczne porywało – też w jakiś sposób starałem się go później naśladować w latach 1983-89.

Niewątpliwie dużym autorytetem była dla mnie osoba Jana Pawła II. Całe moje kapłaństwo było w czasie tego pontyfikatu. Wiele było takich elementów, które były dla mnie fascynujące w tym człowieku, na przykład jego autentyczność w wierze. Takie prawie dziecięce zaufanie Panu Bogu. To jest to, co widzimy u Jezusa. Powierzenie wszystkiego Panu Bogu, najprzeróżniejszych spraw. To nie było tylko coś na poziomie wychowania religijnego, katolickiego, jakie otrzymał z domu, ale to było coś bardzo głęboko przeżyte na poziomie intelektualnym, ale także na poziomie charakteru, na poziomie jego postaw.

Na zakończenie chcę powiedzieć o jeszcze dwóch osobach, które były dla mnie ważne. Podejmowały one refleksje na temat życia, sensu życia, sztuki dobrego życia i nauki. To był ksiądz profesor Józef Tischner i zmarły nie tak dawno profesor Leszek Kołakowski. Tego pierwszego znałem osobiście i myślę, że dość dobrze. Kiedy byłem studentem filozofii w Krakowie, to chodziłem na jego wykłady i tam właśnie rozpoczęła się nasza znajomość, która później trwała prawie do końca jego życia. To był człowiek z jednej strony niebywałego i przenikliwego intelektu, a z drugiej autentycznej wiary. Widać to było w jego umiejętności mówienia o Panu Bogu. Przez długie lata jako profesor filozofii i antropologii chrześcijańskiej miał kazania i odprawiał Msze Święte dla dzieci. Wiadomo, że najtrudniej jest mówić o trudnych sprawach w prostych słowach. Do dzieci nie ma innej możliwości. Wypowiedź trzeba dostosować do mentalności dzieci, a równocześnie mówić językiem niebanalnym i nie dziecinnym. Jemu to się udawało. To było widać, że mówi o tym, co było przez niego głęboko przeżyte i znajdowało się w jego sercu.

Leszka Kołakowskiego cenię nie za tę jego działalność po wojnie jako działacza partyjnego, ale przede wszystkim jako człowieka, który autentycznie szukał prawdy. Jego ostatnie książki o sensie życia, o sztuce dobrego życia, o Panu Bogu, czy 26 kazań o istnieniu szatana robiły na mnie niesamowite wrażenie. Był to jednak człowiek, który nie przyznawał się wprost do chrześcijaństwa, chociaż pisał, że chrześcijaństwo jest mu bliskie. Ale był to człowiek głęboko szukający sensu życia i prawdy. Był w tym dla mnie bardzo autentyczny. Bardzo lubię czytać go książki i zмагаć się ze stawianymi tam pytaniami. Czasem te pytania są bardzo trudne, również i dla nas katolików. Myślę, że warto sięgać po te książki, bo czasem nie jest najistotniejsza odpowiedź, tylko proces szukania odpowiedzi.

Dyskusja

Andrzej Skoczek

Chciałbym opowiedzieć o sprawach dotyczących mojej młodości. Był to czas, kiedy podjąłem studia we Wrocławiu. Byłem bardzo młody, miałem zaledwie 16 lat. Przez grupę kolegów zostałem wysłany, aby przywieźć na spotkanie ze studentami pierwszego roku sędziwego profesora Aleksandra Zakrzewskiego, pamiętającego przedwojenne czasy Lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej. Dla mnie to było nieprawdopodobnie trudne zadanie i wielkie przeżycie. Jechałem taksówką marki „Warszawa” na odległy Biskupin (dzielnica profesorska we Wrocławiu), żeby przywieźć profesora. Jadąc, zastanawiałem się, jak ja będę rozmawiał z tak wybitnym naukowcem? On taki wielki autorytet, a ja młodziutki, nic nieznaczący student, rozpoczynający dopiero naukę. Profesor przyszedł punktualnie, wszedł do taksówki i zaczęliśmy rozmawiać. Rozpoczął rozmowę w sposób cudowny. Gawędziliśmy jak starzy, dobrzy znajomi. Po spotkaniu zorientowałem się, że profesor ma rzeczywiście niezwykle intelekt, jeśli potrafił ze mną, jak z kimś równym sobie, tak interesująco rozmawiać i to zupełnie nie o sprawach naukowych.

W latach późniejszych dużym autorytetem był dla mnie profesor, u którego broniłem pracę doktorską – wybitny naukowiec, specjalista z dziedziny mikrobiologii. Po latach zaczęliśmy ze sobą rozmawiać również na tematy religijne. Okazało się, że ten człowiek jest ignorantem religijnym i zupełnie nie rozumie przesłania Ewangelii. Zacząłem się zastanawiać, czy on dla mnie w dalszym ciągu jest autorytetem, czy już nie? Spojrzałem na nowo na jego dorobek naukowy i stwierdziłem, że choć niczego w nim nie brakuje, to magia autorytetu gdzieś prysła.

Wczoraj w parafii świętego Tomasza Apostoła odbyła się uroczystość z okazji jubileuszu 70. urodzin Księdza Prałata, naszego proboszcza. Przez 26 lat nieprzerwanie prowadzi naszą wspólnotę. Od początku organizował parafię i budował kościół. Dla wielu parafian ten kapłan jest autorytetem, choć nie dla wszystkich. Wiele osób uważa, że proboszcz postępuje nie tak, jak oni tego oczekują. Okazuje się, że w zależności od punktu widzenia i oczekiwań ta sama osoba dla jednych może być autorytetem, a dla innych już nie.

W pamięci narodowej są autorytety wydawałoby się oczywiste, jak Józef Piłsudski, Roman Dmowski czy Adam Mickiewicz. Nie dla wszystkich. Przed kilku laty, w czasie rozważań stacji drogi krzyżowej w Częstochowie, jeden z naszych kolegów lekarzy weterynarii, który prowadził rozważania, nazwał naszego wieszczę narodowego zdrajcą i najgorszym szpiclem carskim. Zaczął go obrażać w sposób trudny do opisania. Nie można było tego słuchać, zwłaszcza w czasie rozmyślania o własnych upadkach, wadach i ułomnościach. Rzeczywiście Mickiewicz w czasach młodości coś podpisał carskiej policji, bo inaczej nie byłby wypuszczony z więzienia. Uczynił podobnie jak pozostali jego rówieśnicy.

Możemy tak wyliczać, analizować i wykreślać różne autorytety z panteonu naszych bohaterów narodowych, z powodu ich rzeczywistych lub domniemanych wad, ale pojawia się pytanie, gdzie my wówczas będziemy, co nam Polakom pozostanie? Pytanie to pozostawiam bez odpowiedzi.

Ks. Zdzisław Wojciechowski

Chciałbym skierować pytanie do Pani Ani Ciepieli. Pani jest najmłodsza z nas. Czy młode pokolenie, do którego Pani należy, czy studenci mają jakieś autorytety i jacy ludzie nimi są? Czy są to tylko przejściowe sławy?

Anna Ciepiela

Nie chciałabym się wypowiadać w imieniu całej polskiej młodzieży, jest to ogromna zbiorowość, a ja znam z niej jedynie drobny wycinek. Ale sądzę, że w moim środowisku wielu ludzi myśli podobnie jak ja – szukają autorytetów w swoim otoczeniu, blisko siebie. Wychodzą z założenia, że naprawdę dobrze kogoś nie znając nie możemy powiedzieć z pełnym przekonaniem, że jest osobą godną szacunku we wszystkich aspektach swego ży-



Fot. 36. Anna Ciepiela

cia. Zdarza się, że człowiek powszechnie szanowany społecznie, w życiu prywatnym dopuszcza się rzeczy zupełnie niewybaczalnych.

Myślę, że moi znajomi i przyjaciele, osoby w moim wieku, szukają ludzi, którzy mają im służyć za wzór, blisko siebie, aby mieć pewność, że można im zaufać. Nasze otoczenie zmienia się bardzo szybko, mamy stały dostęp do informacji z całego świata, media tworzą bohaterów tylko po to, żeby następnego dnia ich obalić. Taką codzienność sprawia, że już nie wierzymy na słowo, musimy sami sprawdzić, dotknąć, zobaczyć.

Ks. Zdzisław Wojciechowski

Uważam, że młode pokolenie jest bardziej krytyczne niż my starsi i tak łatwo nie przyjmuje za swoje naszych autorytetów. Sądzę, że jest w tym duża doza autentyczności.

Elżbieta Pierścioneł

Są funkcje społeczne czy zawody, które z definicji cieszą się autorytetem. Myślę o nauczycielach, duszpasterzach, politykach. Osoby wykonujące te zawody często robią oszałamiające kariery w swoim środowisku czy też swojej partii, ale czy są wzorem dla młodzieży, którą kształcą i wychowują, czy są szanowani przez społeczeństwo, któremu powinni służyć. Jeśli już zdobyli zawód czy mandat, zdobyli autorytet, czy starają się go utrzymać.

Na co dzień potrzebne są nam autorytety, które nazwałabym podręcznymi: matka, ojciec, brat, przyjaciel. Pani Małgorzata powiedziała, że w wielu dziedzinach jej mąż jest dla niej autorytetem. Może polegać na jego zdaniu i opinii. Mogłoby się wydawać, że to takie oczywiste, a jakie rzadkie.

Może to zabrzmieć humorystycznie, ale zostałam autorytetem dla mojego pięcioletniego wnuka. Otóż jego starsza siostra Julia od września poszła do pierwszej klasy. Ambitny Jasio szybko nauczył się i potrafi wymienić wszystkie szkoły, jakie trzeba przejść przez życie, poczynając od przedszkola, aż po emeryturę. Nie myli kolejności i brnie bezbłędnie przez gimnazjum, liceum, uniwersytet...

– Jasiu, a skąd ty to wszystko wiesz? – zapytałam autentycznie zaskoczona.

– Julia mi powiedziała – odparł pewny swego. – Babciu, ale musisz mi jeszcze powiedzieć, co się robi po ... emeryturze.

Odpowiedź moja widać mu się podobała, bo powiedział: Dobrze babciu, że Ciebie zapytałem, bo dziadek to powiedział, że nie wie, jeszcze nie jest nawet na emeryturze, tylko ciągle na uniwersytecie.

Mój znajomy chirurg lubi żartować, że babcie dlatego mają taki dobry kontakt z wnukami, że są z nimi na tym samym poziomie intelektualnym. Chyba ma trochę racji.

Szczycę się tym, że jestem babcią, że obdarowuję wnuki swoim czasem, uwagą i sercem i znam ich potrzeby. Kiedy jesteśmy razem, nie czujemy potrzeby oglądania telewizji.

Ks. Zdzisław Wojciechowski

W podsumowaniu pragnę zwrócić uwagę na pewną prawidłowość – dlaczego teraz te nasze autorytety tak szybko się dewaluują. Chcę się posłużyć rozważaniami amerykańskiego mormona Steve'na Cowey'a. Może ktoś czytał jego książki „Siedem nawyków skutecznego działania” czy „Siedem nawyków szczęśliwej rodziny”. Książki jego są pisane tak, jakby je pisał głęboko wierzący chrześcijanin.

Zwraca on uwagę na jeden bardzo istotny element: przez wieki było coś takiego jak etyka charakteru i gdzieś, mniej więcej po pierwszej wojnie światowej już coraz rzadziej mówi się o charakterze i o rozwijaniu charakteru, mówi się natomiast o osobowości i rozwijaniu osobowości. Etykę charakteru zaczęła zastępować etyka osobowości. Charakter jest to cecha osobowości powiązana z zasadami moralnymi, natomiast osobowość to jest coś płynnego, czyli jak mnie widzą, jak mnie odbierają inni. Czy mam sukcesy, czy jestem gwiazdeczką mniejszą, czy większą? Żeby czasem być tą gwiazdeczką, to nie są ważne zasady moralne, które z kolei są szalenie ważne w etyce charakteru: dałem słowo, to dotrzymam, ślubowałem – nie wycofam się, albo że jestem lojalny, pracowity lub odpowiedzialny. Przy etyce osobowości zaś najważniejsze jest, żeby dobrze o mnie mówiono, żeby osiągnąć sukces, nawet jeżeli jest to kosztem kłamstwa czy nieuczciwości. Liczy się końcowy efekt albo to, że będę przez parę dni w świetle reflektorów. To, że okaże się następnego dnia, iż jestem szuja, to jest mniej ważne, bo zarobiłem duże pieniądze i wobec tego jestem kimś. Tak niestety jesteśmy obecnie kształtowani, nie przez etykę charakteru, lecz przez etykę

osobowości. Czyli szalenie dbamy o sondaże, o to, żeby być dobrze postrzegani, dobrze widoczni, natomiast nie jest istotne, czy jesteśmy ludźmi charakteru.

Jeżeli od tej strony popatrzyć, to nieliczni z naszych polityków są ludźmi charakteru. Dowodem mogą być obietnice wyborcze. Pięknie się opowiada, co się zrobi, później za parę miesięcy już się o tym zapomina, a jak ktoś to przypomina, to jest wrogiem czy przeciwnikiem. Jest ogromny deficyt ludzi z charakterem. Jest to przyczyna, moim zdaniem, dla której autorytety tak szybko się dezawuuują. Równocześnie mamy ogromne zapotrzebowanie na autorytety. Widząc, co się dzieje na zewnątrz, uciekamy w sferę prywatności, w sferę rodziny. Może to i dobrze, jeśli mamy rodziców, którzy są naszymi przyjaciółmi, są naszymi autorytetami. Może wtedy my inaczej będziemy później funkcjonować na uczelni, w pracy, w życiu publicznym.

Jeśli jednak brak nam autorytetów w domu rodzinnym, to będziemy mieli trudności w znalezieniu ich w życiu publicznym. Jeżeli widzimy, że w domu można kłamać, bo to się opłaca i to jest nagradzane, będziemy to samo robić w życiu publicznym czy na uczelni itd. Pamiętam przed dwoma laty, kiedy byłem na jednym z Konwersatoriów i przez moment stałem na kogoś czekając, posłyszałem rozmowę paru waszych rówieśników, którzy tutaj studiuja w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin. Jak posłuchałem ich rozmów, to w pewnym momencie zacząłem się za nich wstydzić i zastanawiać się, czy są to osoby wierzące, bo było słyhać mało miłe głosy na temat Kościoła. Zadaję wszystkim tu obecnym studentom pytanie, dlaczego, mając takie poglądy, ktoś przychodzi studiować do uczelni, która jest szkołą o ściśle określonym światopoglądzie, o określonym wyborze ideowym, moralnym, dlaczego taką szkołę wybiera. Nikt chyba nie przysłał ich tu pod przymusem.

Jeżeli mi to nie odpowiada, to po prostu idę do innej uczelni, dokonuję innego wyboru. Nie muszę chodzić do szkoły o określonym wyborze wartości. Nie muszę nazywać się chrześcijaninem i katolikiem. Wtedy jestem uczciwy w tym, co mówię. To nie jest tak, że jest to państwo wyznaniowe i wszystkie szkoły wyznają chrześcijańskie wartości. Są inne. Konkludując, życzyłbym sobie i wam, żebyśmy byli rzeczywiście ludźmi charakteru. Żebyśmy budowali nasze życie osobiste, rodzinne i społeczne na jasnych kryte-

riach dobra i zła, prawdy i fałszu, sprawiedliwości i niesprawiedliwości.

Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia życzę nam wszystkim, żebyśmy przyłgnęli do dobra, do prawdy i do konkretnej Osoby, która ma na imię Jezus Chrystus. Niech te Święta będą pełne dobra, przyjaźni i tej bliskości, którą daje Ten, który wszedł między nas jako Jezus Chrystus.

Bardzo serdecznie dziękuję wszystkim panelistom i słuchaczom. Spotkamy się po Nowym Roku.

Spisał z nagrania Bogdan Motelski

dc. **Dyskusji** (tekst otrzymany drogą korespondencyjną)

Jacek Mycielski (Toskania, Włochy)

Myślę, że każdy Polak zapytany, kto jest dla niego autorytetem, przytoczy spontanicznie imię Papieża Polaka. My – przedstawiciele Polonii – rzecz jasna dołączamy się do tego chóru. Dodam tylko, że ku naszemu zaskoczeniu, regularnie – jeszcze teraz – słyszymy we Włoszech imię papa Giovanni Paolo Secondo na wielu ustach. Po domach i na wejściach do kościołów są wystawione ciągle Jego fotografie lub cytaty wypowiedzi, spotykamy – tak jak w kraju – osoby, które twierdzą, że JPII miał wpływ na ich osobiste drogi życiowe. Ciepło na sercu, a wszystkie słyszane kiedyś cierpkie uwagi typu „wy Polacy – *évidemment* – gloryfikujecie swojego papieża” w tej sytuacji potwierdzają się jako tendencyjne lub wręcz bezsensowne.

Generalnie autorytet rysuje mi się jako człowiek, który odpowiednio, proporcjonalnie rozwinął i zrealizował swoje – dane mu – możliwości. Chodzi o równowagę ducha, o zdrowy rozsądek, o wybór i utrzymanie właściwych priorytetów życiowych. Innymi słowy, autorytetem nie będzie dla mnie ktoś sławny czy ogólnie podziwiany, jeśli jakieś istotne strony jego życia są zaniedbane. Wielki artysta czy polityk nie będzie dla mnie autorytetem, jeśli na przykład jego małżeństwo jest rozbite, dzieci się narkotyzują, a on sam kończy swoją egzystencję poza nawiasem godności. Autorytetem może być dla mnie ktoś z mniejszą renomą, mniej podziwiany, ale z równowagą w istotnych dziedzinach życia. No i ... poznać go po owocach.



*Co dla mnie znaczy fragment
Modlitwy Pańskiej:
«Odpuść nam nasze winy, jako i my
odpuszczamy naszym winowajcom»?*

Cytaty

Ks. bp. Kazimierz Romaniuk. Komentarz do codziennego paciera (fragmenty)

Prośba najusilniejsza albo próba przekonania Boga.

Jest to nie tyle prośba, co formalna argumentacja, albo próba przekonania Boga Ojca, że powinien dać nam to, o co Go prosimy? Argumentacja zaś na tym polega, iż odwołujemy się do naszych zasług: odpuść nam, bo i my odpuszczamy. Do argumentacji tej ewangelista Mateusz zdaje się przywiązywać szczególną wagę, gdyż po ostatniej prośbie „Modlitwy Pańskiej” dołącza dwuwiersz, który brzmi:

„Jeśli bowiem przebaczycie ludziom ich przewinienia, i wam przebaczy Ojciec wasz niebieski. Lecz jeśli nie przebaczycie ludziom, i Ojciec wasz nie przebaczy wam waszych przewinień” (Mt 6, 14n).

Jest to, w gruncie rzeczy, odwołanie się do Bożej sprawiedliwości.

Zauważmy, iż nie jest to szczególna nowość w Piśmie św. W księdze Syracha (28, 2) czytamy:

„Odpuść przewinę bliźniemu, a wówczas, gdy błagać będziesz, zostaną ci odpuszczone grzechy. Gdy człowiek żywi złość przeciw drugiemu, jakże u Pana szukać będzie uzdrowienia?”

Istota omawianej tu argumentacji polega na odwołaniu się do Bożej sprawiedliwości. Człowiek zdaje się rozumować tak: Jeśli Bóg jest sprawiedliwy, to niech mnie potraktuje tak jak ja traktuję innych; niech przebaczy, ponieważ ja też przebaczam.

Oświadczenie „bo i my odpuszczamy naszym winowajcom” dotyczy nie tylko przeszłości, nie tylko krzywd już doznanych i już odpuszczonych lecz naszej postawy na przyszłość także: jesteśmy gotowi przebaczać zawsze, do końca naszego życia. I na dobrą sprawę tylko taka postawa uprawnia nas do domagania się przebaczenia od Boga.

„Bóg przenigdy nie jest naszym Ojcem tak bardzo jak wtedy, kiedy kocha i przebacza, a my nigdy nie jesteśmy Jego dziećmi tak

bardzo jak wtedy, kiedy czynimy to samo w stosunku do naszych braci” (słownik teologii biblijnej, 626).

Prośba o odpuszczenie obciążających nas przewinień dotyczy już życia przyszłego.

A jeśli nie przebaczymy?

Aż strach pomyśleć, w co przemienia się to przekonywanie Boga, jeśli my w rzeczywistości jednak nie przebaczymy. Czasem zuchwaltwem jest przechwalanie się przed Bogiem uczynkami, które co gorsza, często nie miały miejsca. Bo ileż razy zdarza się, że całe miesiące i lata nosimy w sercu nienawiść do naszych bliźnich, wcale im nie przebacząc! I na tym polega tragizm naszego zachowania się, gdy wypowiadamy tę prośbę Modlitwy Pańskiej. Po prostu oszukujemy Boga. Jakby przewidując tego rodzaju sytuację starotestamentalny Mędrzec Pański przestrzega:

„Nie będziesz kłamał słowem w swej modlitwie” (Ko 5, 1).

A Syracedes prawie z oburzeniem pyta:

„Ty, jako człowiek, chowasz gniew na człowieka, a sam u Boga szukasz zmiłowania? Sam nie masz miłosierdzia dla człowieka podobnego sobie, a Boga prosisz o odpuszczenie własnych grzechów?” (Syr 28, 3).

I jakże Pan Bóg ma nas wysłuchać? Kary słusznej powinniśmy się spodziewać a nie wysłuchania Bożego. Całe szczęście, że Pan Bóg nie jest jak człowiek.

Powiedzieliśmy już, że ta prośba o przebaczenie jest najusilniejsza ze wszystkich prośb całej Modlitwy Pańskiej. Równocześnie jest to jednak prośba najbardziej nas zobowiązująca. Zobowiązanie dotyczy nie tylko przebaczenia w ogóle, ale konkretnego rachunku sumienia, jaki sobie trzeba czynić ilekroć wypowiada się tę prośbę.

O potrzebie przebaczenia mówił często Jezus, a najwyraźniej chyba w tym oto poleceniu:

„Jeśli więc przyniesiesz dar twój przed ołtarz i tam wspomnisz, że brat twój ma coś przeciwko tobie, zostaw tam dar twój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim a potem przyjdź i dar swój ofiaruj” (Mt 5, 23n).

KONWERSATORIUM XXXVI (16.01.2010)

**Co dla mnie znaczy fragment Modlitwy Pańskiej:
„Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy
naszym winowajcom”?**

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii im. bł. Edmunda Bojanowskiego), Rafał Wieczyński (reżyser), Sebastian Domała (aktor), ks. Włodzimierz Kwieciński, Tadeusz Pieńkowski (członek Instytutu Katyńskiego w Polsce).

Ks. Adam Zelga

Jednym z największych problemów, z jakim spotkałem się w dzieciństwie, było powiedzenie Chrystusa o nadstawianiu drugiego policzka. Przez wiele, wiele lat nie mogłem sobie z tym poradzić, bo wydawało mi się, że jest to propozycja nie na miarę człowieka. Potem, w miarę upływu czasu, doszedłem do wniosku, że w zasadzie ludzkość ma szanse rozwoju w dwóch kierunkach: albo będzie to kierunek wiecznej wendety, odwetu, zemsty, albo będzie to kierunek kształtowania w sobie zdolności do przebaczenia.

Dawno temu przeczytałem powieść Dostojewskiego „Idiota”, gdzie jest taka scena, która mną wstrząsnęła i którą do dziś noszę w sobie jako archetyp tej cywilizacji przebaczenia. Otóż jest to scena, w której lokaj księcia Myszkina, rosyjskiego księcia, kłóci się ze swoją siostrą. Jak wiecie, kobieta (przepraszam wszystkie Panie), potrafi wyprowadzić z równowagi nawet niezwykle spokojnego mężczyznę, więc lokaj w zdenerwowaniu zamierza uderzyć swoją siostrę i wtedy wkracza między siostrę i brata, między tych dwoje, księżę Myszkina, który mówi; „Jeżeli masz ją uderzyć, to lepiej mnie uderz.” I dzieje się rzecz przerażająca, ponieważ lokaj, niewiele myśląc, wyprowadzony z równowagi przez swoją siostrę, powala księcia na deski. A co robi księżę?

Otóż to była dla mnie jakby odpowiedź na to, co jest propozycją tej umiejętności przebaczenia, wyjścia drugiemu człowiekowi na przeciw w takiej sytuacji. Księżę po chwili wstaje, dochodzi do siebie, otrzepuje spodnie i mówi, patrząc swojemu lokajowi prosto



Fot. 37. Paneliści: ks. Adam Zelga, Tadeusz Pieńkowski, Rafał Wieczyński, ks. Włodzimierz Kwieciński, Sebastian Domagała

w oczy: „Pan się będzie za chwilę tego bardzo wstydził”. Ja noszę to w sobie jak wielki skarb, wielkie odkrycie.

Bardzo serdecznie witam naszych gości, na czele z panem Tadeuszem Pieńkowskim, którego ojciec zginął zamordowany w Rosji Sowieckiej, w czasie drugiej wojny światowej. Pan Tadeusz, oprócz swojej pracy zawodowej, przez całe życie, w sposób głęboko naukowy i emocjonalny, poszukiwał dokumentów na temat zbrodni katyńskiej.

Serdecznie witam pana Rafała Wieczyńskiego, który jest reżyserem świetnego filmu pod tytułem „Popiełuszko.” Jest w nim wstrząsająca scena o przebaczeniu.

Witam księdza Włodzimierza Kwiecińskiego, który ma bardzo barwny życiorys: od opozycjonisty przez twórcę działu fotograficznego jednej ze znanych gazet; przez aktorstwo do kapłaństwa.

Witam pana Sebastiana Domagałę, który grał w filmie „Popiełuszko” rolę jednego z negatywnych bohaterów.

Ks. Włodzimierz Kwieciński

Jak przystało na księdza, zacznę od wstępu teologicznego. Akurat tak się składa, że obecny czas to czas głównie odwiedzin duszpasterskich po domach. Czasami się trafia też na wyznawców in-



Fot. 38. Ks. Włodzimierz Kwieciński

nych wyznań chrześcijańskich. Tym, co nas łączy, jest modlitwa, którą wszystkie wyznania znają, wypowiadają, modlitwa, której nauczył nas Jezus Chrystus, w której zawarte są właśnie słowa odnoszące się do naszego dzisiejszego tematu: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Właściwie, jeśli chodzi o Biblię, to mamy tam dwie wersje, dwa sposoby podejścia do tego sformułowania. W wersji Łukaszej będzie akcent położony bardziej na nieprawości, które człowiek wyrządza, czy też grzech. Słowo greckie *αμαρτία* to jest słowo, które odnosi się właśnie do grzechu.

W wersji Mateuszowej jest bardziej mowa o odpuszczaniu długów. To słowo polskie, które jest w naszej modlitwie – „I odpuść nam nasze winy” ma pierwotnie odniesienie do długu, który mamy wobec Pana Boga. Można być komuś winnym spłaty jakiegoś długu i można być winnym wobec kogoś. Dobrze jest pamiętać, że w słowie polskim wina są zawarte dwa znaczenia. Prosimy Boga, by nam odpuścił – czyli wybaczył popełnione wobec Niego przez nas winy, nasze grzechy i darował zaciągnięte wobec Niego długi. Te długi to byłyby dary, które Jezus nam daje, które zmarnowaliśmy, nasze zaniedbania też nieczynienie dobra. I jako jedynego z naszej strony gestu wdzięczności za owo darowanie, tego gestu małego bodaj wyrównania, chce, byśmy zobowiązanie odpuszczenia win podjęli także wobec naszych dłużników. Czasami trudno wyrównać to

wobec Pana Boga, więc podejmujemy ten gest wobec tych, których skrzywdziliśmy lub zaniedbaliśmy wobec nich czynienie dobra.

Pamiętamy ten fragment Ewangelii, w którym św. Piotr pyta Pana Jezusa: „Ile razy mam przebaczać moim winowajcom...” Pan Jezus mówi, że aż siedemdziesiąt siedem razy. To jest bezpośrednie odwołanie do Starego Testamentu. W rzeczywistości ten przykład oznacza, że mamy przebaczać zawsze. A symboliczne odniesienie jest do grzesznego prawa zemsty, wendety w Starym Testamencie, siedemdziesięciokrotnego prawa zemsty, które głosi Lamek – potomek Kaina, o czym opowiada Księga Rodzaju (Ks. Rodz. 4: 23-24;).

Pan Jezus, odpowiadając Piotrowi, umieszcza w tej wersji, którą spisał św. Mateusz, przypowieść o dłużniku, któremu pan darował olbrzymi dług. Ów sługa-dłużnik, gdy tylko opuścił dom swojego pana, rzuca się na swojego sługę, który był mu winien niewielką sumę pieniędzy, żądając zwrotu. W końcu wtrąca go do więzienia. W rezultacie pan cofa ten niewłaściwie darowany dług słudze, który postąpił niezgodnie z przyjętą normą, z przyjętym przykazaniem.

Ta przypowieść o długach pieniężnych tak naprawdę ma dużo szersze znaczenie. Stanowi ona odpowiedź na pytanie Piotra o odpuszczaniu win. Każda wina jest jakimś długiem. Ale nie każdą krzywdę da się wyrównać. Nie każdy dług można spłacić. Bardzo często możemy tylko liczyć na darowanie nam win przez ludzi, naszych bliźnich, kiedy odpuszcza je rzeczywiście Pan Bóg.

Ta przypowieść, do której się odwołuję, mówiąca o niewspółmierności długu wobec Boga a długiem wobec ludzi, wobec bliźnich, wskazuje, jakie zobowiązanie Pan Bóg na nas kładzie. „Odpuść nam nasze winy...” – chcemy tego żądać od Pana Boga, ale Pan Bóg stawia warunek, że najpierw musimy przebaczyć naszym winowajcom.

W innym miejscu Ewangelii mamy przykład, kiedy sługa przychodzi modlić się do świątyni, a Pan Jezus mówi: najpierw idź i przebacź swoim wrogom, a dopiero wtedy będziesz mógł przestać ten próg Świątyni Pańskiej.

Tak naprawdę mogę powiedzieć, że jest dla mnie głęboko poruszającym doświadczeniem tej modlitwy, kiedy wypowiadam słowa (teraz w czasie wizyt kolędowych nawet kilkanaście albo kilkadziesiąt razy w ciągu dnia), które mają warunek, że najpierw ja muszę odpuścić winy wobec moich winowajców, a dopiero potem mogę domagać się przebaczenia od Pana Boga.

W modlitwie „Ojcze nasz” Jezus uczy nas, że możemy otrzymać od Boga odpuszczenie grzechów wówczas, gdy my rzeczywiście odpuszczamy drugim. To efekt czy też skutek miłości Boga, która pociąga nas do Niego. Miłość ta nie jest w stanie poruszyć naszych serc bez wzbudzenia w nas miłości do współbliźnich czy współbraci. Po ukończeniu swej modlitwy Jezus dodał jeszcze słowa: „Bo jeśli ludziom odpusicie ich przewinienia, odpuści i wam Ojciec wasz Niebieski. A jeśli nie odpusicie ludziom i Ojciec wasz nie odpuści wam przewinień waszych” (Mt 6, 14n).

Często w praktyce duszpasterskiej – zwłaszcza na terenie podmiejskim – doświadczałem konieczności tłumaczenia, że dopóki spór o przysłowiową miedzę nie doczeka się ostatecznego rozwiązania i nie zostanie zażegnany, tak długo obraz naszego chrześcijaństwa będzie wykoślawiony, a całe przykazanie miłości będzie wzięte w cudzysłów. Trzeba zrozumieć, że kto nie jest gotów do odpuszczenia, ten sam zamyka sobie źródło, z którego jedynie może otrzymać miłosierdzie.

Uważam, że nie powinniśmy myśleć, iż mamy prawo nie odpuścić innym, gdy nie przyznają się do wyrządzonej krzywdy. Potrzebna jest, oczywiście, skrucha i wyznanie win, ale i my powinniśmy mieć litość nad tymi, którzy zgrzeszyli przeciwko nam, bez względu na to, czy za swe przestępstwo żałują, czy nie. Nawet gdy nas bardzo obrazili, nie powinniśmy żywić w sobie smutku lub litować się nad sobą, ale wszystkim, którzy przeciwko nam grzeszą, mamy tak odpuścić, jak byśmy chcieli, aby nam Bóg odpuścił winy popełnione względem niego.

Już podczas swojej świętej męki prosił On Ojca o przebaczenie dla swoich oprawców, a na samym krzyżu przebaczył z miłością łotrowi i obiecał mu raj.

Jeśli my przebaczymy sami sobie popełnione przewinienia i On nam je przebaczy. Wiemy, że człowiek będąc jednak słabym i kruchym stworzeniem, nie zawsze potrafi walczyć z pokusami, złem i grzechem. Bóg o tym wie i dlatego przez Swojego Syna objawia nieskończoną wielkość, dobroć, miłość i hojność Ojcowskiego Serca wobec człowieka. Bóg znosi wszelkie granice dla miłosierdzia, przebaczenia i pojednania. Bezwarunkowo odpuszcza grzechy, wystarczy prawdziwy żal. Bo – jak mówi ojciec Józef Augustyn: „jeśli sami dręczymy się własnymi słabościami, to nie dlatego, że Bóg

z trudem nam je przebacza, ale tylko dlatego że sami nie umiemy uwierzyć w hojność Jego przebaczenia”.

Rafał Wieczyński

W swoich rozważaniach nad Modlitwą Pańską zwracam uwagę na to, że zwrot „jako i my odpuszczamy” to jest właściwie jedyne działanie z naszej strony. W całej modlitwie jest prośba i wychwalanie Boga, a to jest jedyna rzecz, którą my możemy dać od siebie. Reszta to jest: „Święć się Imię Twoje..., Daj nam chleba...”, a tutaj my coś ofiarowujemy od siebie. Jest to wyrzeczenie się nienawiści, czyli w gruncie rzeczy bilet wstępu do dialogu z Panem Bogiem.

Swoje refleksje będę odnosił do księdza Jerzego, gdyż praca przy filmie i próba rozpoznania duchowości ks. Jerzego były dla mnie najgłębszym doświadczeniem, również w rozpoznaniu Chrystusa. W życiu ks. Jerzego obserwowałem nie tylko drogę do Chry-



Fot. 39. Rafał Wieczyński

stusa, ale także Jego naśladowanie. Dla księdza Jerzego największym przeciwnikiem człowieka była jego własna nienawiść.

Mówi o tym scena, w której ks. Jerzy wychodzi z sądu (część z Państwa pewnie widziała film) podczas procesu hutników i wybiega za nim Roma Szczepkowska: „Co się z księdzem dzieje?”, a on najpierw nie chce nic powiedzieć. Nie będzie się spowiadał

przed kobietami, nie ma takiego zwyczaju, jest normalnym kapłanem, ale w pewnym momencie mówi – „uciekam przed nienawiścią”. Ona dalej pyta, a on powtarza – „uciekam przed nienawiścią”. To jest najważniejsza sprawa, o jaką on walczy zarówno ze sobą, jak i dla niej.

Co oznacza przebaczenie? Czy jest to przejście do porządku, w wymiarze społecznym, na przykład nad zdradą? Czy samo przebaczenie otwiera drogę do pojednania? Na pewno otwiera, ale nie jest pojednaniem. Zwróciło moją uwagę, że ks. Jerzy, za Ojcem Świętym, mówił, iż „miłość jest warunkiem pojednania, tak samo jak sprawiedliwość” i że „powinno być oparte na prawdzie”. Podobnie w sakramencie pojednania najpierw szczerze wyznajemy grzechy, okazując skruchę, potem dopiero następuje pojednanie, czyli że jest to warunek. Oczywiście z drugiej – Boskiej strony – jest wielka gotowość.

Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiło na mnie świadectwo św. Marty, która zapytana, kiedy właściwie nam Pan Bóg przebacza, powiedziała, że w momencie, gdy wychodzimy z domu z decyzją, żeby pójść do spowiedzi. Jak pojawia się pragnienie pojednania, to już mamy niejako wybaczone. Jednak musimy tego sakramentu dopełnić i wyrazić skruchę.

W wymiarze społecznym też skrucha musi być. Przebaczenie komuś jest jakby wstępem z naszej strony w kierunku jego nawrócenia. Ale czy powinniśmy wtedy przestać domagać się sprawiedliwości?

Ksiądz Jerzy modlił się za ludzi służących reżimowi PRL, jako tych ogarniętych kłamstwem i nienawiścią, za ofiary zła. Jest taki moment w filmie, też zaczerpnięty z życia, kiedy parę osób mówi ks. Jerzemu: „Dlaczego tak owijasz w bawełnę? Cytujesz tylko Ewangelię. Dlaczego nie powiesz wprost: Urban, Kiszczak, Jarużelski..., dlaczego nie powiesz po nazwisku?” A on na to: „Czy wy nic nie rozumiecie? Ja walczę ze złem, a nie z ofiarami zła”. Ksiądz Jerzy wszystkim przebaczył, ale to nie znaczy, że zaprzestał swojej działalności domagania się prawdy, domagania się sprawiedliwości. Jako kapłanowi zależało mu też na tych, którym przebaczył.

Tego jego przyjaciele nie rozumieli i czuł się często samotny. Z drugiej strony, nie zawsze spotykał się ze zrozumieniem kolegów kapłanów, bo był wtedy jakby dla nich za blisko ludzi, za blisko tych swoich przyjaciół.

Chciałbym wrócić jeszcze do sceny procesowej. Sędzia wtedy uniewinnił hutników. Na samym początku stanu wojennego był taki okres, kiedy sędziowie często uniewinniali uczestników strajków – oczywiście tylko niektórzy sędziowie. Sędzia Lewandowski hutników uniewinnił. Potem jednak odbywały się przymusowe rozmowy sędziów z przedstawicielami służb bezpieczeństwa i ten sam sędzia, kilka tygodni później sądził sprawę identyczną, tylko dotyczącą robotników z Ursusa, i już ich wszystkich skazał na trzy lata. A było to dokładnie to samo. Sędziowie byli zastraszeni, panował powszechny strach.

Parę lat po tych procesach w 1983 roku przyjeżdża Ojciec Święty i ksiądz Jerzy dysponuje zaproszeniami dla swoich przyjaciół. Wtedy pamięta też o sędzim Lewandowskim, żeby dla niego było koniecznie zaproszenie. Hutnicy się buntują: „jak to, przecież to sprzedawczyk! Przecież on...” Wtedy on im tłumaczy: To jest walka o tego człowieka, żeby się nie bał, żeby go zaprowadzić do Papieża, żeby posłuchał, żeby przestał się lękać. Największym wrogiem człowieka jest jego własny lęk. A ksiądz Jerzy dawno mu już przebaczył.

Przebaczyć, bez domagania się prawdy, to jakby zrezygnować z kogoś. Tak ja to pojmuję. Oczywiście trzeba przebaczać, ale nie zwalnia to nas z dalszych obowiązków. Na przykład, w sprawie katyńskiej trzeba domagać się prawdy, niezależnie od tego, że wiele rodzin już przebaczyło. To domaganie się prawdy jest dla nas ciągłym wyzwaniem, również teraz. Przebaczyć, modlić się za kogoś, nie chować osobistej urazy, czynić wobec niego dobro, ale domagać się prawdy – to postawa księdza Jerzego w wymiarze społecznym.

W takich relacjach międzyludzkich, w moim przekonaniu, jest podobnie, ale trzeba brać pod uwagę subiektywizm w ocenie sytuacji. W osobistych relacjach najczęstszą barierą przebaczenia drugiemu jest brak przebaczenia samemu sobie. Z pomocą przychodzi znowu Modlitwa Pańska. Jest w niej zawarte podyktowane przez Chrystusa przyznanie się do winy. „Przebacz nam nasze winy” – jest to dla mnie bardzo ważny moment, z prośbą o przebaczenie – jest to przyznanie się do winy. W czasie modlitwy, w tym miejscu, robię rodzaj krótkiego rachunku sumienia – co nabroiłem danego dnia. Wtedy wiem, gdzie znajduję się na tej swojej drodze, w tym staraniu i w usiłowaniu naśladowania Pana Jezusa. Wtedy mogę podjąć decyzję o spowiedzi. W ten sposób zbliżam się do przeba-

czenia od Pana Boga. Równocześnie nie ma wyjścia, sam muszę przebaczyć. Moim zdaniem słowa o przebaczeniu w Modlitwie Pańskiej są narzędziem miłości chroniącym nas przed własną nienawiścią.

Sebastian Domagała

Jak już powiedzieli moi przedmówcy, powinniśmy odpuszczać winy naszym winowajcom. Ksiądz Adam wspominał, że w dzieciństwie najtrudniejsze dla niego było nadstawienie drugiego policzka. Czy w dzieciństwie jest to w ogóle możliwe? Kiedy byłem chłopcem, każdy musiał w szkole walczyć o swoje. Nikt wtedy nie myśli o tym, żeby nadstawiać drugi policzek. Z takim podejściem przetrwanie w grupie rówieśniczej byłoby praktycznie niemożliwe. Oczywiście to jest złe i nie powinno tak być, ale rozumie się to dopiero później. Po fakcie, z reguły. Muszę przyznać, że do tej pory w życiu nikt nie wyrządził mi żadnej wielkiej krzywdy. Wszystkie drobne niesprawiedliwości, których doznałem, oczywiście wybaczyłem. Bo trudno, żebym do dzisiaj żywił urazę do kogoś, kto w dzieciństwie naskarżył na mnie albo podstawił mi nogę. Naprawdę szczerze doceniam to, że nie musiałem dotychczas w życiu niczego poważnego nikomu wybaczać.

W filmie o Księdzu Popiełuszcze grałem jednego z jego morderców. Oczywiście grając tę rolę, myślałem o księdzu Jerzym. Byłem dzieckiem, gdy go zamordowano. Pamiętam, jak go szukano, jak nie wiadomo było, co się z nim stało, a potem się okazało, że został zamordowany. Pamiętam, jak znaleziono ciało księdza Popiełuszki. Nie zapomnę też procesu jego morderców. Wiem, że matka księdza Jerzego wybaczyła mordercom czy zleceniodawcom morderstwa, ale ja czasem zastanawiam się, czy żądanie od kogoś wybaczenia mordercom syna jest właściwe, sprawiedliwe? Chyba nie, ale na tym, między innymi, polega nasza wiara, że wybaczymy. Nie potrafię sobie wyobrazić, że jestem w takiej sytuacji, że zamordowano mi syna. Nie wiem, czy potrafiłbym wybaczyć. Mogę mieć tylko nadzieję, że nigdy nie będę musiał...

Mojego pradiadka zamordowano w Katyniu. Moja babcia została wtedy sierotą, jej matka już wówczas nie żyła, zmarła przed wojną. Ojciec był oficerem, walczył wcześniej w czasie wojny w 1920 roku i zaraz na początku II wojny zaginął. Nie wiadomo było,



**Fot. 40. Sebastian Domagała (z mikrofonem), obok ks.
Włodzimierz Kwieciński**

co się z nim stało. Babcia została sama, z bratem i siostrą. Dopiero później jakiś sąsiad wrócił z niewoli radzieckiej i powiedział, że ojciec babci jest w Kozielsku. Z czasem zaczęły napływać wiadomości. Wszyscy domyślali się, co się stało. Potem było już wiadomo. Czy babcia wybaczyła mordercom jej ojca? Myślę, że tak, ale wiem... że było jej bardzo ciężko. Na pewno inaczej potoczyłoby się jej życie, gdyby jej tata wrócił z wojny.

W filmie „Katyń” jest taka scena, w której mordują oficerów polskich. Jakoś samo nasunęło mi się wówczas skojarzenie, że to mojego pradziadka wyciągają z tłumu i strzelają mu w tył głowy. Strasznie się wtedy czułem. Zastanawiałem się też, co on wtedy czuł. Co ci wszyscy ludzie musieli czuć. Trwa wojna, są w niewoli, ale jest przecież konwencja genewska. Nie mogli się spodziewać, że idą na śmierć. Procedura przewiduje przecież przesłuchanie, rozprawę, czyli można mieć nadzieję. I nagle... strzał w głowę! Starałem się postawić w sytuacji mojej babci. Mordują mi ojca, tracę w tym momencie wszystko, zostaję sam na świecie. Jak można to wybaczyć? A jednak trzeba. Jak żyć dalej? Z nienawiścią? Nie da się. To jeden z najtrudniejszych życiowych sprawdzianów – odpuścić winy naszym winowajcom. A czy nasze winy zostaną nam również odpuszczone? Tego nie wiemy, nie możemy wiedzieć, ale wierzymy, że tak.

Tadeusz Pieńkowski

W swoim wystąpieniu skupię się na zbrodni katyńskiej. Działa się ona w określonym czasie, miejscu i z udziałem konkretnych ludzi. Ofiary nie żyją. Spoczęły najpierw w dołach śmierci, rzuceni, nie pogrzebani. Pozostało po nich prawie 23 tysiące rodzin osierconych od ojców, braci, krewnych oraz ludzi, którzy wśród zamordowanych mieli znajomych i przyjaciół. Wśród żywych są sprawcy zbrodni – decydenci i wykonawcy.

Przenieśmy się myślą do czasów sprzed lat siedemdziesięciu. Rok 1939 – polski „Wrzesień Żagwiący” – 1 września zbrojny napad na Polskę ze strony niemieckiej; 17 września – ze strony sowieckiej. Jednocześnie obydwaj napastnicy zrywają stosunki dyplomatyczne z rządem polskim, działającym po 17 września 1939 r. na emigracji, najpierw we Francji, a następnie w Anglii. Na okupowanych terenach Polski obydwaj napastnicy stosują wobec polskich obywateli terror – osadzanie w więzieniach, rozstrzeliwania. Na wiosnę 1940 roku zostaje dokonana na polecenie najwyższych władz politycznych i państwowych ZSRR, rękami ludzi aparatu NKWD – zbrodnia katyńska.

W samej zbrodni katyńskiej wyraźnie można wyodrębnić dwie grupy ludzi. Z jednej ofiary – polscy jeńcy wojenni, z drugiej – ludzie aparatu represji NKWD ZSRR, a każdą z tych grup cechowała odmienna mentalność, sposób życia i myślenia.

Polscy jeńcy wojenni, w większości Polacy, osadzeni w trzech specjalnych obozach NKWD – Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, ogółem około 15 tysięcy, w tym 9 tysięcy oficerów i ponad 6 tysięcy policjantów, byli to na ogół ludzie wykształceni, otwarci na świat, którzy mieli głęboko zakorzenione poczucie honoru, dotrzymywania słowa, lojalności w zawartych umowach. Zetknęli się ze światem ludzi, którzy uważali kłamstwo, wprowadzanie w błąd, niedotrzymanie umów za czyn szlachetny. Dlaczego? Dlatego, że wykonawcy byli wychowani w duchu NKWD. Byli to ludzie wyodrębnieni, wyizolowani z własnego społeczeństwa, żyjący własnym życiem i mający wpojone hasło, że są tarczą i mieczem rewolucji. Zarówno decydenci, jak i wykonawcy mieli wręcz zakodowane, że wszystko, co czynią – jest dobre, wręcz szlachetne, dlatego, że dzieje się to dla wzmocnienia potęgi Związku Sowieckiego, który ma swoimi wpływami ogarnąć niebawem cały świat, a cel uświęca każde środki.



Fot. 41. Tadeusz Pieńkowski

Po dokonaniu zbrodni najpierw panuje głębokie milczenie. W 1941 roku następuje radykalna zmiana sytuacji politycznej – 22 czerwca Niemcy zaatakowali Związek Sowiecki. W lipcu 1941 roku zostają nawiązane stosunki dyplomatyczne między rządem polskim działającym na emigracji w Anglii i rządem sowieckim. Dzięki temu tysiące, setki tysięcy Polaków więzionych, deportowanych – wychodzi z więzień i łagrów. Pierwsze ślady są odkrywane w 1941 roku, kiedy wśród zwalnianych nie pojawiają się polscy jeńcy wojenni osadzeni od października 1939 r. w specjalnych obozach NKWD. Rząd polski, pod przewodnictwem gen. Władysława Sikorskiego, domaga się wyjaśnienia – co się stało z piętnastoma tysiącami ludzi – głównie oficerów, a wśród nich są uczeni, prawnicy, duchowni – kapelani wojskowi. Grupa ludzi niezwykle wykształconych. Rząd polski w Londynie otrzymuje wyłącznie kłamliwe odpowiedzi. A Stalin w rozmowie z gen. Sikorskim, jaka miała miejsce na Kremlu w grudniu 1941 roku, mówi, że jak ich nie ma, to „uciekli do Mandżurii”.

Co myślą na ten temat enkawudziści, oprawcy? Z dużą dozą prawdopodobieństwa, można powiedzieć, że są bardzo zadowoleni z tego stanu. Rząd sowiecki uchyla się od wszelkiego rodzaju odpowiedzi, a zatem oni są poza poczuciem jakiegokolwiek winy.

Trwa dalej cały proces historyczny i w kwietniu 1943 roku następuje odkrycie dołów śmierci w lesie Katyńskim, okupowanym

wówczas przez Niemców. Pojawiają się pierwsze świadectwa ludzi rosyjskich. Wieśniacy, chłopci okolicznych wiosek widzieli, że do lasu przywożą wojskowych, żołnierzy i nikt stamtąd nie wychodzi. Z łatwością domyślają się, że zostali oni tam wymordowani przez funkcjonariuszy NKWD. Ryzykując własną głowę, ale i życiem rodzin, decydują się na nadzwyczaj szlachetny czyn. Ci Rosjanie składają zeznania, umożliwiające odkrycie prawdy o zbrodni. W tej sytuacji rząd sowiecki oświadcza, że mord na Polakach wykonali Niemcy. Jednocześnie rząd sowiecki ponownie zrywa stosunki dyplomatyczne z rządem polskim.

Znowu ludzie NKWD, którzy w tym wszystkim brali udział, od najwyższych do najniższych, mogą czuć się zupełnie rozgrzeszeni i pozbawieni poczucia popełnienia przestępstwa. Władza twierdzi, że to nie oni dokonali zbrodni na polskich jeńcach wojennych, ale zrobili to Niemcy.

Przez dalsze pięćdziesiąt lat zarówno w Związku Sowieckim, jak i we wszystkich krajach demokracji ludowej obowiązywała tylko jedna oficjalna wersja, że zrobili to Niemcy. Nieprzyznawanie się najwyższych władz Związku Sowieckiego jest pójściem „w zaparte”.

Co my możemy zrobić jako chrześcijanie? Możemy im przebaczyć, bo nie wiedzieli, co czynią. Stykałem się z wieloma ludźmi, którzy mieli leżących tam krewnych i dochodzili do tego samego wniosku. Równocześnie był stały niedosyt, chcieliśmy wiedzieć wszystko o dokonanej zbrodni i usłyszeć sprawiedliwy wyrok. Czas zaś płynął nieubłaganie. Sprawcy umierali, niektórzy padali ofiarą różnych czystek, świadkowie się wykruszali.

W połowie 1989 roku Polska odzyskuje niepodległość. Pod naciskiem polskich władz, już wolnej Polski, zostaje otwarte w 1990 roku śledztwo Nr 159 w sprawie zbrodni katyńskiej, które rozpoczyna Główna Prokuratura Wojskowa Związku Sowieckiego. Po rozpadzie Związku Sowieckiego w grudniu 1991 r. przejmuje od 1992 roku śledztwo katyńskie Nr 159 Główna Prokuratura Wojskowa Federacji Rosyjskiej.

Prowadzą śledztwo czterej wysokiej rangi oficerowie – prawnicy Głównej Prokuratury Wojskowej FR: płk Aleksandr Trietieckij – kierownik zespołu, płk Anatolij Jabłokow, płk Mikołaj Anisimow i płk Stiepan Rodiewicz. W pracach śledztwa bierze czynny udział oficjalny przedstawiciel polskiego Ministerstwa Sprawiedli-

wości – mgr Stefan Śnieżko, zastępca prokuratora generalnego RP. W trakcie ekshumacji prowadzonych w Lesie Katyńskim, w VI kwartale parku leśnego na obrzeżu Charkowa oraz w pobliżu wioski Miednoje – miejscach zakopania ciał zamordowanych polskich jeńców wojennych – odprawia nabożeństwa i błogosławi zamordowanych ksiądz Zdzisław Peszkowski, kapelan Rodzin Katyńskich.

Staje się rzecz niesłychana, wręcz nieprawdopodobna, jak na znaną działalność sowieckiej prokuratury w tzw. procesach pokazowych. Czterej pułkownicy, którzy są wybitnymi fachowcami, okazują się ludźmi niezwykle szlachetnymi, dążącymi w sposób absolutny do ujawnienia pełnej prawdy. Można było wówczas mieć nadzieję, że niebawem śledztwo zostanie zamknięte i prokuratura przedłoży akt oskarżenia, wymieniając w nim nie tylko wykonawców, ale i decydentów.

W ramach toczącego się śledztwa, w październiku 1990 roku, prokuratorzy Trietieckij i Anisimow, przesłuchali emerytowanego generała majora służby bezpieczeństwa Piotra Soprunienko, w latach 1939-1943 szefa Zarządu NKWD do Spraw Jeńców Wojennych. Biorąc czynny udział w dokonaniu zbrodni, m. in. opracował i zrealizował plan likwidacji trzech specjalnych obozów i wywieżenia polskich jeńców wojennych do miejsc kaźni. Soprunienko zaprzeczył o udziale w wymordowaniu polskich jeńców wojennych i oświadczył, że to są kłamstwa i oszczerstwa.

W marcu 1991 roku przed prokuratorem Jabłokowem złożył obszernie zeznania emerytowany generał major służby bezpieczeństwa Dmitrij Tokariew, w latach 1939-1945 szef Zarządu NKWD obwodu kalinińskiego. Kierował zamordowaniem około 6,5 tysiąca polskich jeńców wojennych w wewnętrznym więzieniu NKWD w Kalininie (obecnie Twer), przywiezionych z obozu NKWD w – Ostaszkowie. Opisał dokładnie cały przebieg dokonywania egzekucji, prowadzonej według ściśle ustalonej procedury. W trakcie przesłuchania Tokariew zeznawał bez emocji, tak jak gdyby przekazywał informacje o wykonaniu jakiegoś zwykłego służbowego zadania. Nie czuł się winnym udziału w zbrodni, on był tylko świadkiem.

Przesłuchiwanym jest jeszcze kilku strażników. Zeznają, że zajmowali się doprowadzaniem jeńców do miejsca kaźni w piwnicy więzienia NKWD albo wywożeniem ciał zamordowanych i zakopywania w dołach śmierci. Uważają się za całkowicie niewinnych.

Władze Federacji czuwają. Zostaje odwołany kierownik zespołu płk Aleksandr Trietieckij i niebawem płk Nikołaj Anisimow. Płk Stiepan Rodiewicz choruje, jest wyłączony ze śledztwa, umiera 17 listopada 1993 roku. Od początku 1992 roku prowadzi nadal bardzo energicznie śledztwo jeden prokurator, płk Anatolij Jabłokow.

Jest rok 1992. Anatolij Jabłokow, prowadząc śledztwo i dążąc do ujawnienia pełnej prawdy, poleca w marcu 1992 roku siedmiu uczonym, wszyscy są Rosjanami, żeby wydali opinię, wraz z wnioskami: „Motywów, okoliczności i konsekwencji rozstrzelania polskich jeńców wojennych w Lesie Katyński, więzieniach NKWD w Smoleńsku, Charkowie i Kalininie i obywateli polskich trzymanych w więzieniach na terenach Zachodniej Ukrainy i Białorusi – z punktu widzenia nauk prawnych, historycznych, medycznych oraz prawa na podstawie zebranych podczas śledztwa dowodów”.

W skład zespołu weszli: członek rzeczywisty Akademii Nauk Boris Toporin, doktor nauk prawnych profesor Aleksandr Jakowlew, doktor nauk historycznych profesor Inessa Jaźborowska, doktor nauk historycznych Walentina Parsadanowa, kandydat nauk wojskowych docent Jurij Zoria, i starszy ekspert kandydat nauk medycznych podpułkownik Lew Bielajew. Zespół pracuje nad tym zagadnieniem prawie rok i 2 sierpnia 1993 r. przedkłada Jabłokowowi wielostronicowe orzeczenia zakończone wnioskami.

Po szczegółowym omówieniu całej problematyki przedkładają jednoznaczne wnioski – Zbrodnia Katyńska to zbrodnia przeciwko ludzkości, zbrodnia ludobójstwa, zbrodnia wojenna. Winnymi tej zbrodni są decydenci – członkowie Biura Politycznego WKP(b) – Józef Stalin, Michaił Kalinin, Wiaczesław Mołotow, Anastas Mikojan i Łazar Kaganowicz oraz kierownictwo NKWD na czele z Ławrientijem Berią i liczni enkawudziści. Eksperci wypowiadają się też jednoznacznie, że przestępstwem było ze strony Związku Radzieckiego przekazanie jeńców wojennych w gestię NKWD – policji politycznej. We wnioskach piszą też, że wszyscy zamordowani są niewinni i wszystkich należy przynajmniej formalnie zrehabilitować, a żyjącym krewnym ofiar należy uczynić stosowne zadośćuczynienie.

Ten dokument trafia do Polski, a pułkownik Jabłokow sporządza 17 kwietnia 1994 roku akt oskarżenia, który przedkłada władzom Głównej Wojskowej Prokuratury Federacji Rosyjskiej. W akcie oskarżenia wymienia winnych – Stalina i pozostałych

członków biura politycznego i ludzi aparatu NKWD. To już było za wiele dla władz Federacji Rosyjskiej. W ciągu trzech dni zostaje anulowane orzeczenie pułkownika Anatolia Jabłokowa, zostaje on zdymisjonowany ze wszystkich stanowisk i przeniesiony do cywila.

Jabłokow żyje nadal w Moskwie, prowadzi kancelarię adwokacką i publikuje tam, gdzie są jeszcze ślady wolności, swoje artykuły, w których w dalszym ciągu, z uporem, jednoznacznie optuje za prawdą.

Tak zakończyło się w 1994 roku pierwsze śledztwo Nr 159 w sprawie Zbrodni Katyńskiej, w którym czterech pułkowników Głównej Wojskowej Prokuratury Federacji Rosyjskiej dążyło do sporządzenia zgodnego z prawdą aktu oskarżenia.

Takie zakończenie śledztwa, jakie przedłożył Jabłokow, dawało podstawy do pojednania między naszymi społeczeństwami, ułożenia współpracy bez żadnych niedomówień.

Jeszcze żyjący, już nieliczni uczestnicy biorący udział w wykonaniu Zbrodni Katyńskiej, znowu czują się zupełnie niewinni.

Od 1994 roku, kiedy został zdymisjonowany pułkownik Anatolij Jabłokow, dziesięć następnych lat panowała w sprawie śledztwa głucha cisza. Wreszcie 21 września 2004 roku Główna Wojskowa Prokuratura Federacji Rosyjskiej poinformowała o zamknięciu śledztwa katyńskiego, nie ogłaszając żadnego komunikatu w tej sprawie.

Po pół roku, w marcu 2005 roku wystąpił w dumie – rosyjskim parlamencie – główny prokurator FR Władimir Ustinow. Oświadczył, że śledztwo w sprawie katyńskiej zostało zamknięte, nie ma żadnych tajemnic, ale większość akt jest tajna i mogą się z nimi zapoznać tylko posłowie mający odpowiednie pełnomocnictwa, a dla Polaków są niedostępne.

Po kilku dniach władze FR prawdopodobnie uznały, że w sprawie śledztwa katyńskiego trzeba coś więcej powiedzieć i główny prokurator wojskowy FR generał Aleksandr Sawienkow wystąpił na konferencji prasowej. Oświadczył, że śledztwo zostało zamknięte ze względu na brak stwierdzenia przestępstwa. Ludobójstwo na narodzie polskim nie miało miejsca, ani na poziomie państwowym, ani w sensie prawnym. W ramach śledztwa przesłuchano ponad dziewięćset świadków, wykonano osiemnaście ekspertyz i dokonano ekshumacji.

W dalszej części wywiadu gen Sawienkow poinformował, że na terytorium ZSRR było internowanych prawie 15 tys. osób, natomiast w śledztwie dowiedziono, że zginęły dokładnie 1803 osoby, a ciała 22 osób udało się zidentyfikować. W rezultacie sprawa karna wobec winnych zbrodni katyńskiej, ze względu na ich śmierć została umorzona.

Stwierdzenie generała Sawienkova na zakończenie wywiadu, jest wręcz szokujące. Mianowicie oświadczył, że rosyjska prokuratura w trakcie śledztwa ustaliła również fakt wymordowania w 1940 roku prawie 23 tysięcy polskich jeńców, ale pozostaje otwartym pytanie, kto powinien odpowiadać za te zbrodnie.

Sprawy jednak toczą się dalej. Otóż grono uczonych i patriotów rosyjskich, wcale niemałe, dąży do zdjęcia odium winy ciężącej na ich ojczyźnie. To grono ludzi, którzy są naszą nadzieją, są tymi, z kim można budować przyszłość wolną od dramatycznych przeżyć w przeszłości. Rosjanie ci tworzą organizację społeczną „Memoriał”. Powołana jest sekcja polska, którą kieruje niezwykle szlachetny człowiek. Ci ludzie bez przerwy, wszelkimi dostępnymi środkami, dążą do ujawnienia prawdy.

Okazuje się, że w ciągu tych wszystkich minionych lat żaden enkawudzista, żadnego szczebla, a przecież byli konwojenci, byli i żołnierze, którzy doprowadzali na miejsce egzekucji, nie zdradził nigdy, że wie o zbrodni katyńskiej. Enkawudziści nie bronią się, że dostali rozkaz, tak jak tłumaczyli się zbrodniarze hitlerowscy, nie! Oni mówią, że działali słusznie, prawidłowo i dziwią się, o jakiej winie mówimy. Przecież działali dla dobra swojej ojczyzny, dla dobra Związku Sowieckiego i dla umocnienia ładu na ziemi. Uważali, że są mieczem i tarczą rewolucji, żołnierzami na froncie. A czy żołnierza można sądzić, że zabił kilku wrogów w czasie walki? Absolutnie nie.

Ludzie „Memoriału” nieustannie dążą do ujawnienia prawdy, publikują i piszą. Niestety książki wydawane przez nich praktycznie nie są tłumaczone na język polski. Znam tylko dwie takie książki, a tych książek jest o wiele więcej. Ukazują się w nakładach niewielkich: siedemset do tysiąc pięćset egzemplarzy. Nie mają szerokiego odzewu na terenie Rosji, gdzie panuje nadal propaganda prowadzona bardzo intensywnie, przekazując fałszywe wiadomości o zbrodni katyńskiej.

Dowodem tego, że coś tam jednak odzywa się u ludzi, jest świadectwo majora służby bezpieczeństwa Olega Zakirowa, którego po-

znałem w 1990 roku w Lesie Katyńskim. Byłem tam z pielgrzymką, a on był tam jeszcze w pełnym umundurowaniu, pełniąc służbę w organach bezpieczeństwa, w Smoleńsku. Ten człowiek, mimo że przed nim była kariera w służbie bezpieczeństwa wyłamał się, doprowadził do ujawnienia faktów, nieznanych nawet prokuraturze, która zresztą nie dążyła do ich ujawnienia. Zaczął pisać i domagać się upublicznienia i osądzenia zbrodni dokonanych w Smoleńskim więzieniu, jak i w Lesie Katyńskim. W rezultacie wyrzucono go ze służby. Pomoc okazał mu wtedy jedynie polski konsul generalny Michał Żurawski, który pracował w Moskwie. Zakirow przyjechał do Polski. Następuje rzecz zasługująca na potępienie. Polska, dla której ten człowiek poświęcił swoją karierę i przyszłość, okazuje się dla niego macochą. W Polsce jest doprowadzony do skrajnej nędzy, do poniżenia, do nieliczenia się z nim. Mało tego, utrzymując z nim stale kontakt, otrzymuję ostrzeżenia, żebym się nie kontaktował z majorem Zakirowem. Po upływie kilku lat Zakirow z trudem dostaje najpierw kartę stałego pobytu, potem obywatelstwo polskie, zostaje odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i dwa lata temu otrzymuje bardzo małą specjalną rentę.

Mimo tej niechlubnej dla nas historii, coraz więcej powstaje w Rosji dokumentów i publikacji, które są trudno dostępne w Polsce, a które otrzymuję dzięki moim przyjaciołom rosyjskim. Można mieć nadzieję, że coraz liczniejsze kontakty między nami i Rosjanami doprowadzą do szerszego pojednania, a nie tylko do przebaczenia bezpośrednim sprawcom – bo nie wiedzą co czynią. To odkrycie całej prawdy o Katyniu na pewno nastąpi. Czy ja je będę oglądał – nie wiem, ale czas biegnie szybko i nie można tracić nadziei w odrodzenie również Rosji.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Jeżeli chodzi o moje świadectwo, to chciałabym poruszyć trzy sprawy. Pierwsza – znaczenie przebaczenia w małżeństwie. Nie bardzo wierzę w deklaracje małżeństw, że przez całe życie nie było u nich konfliktów. Zawsze jakieś kłótnie i tarcia są, które nieroz-

rwalnie są związane z małżeństwem. Ludzie są różni i spierają się, jednak podstawową sprawą w chrześcijańskim małżeństwie jest, czy bierze się na serio słowa Modlitwy Pańskiej: „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. W naszym małżeństwie, a 48 lat mamy już na liczniku, nie mieliśmy ani jednego cichego dnia, ponieważ traktujemy obydwójce to Boże przykazanie serio. Kłóciliśmy się oczywiście nieraz w ciągu dnia, ale kiedy klękaliśmy do pacierza, musieliśmy się pogodzić. Nie było siły – jeżeli się coś traktuje poważnie.

Drugie świadectwo jest z czasów, kiedy biskupi polscy napisali list do biskupów niemieckich, sławne orędzie „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Było to 18 listopada 1965 roku. Byliśmy wtedy zaproszeni do naszych znajomych – sąsiadów, gdzie zebrało się duże grono ludzi znanych nam z kościoła. Była dyskusja, bardzo gorąca. Wraz z moim mężem byliśmy wtedy jedynymi, którzy bronili naszych biskupów. Wszyscy byli przeciwni. Pamiętam, że wypowiedzi były bardzo ostre. Mimo że byli to ludzie związani z kościołem, przebaczenie Niemcom było dla nich nie do przyjęcia.

Poruszę jeszcze trzecią sprawę. Co to znaczy przebaczyć? Każdy z nas w ciągu życia spotyka ludzi, którzy są mu niechętni, z takich czy innych względów, zazdroszczą nam, czują zawiść itp. Świadomie albo nieświadomie robią rzeczy, które nam szkodzą. Co to znaczy –przebaczyć im? Doświadczyłam takich sytuacji w życiu i uważam, że przebaczyć, to nie tylko werbalnie przebaczyć, ale czynić wszystko, żeby tym ludziom było dobrze. Świadomie. Wtedy człowiek nie tylko przebacza, ale wzbogaca siebie moralnie.

Małgorzata Jabłońska

Dla mnie w słowie „przebaczam”, szczególnie w odniesieniu do tego fragmentu modlitwy, wyraża się aktywność człowieka w stosunku do obecności Pana Boga. Przebaczanie jest zadaniem dla człowieka. Człowiek nie jest zdolny do przebaczenia bez współdziałania z łaską Bożą. Przebaczanie to jest element walki o własne serce, o czystość tego serca. To jest zadanie właściwie na całe życie, ponieważ w ten sposób realizuje się nasze człowieczeństwo. Przebaczając, mamy okazję stawać się. Jest to proces, który trwa całe życie i z nim są związane te małe i wielkie przebaczenia. Wszystko zaczyna się oczywiście od rachunku sumienia, kiedy czujemy, że to, co w



Fot. 42. Małgorzata Jabłońska, z tyłu po lewej stronie Ewa Modrzewska

nas jest, zaczyna być czymś złym. Nienawiść bije w samego nienawidzącego. I kiedy już to wiemy, rodzi się skrucha, a za nią ten moment, kiedy powinniśmy przebaczyć, po to, żeby i nam wybaczano. Ja już nie mówię o tych drugich osobach – one zostają lub nie z tym złem, natomiast my mamy okazję stawać się człowiekiem, więc budujemy samych siebie i pozwalamy Panu Bogu siebie budować, a to musi czymś dobrym zaowocować. Zdolność przebaczenia czyni nas podobnymi do Boga.

Jestem, ze strony matki, wnuczką oficera policji, który został zamordowany w Ostaszkowie. Mój drugi dziadek, rotmistrz kawalerii, po powrocie z oflagu nie wrócił już do majątku, który został na kresach wschodnich i mimo że był kapitanem, utrzymywał się z pracy w fabryce. Mój ojciec był powstańcem warszawskim i po okresie niewoli i pobycie w Anglii wrócił w 1947 do Polski. Moja rodzina była mocno doświadczona ze strony okupantów, a szczególnie wschodniego sąsiada. Uderzała mnie u moich rodziców postawa dużej pogody ducha, braku nienawiści, a jednocześnie świadome poczucie własnych korzeni.

Bogumił Chlebny

W Piśmie Świętym jest powiedziane, że trzeba odpuścić winowajcy, jak mnie prosi, to siedem razy, a Pan Jezus mówi, że siedemdziesiąt siedem razy. Czyli „jak mnie prosi” o odpuszczenie, prze-

baczenie, jak przeprasza. Dla mnie pojawia się pytanie: Czy odpuszczać tylko wtedy, kiedy proszą nas, żeby im wybaczyć grzechy, czy bezwzględnie?

Druga sprawa, która budzi moje pytanie: człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boże, w związku z tym, powinno być w nim samo dobro. Jest jednak kuszony przez złego ducha, przez szatana i ulegając mu, czyni zło. W związku z tym, powstaje pytanie, czy całe zło czynione przez człowieka wynika z jego własnej, skażonej grzechem pierwotnym natury, z jego wolnej woli, czy część zła na Ziemi wynika wyłącznie z działania szatana.

I jeszcze jedna kwestia. Ponieważ za wszystkie czyny, złe czy dobre, będziemy sądzeni przez Pana Boga i tylko Pan Bóg ma prawo nas sądzić, czy w związku z tym my nie mamy prawa osądzać drugiego człowieka, czy on wykonuje coś złego czy dobrego. Mamy mu odpuścić, jak nas skrzywdził i nie myśleć o zemście.

Ks. Adam Zelga

Filip Nereusz kiedyś stał przed małym chłopcem, który powiedział brzydkie słowo i otrzymał za to klapsa w głowę. Zwrócił się on do Filipa Nereusza: „Czemu mnie bijesz? Nie trzeba”. Odpowiedział mu Nereusz – „To nie ciebie, tylko tego diabła, który w tobie siedzi”.

Elżbieta Pięścioneł

Do napisania tego wiersza zainspirowało mnie kazanie tu obecnego księdza Włodzimierza Kwiecińskiego wygłoszone ponad rok temu. Wiersz osadzony jest w temacie dzisiejszego spotkania:

OKO ZA OKO

Jestem – jak ty z tego świata;
na nienawiść odpowiadam nienawiścią,
za zdradę – zdradą,
za krzywdę – krzywdą,
nie umiem zapominać zniewagi,
za ząb – żądam krwi,
za oko – oka.
Nie potrafię kochać bez wzajemności,

nie unosić się gniewem,
 wybaczać nieprzyjaciołom.
 Jestem, jak ty, z tego świata
 I tak jak ty, myślę, że jestem lepsza od ciebie.
 Ja nie zaczęłam, ja tylko odpłacam pięknym za nadobne,
 a Modlitwę Pańską odmawiam codziennie,
 wierzę, że Bóg jest sprawiedliwy.....
a to tylko taka tam pisanina.

Chciałabym nawiązać do wypowiedzi Pana Sebastiana. Powiedział, że osobiście nie miał w swoim życiu niczego wielkiego do wybaczenia, ale jego babcię bardzo skrzywdzono. Zamordowano jej ojca w Katyniu. Wokół nas dzieje się wiele nieprawości. Jeśli nawet nie krzywdzą nas bezpośrednio i tak powinniśmy reagować, inaczej przyzwalamy na zło.

Matka księdza Jerzego podobno wybaczyła oprawcom swojego syna. Czy ją wspomagałam modlitwą w cierpieniu?

Drugi wiersz nawiązuje do równie wstrząsającej zbrodni z tego samego okresu.

Miała na imię Basia
 Poetka, której zakatowano syna,
 na pogrzebie przemyka się w dżinsach.
 Jakie to niestosowne.
 ... „jak przyczajenie serca,
 jak łopot powietrza”...
 jak ten ogromny kapelusz
 z do ramion czarnym welonem,
 który dostała od życzliwych ludzi,
 i za który nawet nie podziękowała.
 Boże, wybacź jej tę niestosowność
 no i tę niewdzięczność,
 miała na imię Basia, nie Maryja.

I jeszcze sprawa tzw. grubej kreski. Czy była to kreska wybaczenia, czy zdała egzamin?

Ks. Adam Zelga

Nie wiem, czy nie była to kreska raczej zapomnienia....

Elżbieta Pierścionek

To chciałam powiedzieć. Najłatwiej przychodzi nam zapomnianie. Im mniej wiemy, tym szybciej. Muszę wyznać, że dopiero teraz, w 25. rocznicę śmierci Księdza Jerzego zaczęłam czytać książki dotyczące tej zbrodni.

Wstrząsnęła mną kwestia, na pewno drugorzędna, ale też wiele mówiąca – fundusze na zakup przedmiotów, którymi posłużyli się mordercy, były wykładane z pieniędzy służbowych, do rozliczenia rachunkami.

Ks. Adam Zelga

Trzydzieści srebrników...

Elżbieta Pierścionek

Wydali 25 tysięcy polskich złotych, trochę przekraczając limit wydatków. Między innymi kupili kanistry, benzynę, worki jutowe na kamienie, trzy czapki kominarki, trzy pary rękawic, łopaty, narzutę na tapczan, trzy torby turystyczne, oczywiście alkohol i inne. Zakupy były niezbędne dla „wykonania zadania”, zostały więc zaakceptowane i rozliczone przez księgową Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Siostra Kazimiera Heran ze wspólnoty Uczennic Krzyża

Pracuję z małżeństwami i narzeczonymi, dla których temat wybaczenia jest szalenie ważny. W tej grupie ludzi stykam się z tym problemem bardzo często. Krzywdy, które my sobie wyrządzamy, są niejednokrotnie bardzo duże. Potem bez pomocy Bożej trudno jest wybaczyć, na przykład dziecku, rodzicom czy też męż żonie i odwrotnie. Wybaczenie jest procesem, który nie dokonuje tak od razu. Ksiądz Jerzy Popiełuszko, był człowiekiem, który żył Bogiem, który bardzo się modlił, który szedł za Chrystusem, naśladując go we wszystkim, i to dawało mu siłę do przebaczenia, którego uczył innych.

Żeby móc innym przebaczyć, trzeba wejść w ten proces. Musimy starać się wzajemnie odbudowywać swoje więzi, które na skutek

określonego zajścia czy zejść zostały zerwane. Wymaga to często znacznego samozaparcia, niejednokrotnie zmiany myślenia, ale też zmiany wrażliwości serca. Trzeba starać się, aby zobaczyć dobro w tych ludziach, którzy nas skrzywdzili. Tego nauczał nas ksiądz Jerzy i sam to czynił. Jest to chyba najtrudniejsze w procesie przebaczenia, bo pierwsze, co się nasuwa, gdy jesteśmy skrzywdzeni, to widzieć zło w tej osobie lub osobach i zło to jeszcze wyolbrzymiać.

Moje doświadczenie osobiste mówi, że kiedy jestem przez kogoś skrzywdzona, to bardzo trudno mi dostrzec dobro w drugim i widzę, ile to wysiłku mnie kosztuje, ale też doświadczam, że jest to pierwszy krok do przebaczenia. Modłę się za tego człowieka i proszę Boga, abym zobaczyła coś w nim dobrego i potrafiła wyjść ku niemu. Najtrudniejsze jest to pierwsze wyjście; może być bardzo drobne – uśmiech, powiedzenie dobrego słowa czy pozdrowienie. Burzy ono mur wrogości. Jak się robi ten pierwszy krok, łatwiej później na jakiś dobry czyn w stosunku do tego, kto mnie skrzywdził.

Ks. Adam Zelga

Mam pytanie do Pana Rafała: czy uważa Pan, że do oprawców księdza Jerzego można zastosować to samo wyjaśnienie, o którym mówił pan Tadeusz przy NKWD, że była to grupa ludzi, która miała swoją wewnętrzną motywację, wewnętrzną moralność, ukształtowaną przez system?

Rafał Wieczyński

Rzeczywiście uderzające są w dokumentach życiorysy tych ludzi. Oni żyli jakby w swoim świecie. Piotrowski czy Chmielewski byli synami ludzi resortu, mieszkali w osiedlach i blokach ludzi resortu, chodzili do szkoły na osiedlu, gdzie większość to byli ludzie z resortu, jeździli na wakacje do ośrodków resortu i oczywiście na małżeństwo musieli mieć zgodę przełożonego. My sobie nie zdajemy z tego sprawy, ale okazuje się, że można było żyć w Polsce, tutaj się wychowywać i nie wiedzieć, co oznacza przełamanie chleba. To pytanie, które jest w filmie – dlaczego ksiądz Jerzy przełamuje Hostię i przełamaną trzyma w literę V – jest to demonstracja polityczna, znak V czyli Victorii. Było to szczere pytanie tych ludzi, udokumentowane fotografią z dokumentów w SB. Jest to sytuacja, o której powiedział Pan Tadeusz – „Przebac im, bo nie wie-

dzą, co czynią”. To jest więc ten dylemat? W jakim stopniu nie wiedzieli, co czynią i w jakim stopniu dalej tego nie wiedzą? Naszym obowiązkiem jest poznanie szczegółów i zrozumienie sprawy. Przebaczenie gruntowne jest procesem, który wymaga od nas ogromnego wysiłku w celu uzyskania jasnego poglądu na sprawę. Żyjemy obecnie w takim czasie, kiedy większość ludzi nie ma własnych poglądów, bo nie zastanawia się nad problemami, które do niej docierają. Po prostu chłoną to, co jest im podawane, uważając, że to są ich własne myśli.

Byłem w szoku, jak poznałem dokumenty. Świadomie nie chciałem spotkać się z tymi ludźmi. Proszę sobie wyobrazić, że sędzia z procesu toruńskiego tłumaczył, kiedy Chmielewski się jękał, że jęka się, bo tak przeżywa, że wcześniej się tak nie jękał, a teraz się jęka. Znalazłem na ten temat notatkę, w której jest napisane, że jęka się, ale trzyma linię resortu, więc wszystko jest w porządku. O Pietruszce natomiast napisano, że mało brakowało, a by się wygadał, gdyby nie przytomna reakcja sędziego Kujawy, który zarządził przerwę, bo mógłby skompromitować resort. Fenomenem jest dla mnie psychika Piotrowskiego. Kiedy siedział w więzieniu, to pod koniec swego tam pobytu się nawrócił. Potem to wszystko obśmiał i tych wszystkich, którzy mu uwierzyli, że on się nawrócił, tak po prostu. Potem poszedł do „Faktów i Mitów”, żeby dalej ośmieszać Kościół.

Stoi przed nami stałe wyzwanie. Ksiądz Jerzy dawno przebaczył, my niejako nie mamy prawa nie przebaczyć, ale z drugiej strony – nie przebaczajmy w imieniu tych, których „zdradzono o świecie”. Nakłada to na nas wszystkich obowiązek, żeby dążyć do prawdy i do nazwania rzeczy po imieniu. Ksiądz Jerzy zawsze mówił, żeby robić rachunek sumienia i widzieć rzeczy w prawdzie. Gdy przebaczymy, nie jesteśmy zwolnieni z tego, żeby odnaleźć prawdę, poznawać szczegóły i ujawniać zło, bo zło nieujawnione ma swobodę działania. Jest to też odpowiedzialność za następne pokolenia, które mogą nie dostrzec zła, a to jest ulubiona forma działania szatana – schować się, jakby go nie było.

Urszula Kossowska-Cezak

Gdy przystępujemy do sakramentu pokuty, musimy odczuwać żal za grzechy i chęć poprawy. Bóg daruje nam grzechy, bo żałujemy – na tej samej zasadzie wybaczymy, gdy nas ktoś przeprosi. W

modlitwie jest jednak inaczej: odpuść, bo i my odpuszczamy. Odpuszczamy bezwarunkowo. Mamy odpuścić nawet wtedy, gdy ciężar win jest zupełnie różny i gdy winowajca wcale nie żałuje, a może nawet cieszy się z owoców swojego czynu, wykonanego z pełnym rozmysłem w celu osiągnięcia określonych korzyści. W dyskusji ktoś użył biblijnego zwrotu: „nie wie, co czyni”. Tak, jeśli nie wie, można przebaczyć, ale przecież często doskonale wie! Rzecz w tym, że przebaczenie takiego czynu jest całkowicie sprzeczne z poczuciem sprawiedliwości. Uważam zresztą, że pierwotnym impulsem zemsty jest też potrzeba sprawiedliwości tyle, że to nie wychodzi w praktyce (z wielu różnych względów). Jeśli wybaczymy wielkie przewinienia, krzywdy czynione w sposób świadomy, przynosimy ulgę swojemu sumieniu, a jednak coś po tym zostaje, to nie zostaje zupełnie wymazane. Zostaje pamięć i – jednak – niezaspokojone poczucie sprawiedliwości, które najczęściej zostaje do końca życia. To daje poczucie triumfu zła, a nawet obawę, że bezgranicznie wybacząc, akceptujemy zło. My, chrześcijanie, wierzymy, że ta sprawiedliwość stanie się w życiu przyszłym (jaką karę poniósł Hitler czy Stalin?), ale żyjemy tutaj, na Ziemi, i tak bardzo byśmy chcieli, żeby sprawiedliwość była tu i teraz. Tymczasem żąda się od nas, żeby bezwarunkowo przed cnotą sprawiedliwości stawiali cnotę miłosierdzia. I to jest właśnie takie trudne, wręcz sprzeczne z naturą człowieka. To jest istota trudności wybaczenia, pierwszeństwo miłosierdzia nad sprawiedliwością.

Sebastian Domagała

Grając postać Pękali, nie starałem się grać człowieka przepełnionego żądzą mordu i nienawiścią. Grałem człowieka, który po prostu wykonuje swoją pracę. Tak jak piekarz idzie rano do piekarni i piecze chleb, tak ten miał zadanie inwigilować księdza – no to stał pod oknem, patrzył, organizował prowokacje, podrzucał materiały wybuchowe do mieszkania. Miał zamordować – zamordował. Taką miał pracę i tak do tego podszedł jak do obowiązku służbowego.



Fot. 43. Rafał Wiczyński



Fot. 44. Tomasz Przesławski (po lewej) i Andrzej Dowgiałło (po prawej)

Rafał Wieczyński

Ja myślę, że oni byli nieświadomi tego, że robią coś złego. Nie wiem co znaczyło dla nich przykazanie „nie zabijaj”, czy je znali, ale wiem, że oni walczyli o swoje. Każdy z nich bronił swojego życia. Pracowali po prostu, wykonywali swoje obowiązki i godzili się na nie od dawna. Nie widzieli tego zła. Ta sama logika, co u enkawudzystów, po prostu robią swoją robotę. Przed nami natomiast staje pytanie, co zrobić, żeby to bielmo z ich oczu spadało.

Tomasz Przesławski

Moim zdaniem, mentalność enkawudzystów i naszych ze służby bezpieczeństwa była taka sama. Ktoś wydawał rozkazy, a oni je ślepo wykonywali. Nie działali na własną rękę. Często do dzisiaj nie znamy faktycznych zleceńodawców zbrodni. Czy winni są ludzie, czy system, który ich wychował? Co zrobić, żeby mordercy zrozumieli swoją winę? Jaruzelski czy Kiszczak pytani dzisiaj, dalej nie przyznają się do winy. Do jakiego stopnia można usprawiedliwiać ludzi, a ich winami obciążać tylko system, w którym zostali wychowani?



Fot. 45. Tadeusz Pieńkowski i Rafał Wiczyński

Ks. Adam Zelga

Jestem podobnie jak mój przedmówca zbulwersowany, kiedy w mediach ci, którzy wprowadzali stan wojenny, są kreowani na twórców wolnej Polski. Nie chciałbym jednak kontynuować tego wątku, ponieważ zacznie się dyskusja polityczna, która nie jest w temacie Konwersatorium.

Jeszcze mam jedno pytanie do pana Tadeusza Pieńkowskiego: czy pan uważa, że efektem działalności takich osób jak Pan czy jak ksiądz Peszkowski, w kierunku walki o prawdę, ale jednocześnie w duchu przebaczenia, było ujawnienie po stronie rosyjskiej wielu szlachetnych ludzi, którzy dążą do prawdy, do oczyszczenia w imię najszlachetniejszej idei swojej ojczyzny?

Tadeusz Pieńkowski

Żeby móc odpowiedzieć na to pytanie, muszę wrócić do własnych doświadczeń. Całą młodość spędziłem na Syberii, w okolicach Tobolska. Przez całe lata nie miałem przed sobą żadnej kartki napisanej w języku polskim.

Żyłem wśród dwóch kategorii ludzi: zwykłych ludzi, którzy po prostu chcieli mieć własne szczęście rodzinne, chcieli spokoju, chcieli pracować, zarobić, chować dzieci i mieć rodzinę oraz drugiej grupy, ludzi aparatu represji. Otóż te dwie grupy żyły w Rosji Sowieckiej w całkowitej izolacji. Nie urodziło się to z dnia na

dzień. Rodziło się w ciągu całych lat od rewolucji zaczynając, a szczególnie nasiliło się po roku 1930. W tych latach Rosja sowiecka spłynęła krwią. Rozpoczęła się kolektywizacja rolnictwa, a potem wielki głód. Nikt nie doliczył się ofiar. Następnie były tak zwane czystki. One uprzytomniły ludziom, że nikt nie może być pewny swego losu i jutra. Bohaterowie rewolucji w sądach pokazowych kajali się i przyznawali się do najdzikszych win, o których nikomu się nie śniło. Ta pierwsza grupa ludzi, o których wspominałem – zwykli ludzie, zostali ukształtowani w tych realiach. Bali się mówić, bali się wyrażać swoje poglądy, był to paraliżujący strach, bo nikt nie wiedział, którego dnia, w dzień lub w nocy przyjdą po niego.

Z ludźmi reżimu, z NKWD, stykałem się wielokrotnie, będąc przesłuchiwany dziesiątki razy. Prowadzone z nimi rozmowy uprzytomniały mi za każdym razem, mimo że już biegle mówiłem wtedy po rosyjsku, że mówimy zupełnie odmiennymi językami. Ja, siedzący naprzeciwko przesłuchującego, byłem przedstawicielem robactwa, które należy zgnieść, natomiast przesłuchujący uważał się za jedynego prawego człowieka, wyznającego najślusniejszą prawdę. Wtedy zrozumiałem, że ci ludzie są po prostu tak ukształtowani. Ukształtował ich system, doprowadzając do tego, że ludzie aparatu represji bali się kontaktować ze zwykłymi ludźmi. Gdybym się skontaktował z Iwanowem, a ten, okazałoby się, że miał wujka w Białej Gwardii, to dla enkawudzisty byłby to koniec, lądował w piwnicy z kulą w głowie. Tutaj nie było – przebaczam. Między sobą enkawudziści też się nie odkrywali, bo każdy bał się drugiego.

Już jako żart mogę powiedzieć, ale to nie jest żart, czego sam doświadczyłem, żyjąc długi czas wśród Rosjan, tych zwykłych ludzi. Poznawałem ich, pracowaliśmy razem, spotykaliśmy się i po dłuższym czasie zyskałem przyjaciół, którzy byli dla mnie otwarci, serdeczni, okazujący mi w miarę możliwości nawet pomoc. Jeden z nich, w czasie rozmowy ze mną w cztery oczy powiedział: „Słuchaj, ty ciągle za dużo mówisz. Jesteś już u nas tak długo, a ciągle się jeszcze tego nie nauczyłeś. Pleciesz, że wrócisz do Warszawy. Przecież to brednie. Nie masz najmniejszych szans. Przecież donosy na ciebie muszą iść. Pamiętaj o dwóch rzeczach – mówił dalej – po pierwsze, jak nas dwóch rozmawia, to obaj ryzykujemy po 50%, że albo ty pójdziesz donieść na mnie, albo ja na ciebie.



Fot. 46. Słuchacze

No trudno, ryzykujemy. Możemy sobie trochę pogadać. Natomiast jak się spotkamy we trzech, ryzyko rośnie. Każdy z nas będzie się zastanawiał – który? Ten czy tamten? Tutaj nie ma inaczej. Gdy się spotka więcej niż trzech, czterech czy pięciu ludzi, a takie sytuacje bywają w pracy, to gębę zamknij na kłódkę, bo tam to co najmniej dwóch musi być, co donosi. To nie ma wyjścia.”

Ludzie donosili ze strachu. Jeżeli on nie doniósł, to na niego donieśli. Wpłatanie w ten sposób wszystkich stanowiło podstawową cechę systemu. Hasłem naczelnym była walka klasowa, czyli każdy, kto miał nienależyte pochodzenie społeczne, był wrogiem. Był tym kimś, którego należy zniszczyć. Komuniści, ludzie reżimu mieli wszyscy włożone do głowy, że Polacy, którzy znaleźli się na terenie Rosji, są wrogami Związku Sowieckiego, myślą tylko, żeby zniszczyć ustrój i wobec nich trzeba postępować radykalnie. Trzeba ich na długie lata izolować, osadzając w łagrach, lub po prostu zastrzelić.

Zakłamanie systemu sięgało do tak gigantycznych rozmiarów, że dla wielu Rosjan było szokiem zawarcie 23 sierpnia 1939 roku porozumienia z hitlerowskimi Niemcami. Oni wszyscy byli karmieni potężną propagandą, że Niemcy hitlerowskie są największym wrogiem Związku Sowieckiego. Jednego dnia, jak za pociągnięciem sznurka, kazano być ich przyjaciółmi.

Ludzie aparatu represji byli wyizolowani ze społeczeństwa. Dóbr tych ludzi był określony. Wielu z nich rekrutowało się z tak

zwanych bezprizornych, czyli takich, którzy nie mieli rodzin, byli bez nikogo. Taki człowiek był najlepszy. Nie miał żadnych obciążeń. O przynależności do drugiej grupy ludzi aparatu represji decydowały związki rodzinne. To w dużym stopniu była organizacja rodzinna. Tam syn zostawał również enkawudzistą, a córka sekretarką w aparacie, to byli ludzie zaufani.

Trzeba jeszcze pamiętać o jednej rzeczy, która jest trudna do zrozumienia. Mniej więcej na przełomie lat trzydziestych nastąpiła całkowita izolacja Rosji. Równocześnie za otrzymanie listu z Polski można było wylądować w łagrze. Ludzie byli całkowicie odcięci od świata i zdani na zalew potężnej propagandy, propagandy prowadzonej dzień i noc bez przerwy. Radioodbiorników nikt nie miał, za to był szeroko rozbudowany system radiowęzłów. Tam nawet w chatach nie było wielu rzeczy, ale głośnik od radiowęzła musiał być. Także cała prasa przekazywała wyłącznie propagandowe wiadomości. Słyszałem wtedy kawał, za który można było dostać pięć lat: „Jaka jest różnica między gazetami „Prawdą”, a „Izwestią”, (izwestia – wiadomości)? W „Prawdzie” nie ma wiadomości, a w „Izwestiach” nie ma prawdy”.

Zwykłymi ludźmi rządził strach. Enkawudzistami też. Oni pamiętali, że w aparacie bezpieczeństwa nawet najwyżsi nie mają ochrony. Trzeba pamiętać, że po śmierci Dzierżyńskiego objął władzę Miężyński, też z pochodzenia Polak. Był niezwykle wykształconym człowiekiem, który stworzył cały system, który umożliwił dokonanie kolektywizacji. Ale lata płynęły. W 1934 roku trzeba było, żeby zszedł ze sceny. Został otruty. Wtedy objął rządy Jagoda. Jagoda pełnił swoje obowiązki dwa lata, został oskarżony przez najwyższe władze polityczne, że nie przejawia nadmiernej czujności w ściganiu wrogów. Został aresztowany i rozstrzelany. I tak byli kolejni, aż do Jeżowa. Już za Jeżowa terror był straszliwy, a Jeżow, półanalfabeta, nie mający żadnego wykształcenia, pełnił swoją funkcję z całym zaangażowaniem, do końca realizując politykę władz naczelnych. W zamian za to został oskarżony, że jest nadmiernie aktywny, został aresztowany i rozstrzelany. System władzy w Rosji Sowieckiej był tak skonstruowany, że najwyższe władze polityczne, Stalin z biurem politycznym, były wyłączone z tych działań. Wszystkiemu był winien Jeżow, a Stalin to niewinny człowiek – pa-

tron i ojciec narodu. Żaden Rosjanin do dziś dnia nie powie, że to był okres represji stalinowskich, nic podobnego, to były represje Jeżowa. Nawet została ukuta w propagandzie nazwa – jeżowszczyzna.

Wiele dziesięcioleci działania opisanego reżimu zrobiło z Rosjan ludzi okaleczonych. Dlatego mówimy o przebaczeniu. Bez tego nie byłoby możliwości dialogu. Pojawiają się ludzie, którzy chcą rozmawiać. Rodzi się nadzieja na porozumienie. Nadzieja, która jest i jestem przekonany, że będzie trwała.

Ks. Adam Zelga

Mam nadzieję, że ta nadzieja nabierze realnych kształtów, tak jak w przypadku mnichów prawosławnych przybyłych do Częstochowy, żeby wspólnie z Polakami modlić się przy ikonie jasnogórskiej za pomordowanych przez NKWD jeńców wojennych.

Spisała z nagrania Ewa Modrzewska

d.c. Dyskusji (Tekst otrzymany drogą korespondencyjną)

Czesław Lipka, były więzień polityczny ZK Strzelin (obecnie zamieszkały w Australii)

W Polsce byłem górnikiem. Pracowałem na Śląsku. Jestem człowiekiem wierzącym i wyznaję wartości, o jakich nam mówi Kościół. Równocześnie nie obnoszę się demonstracyjnie ze swoją wiarą, ponieważ uważam, że wiara jest osobistą sprawą człowieka i jej przesadne podkreślanie jest raczej szkodliwe. Jestem przekonany, że przez swoje dobre uczynki w stosunku do bliźnich szybciej dojdziemy do Boga niż przez jedynie mówienie o swojej wierze.

W październiku 1982 roku jako jeden z wielu Polaków, działaczy „Solidarności”, znalazłem się w celi KWMO w Katowicach. Wcześniej, zanim przyjechali po mnie „smutni panowie”, czytałem gazetę, w której było napisane: „Bestialskie morderstwo w Gliwicach” po czym, następował drastyczny opis mordu na sześciolatniej dziewczynce dokonanego przez Piotra M. Czytając to, nie wytrzymałem i przeklinając, krzyknąłem „takiego s... syna bym własnymi rękami zamordował”.

Za kilka godzin razem z Piotrem M. siedziałem na jednej celi Katowickiej Komendy Głównej. Bardzo szybko zostałem powiadomiony przez innego kryminalistę o ps. „Murzyn”, że Piotr to właśnie morderca tej dziewczynki.

Obserwując Piotra, nie mogłem w nim dojrzeć mordercy. Spokojna, łagodna twarz i dziwnie zamyślane oczy jakoś nie pasowały mi do obrazu bestialskiego mordercy. Widziałem w nim normalnego człowieka. Twarz „Murzyna” natomiast różniła się przeogromnie od twarzy Piotra. Zaciśnięte usta i złe oraz rozbiegane oczy sprawiały, że widziałem w nim typowego kryminalistę. Zresztą szybko dowiedziałem się, że był to jeden z ubeckich donosicieli.

Któregoś dnia dotarła do mnie paczka od mojej żony, w której było między innymi trochę kiełbasy. Paczkę tę oddałem oczywiście do tzw. „komuny”, czyli wspólnego użytku.

Kiedy przyniesiono kolację (bardzo czerstwy chleb z kawałkiem starej margaryny), „Murzyn” podzielił między nas kiełbasę, omijając Piotra. Nie potrafiłem ugryźć swego kawałka kiełbasy, widząc jak Piotr je suchy chleb z margaryną. Odłamałem ze swego kawałka połowę kiełbasy i podając Piotrowi, powiedziałem „bierz i jedz”.

Co Ty robisz ? – krzyknął „Murzyn”.

To moja porcja – odpowiedziałem – i z niej mu to dałem, a ja go sądził nie będę.

Przebywając już po wyroku w Zakładzie Karnym, dowiedziałem się z prasy, że Piotr dostał karę śmierci, a za jakiś czas potem, że wyrok został wykonany.

Kończąc swoją opowieść, chcę powiedzieć, że nie wiem, czy sam Bóg wpływa na nasze zachowanie w danej sytuacji, ale na pewno wpływa nasze wychowanie na drodze, po której kroczymy w kierunku Boga.

Ponieważ przeżyłem tę sytuację osobiście, to dzisiaj wiem, że nie tylko bym żadnego mordercy nie zabił, ale gdyby miał oczy Piotra M., to nawet nie byłbym w stanie go osądzić.

*Czy wiara w Boga ma wpływ na moje
codzienne życie?*

Cytaty

Jan Paweł II. Chrześcijaństwo początkiem misji
(9.01.2005, fragment)

List św. Jakuba 2,14-26. Wiara bez czynów jest martwa.

Cóż pomoże, bracia moi, jeśli ktoś twierdził, że wierzy, a nie spełniałby uczynków? Czyż taka wiara może go zbawić? Gdyby brat lub siostra nie mieli się w co ubrać i brakło im codziennego chleba, a ktoś z was im powie: Idźcie w pokoju, ogrzejcie się i nasyćcie – a nie da im tego, co jest konieczne do życia, to cóż to pomoże? Tak też wiara nie przejawiająca się w czynach martwa jest sama w sobie.

Lecz powie ktoś: Ty masz wiarę, ja zaś mam uczynki. – Pokaż mi twoją wiarę bez uczynków, a ja z uczynków moich pokażę ci wiarę. Ty wierzysz, że Bóg jest jeden? Dobrze czynisz, ale demony też wierzą i drżą.

A czy chcesz przekonać się, słaby człowiecze, że wiara bez uczynków jest bezowocna?

Czyż praojciec nasz Abraham nie dzięki uczynom został usprawiedliwiony, złożwszy syna Izaaka na ołtarzu ofiarnym? Widzisz więc, że wiara współdziała z jego uczynkami i dzięki uczynom stała się doskonałą. Tak wypełniło się Pismo, które mówi: „Uwierzył Abraham Bogu i poczytano mu to za sprawiedliwość”, i nazwany został przyjacielem Boga.

Widzicie więc, że człowiek dostępuje usprawiedliwienia dzięki uczynom, a nie przez samą tylko wiarę. Podobnie też i nierządnicą Rahab czyż nie dzięki uczynom dostała usprawiedliwienia, przyjmując zwiadowców, a inną drogą ich wyprawiając? Jak bowiem ciało bez ducha jest martwe, tak też martwa jest wiara bez uczynków.

Michał Wojciechowski. Wiara i niewiara (fragment)

... patrząc na wiarę i niewiarę, chrześcijanin widzi zależność wiary jednostki od innych ludzi. Zatem powinien dbać o publiczne świadectwo wiary, o jej obecność w życiu społecznym.

Paweł VI. Autentyczność chrześcijańskiego życia (fragment)

Rozwój kultury uznał za słuszne i konieczne rozróżnienie rozmaitych dziedzin ludzkiej działalności, pozostawiając każdej z nich względną samodzielność, której domagają się podstawowe zasady i cele każdej dziedziny. W taki to sposób każda wiedza, każdy zawód, każda sztuka posiada względną autonomię, wyłączającą ją od sfery właściwie religijnej nadającą jej pewien charakter „laicki”, który, jeżeli jest dobrze rozumiany, chrześcijanin jako pierwszy uszanuje, aby, jak to się mówi, nie mieszać tego co święte, ze świeckim. Kiedy jednak te różne dziedziny działalności, odnoszą się do człowieka pojmowanego według tego, czym on jest w swej całości i pełni, to znaczy w perspektywie swego celu ostatecznego, to wszyscy mogą i mieć powinni ten zaszczyt, odwoływania się do światła religijnego, naświetlającego ten cel ostateczny i umożliwiającego dojście do niego. Gdy więc jakaś działalność staje się moralna, odnosić się powinna do centralnego biegunu życia, to znaczy do Boga, którego nam objawiał Chrystus Pan, i który prowadzi nas w drodze do niego. Tak tedy każde życie może być chrześcijańskie, nawet, jeżeli ono jest świeckie, pod tym jednak warunkiem, że będzie uczciwe. Czyż nie naucza nas święty Paweł, że wszystko powinniśmy odnosić do Boga? „Czy tedy gdy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek innego czynicie, wszystko ku chwale Boga czyńcie (1 Kor. 10, 31).

Tomasz Dostatni OP. Zaufanie w doświadczeniach (fragment)

Święty Paweł jasno i wyraźnie mówi nam: jeżeli Chrystus za nas umarł i zmartwychwstał, to my „nie możemy siebie odnaleźć inaczej, jak tylko przez bezinteresowny dar z siebie samego”. Jesteśmy już wtedy zupełnie kimś innym. Jeżeli potrafimy dostrzec ludzi, którzy żyjąc obok, potrzebują nas, sami tak naprawdę stajemy się kimś innym. Jeżeli to dostrzeganie innych dokonuje się w imię Chrystusa, to „stajemy się nowym stworzeniem”. Nie możemy żyć, nie widząc innych, którzy na drodze naszego życia zostali nam dani przez Boga, abyśmy, choć kawałek drogi naszego życia przeszli razem. A przez to przejście razem Bóg bez wątpienia chce nam coś nowego powiedzieć, chce abyśmy znów otworzyli się na innych.

KONWERSATORIUM XXXVII (20.02.2010)

Czy wiara w Boga ma wpływ na moje codzienne życie?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii im. bł. Edmunda Bojanowskiego), Jakub Papierski (prezes Zarządu Allianz Bank Polska), Monika Nagórko (prezes Stowarzyszenia Rodziców po poronieniu), Leszek Marks (nauczyciel akademicki, profesor UW i PIG).

Ks. Adam Zelga

Zaprosiliśmy do dawania świadectwa trzy osoby zupełnie różnych powołań czy profesji. Bardzo serdecznie witam Pana Jakuba Papierskiego, prezesa zarządu Allianz Bank Polska. Bardzo serdecznie witam Pana profesora Leszka Marksa, mojego parafianina, nauczyciela akademickiego. Żartobliwie powiem, że moja parafia jest niezwykła, mieszka tutaj wielu wspaniałych ludzi. W zeszłym roku stwierdziłem z zaskoczeniem, że mieszka tu również Pan Marks. To w Europie brzmi interesująco. Bardzo serdecznie witam Panią Monikę Nagórkę, która jest prezesem Stowarzyszenia Rodziców po poronieniu i jest po prostu mamą. Mamy więc tutaj bankowca, nauczyciela akademickiego i mamy mamę.

Jakub Papierski

Zaproszenie bankowca do panelu, by dawać świadectwo o tym, jak wiara wpływa na czyjeś życie, jest dość odważnym wyzwaniem i pomysłem, bo nie ukrywam, że zawód bankowca, gdyby istniał w czasach biblijnych, byłby pewnie wymieniany między celnikami i faryzeuszami. Nie jest łatwo sprostać zadaniu, przed którym zostałem postawiony, ale postaram się w kilku słowach powiedzieć, że da się być bankowcem, wykorzystując zasady, które płyną z szeroko rozumianej wiary i tego wszystkiego, co rozumiemy czy czujemy pod pojęciem wiary.

Wykonuję zawód, który po trosze związany jest z działalnością bankowca, a po trosze moja praca na co dzień jest związana bardziej z szeroko rozumianym zarządzaniem zespołem ludzi, organizowa-



Fot. 47. Paneliści: ks. Adam Zelga, Jakub Papierski, Monika Nagórko, Leszek Marks

niem pracy, prowadzeniem firmy jako takiej. Jako prezes czy wiceprezes banku zawsze przed takimi dylematami się staje. Nie da się na pewnych poziomach organizacji, szczególnie gdy jest się jej szefem, uniknąć dylematów, które nie mają jednoznacznych odpowiedzi. Praca na pewnym poziomie w instytucji czy organizacji polega na tym, że stajemy przed pytaniami, na które albo dobrej odpowiedzi nie ma, albo odpowiedzi są nieoczywiste, niebanalne, nie proste, natomiast wymagają często zero-jedynkowych decyzji.

Pracując w banku, bardzo często mam kontakt z bardzo dużymi pieniędzmi, takimi, którymi na co dzień zwykła osoba nie obraca, nie decyduje o nich. Mam również kontakt z wnioskami osób, które składają prośby, żeby je wesprzeć finansowo lub pomóc w sytuacji, w której się znaleźli ze względu na utratę pracy albo chorobę, która dotknęła ich najbliższych. Niekiedy bardzo ciężko jest zdecydować, co należy w takiej sytuacji zrobić. Jakby nie patrzeć, bank nie został powołany przez swoich właścicieli do tego, aby być organizacją wspierającą społeczną działalność, tylko po to, żeby zarabiać pieniądze. Ma natomiast niewątpliwie możliwości, żeby część swoich zasobów wykorzystać właśnie w takich celach. Jak to zrobić, żeby komuś pomóc, aby był to właściwy spo-

sób pomocy, żeby kogoś nie urazić, by był to sposób transparentny i uczciwy, i aby z tej pomocy, która w jakiś sposób jest ograniczona, mogła skorzystać relatywnie duża część osób, które rzeczywiście takiej pomocy potrzebują. Jak stworzyć strukturę tej pomocy. Moją rolą jest bardzo często kierowanie pojedynczych wniosków o pomoc dla mam, rodzin, niekiedy domów dziecka, do powołanej specjalnie fundacji czy powołanych specjalnie oddzielnych organizacji, które my z kolei wspieramy, aby one, a nie my bezpośrednio, zajęły się alokacją tych środków do miejsc, w któ-



Fot. 48. Jakub Papierski

rych naprawę ich potrzeba. Czasami ciężko jest czytać spokojnie list napisany bardzo od serca przez osobę, która potrzebuje pomocy. Gdy widzimy z jednej strony zasobność banku, a z drugiej rzeczywiste potrzeby indywidualnych osób, które zwracają się z o pomoc, bardzo trudno podjąć decyzję. Wymagają one głębokiej refleksji i zastanowienia się, czy i jak wyjść z takich sytuacji. Bardzo często uciekam się wtedy do Boga, zadając Mu pytanie, co należy zrobić, co jest dobre. Nie są to łatwe momenty. Po ludzku rzecz biorąc, nie ma dobrej odpowiedzi, jak z tego wyjść.

W moim życiu zawodowym staram się odnajdywać to, co najważniejsze w wierze i w moim kontakcie z Bogiem.

Zdarza się to poprzez spójne działanie.

To jest chyba coś, co jest najważniejsze w życiu codziennym, w pracy osoby, która pracuje w banku czy jest menadżerem. Spójne działanie jest chyba czymś, co powoduje, że wszystkie osoby, które wokół nas pracują, odbierają nasze działanie jako dobre, jako prowadzone w dobrą stronę, takie, które daje motywację. Bo tak naprawdę moją pracą nie jest zarabianie pieniędzy, tylko umotywowanie dużej grupy ludzi, stu, dwustu, siedmiuset, niekiedy kilku tysięcy do tego, aby coś wspólnie dobrego zrobili w ramach tej instytucji, w której pracują, aby dobrze świadczyli pracę i aby ta praca była dobrze zorganizowana.

Żeby coś takiego zrobić, trzeba mieć ogromne przekonanie, że zarówno cel tej organizacji, którą się wspiera, jest dobry, a jeżeli nie jest dobry, to tak ją trzeba weryfikować, aby stał się dobry. A z drugiej strony, aby w tych ludziach, których zatrudniliśmy, którzy świadczą pracę, rosła satysfakcja z tego, co robią, aby wiedzieli, że praca, którą wykonują, jest potrzebna, że jest dobrze wykonywana. I tak naprawdę to jest coś, co stawiam przed sobą jako jedno z najważniejszych zadań, aby dać osobom, z którymi pracuję, komfort tego, że to, co robią jest potrzebne i dobrze wykonywane.

Jeżeli wykonywana praca jest źle robiona, trzeba umieć to zakomunikować. Trzeba starać się o mądrość, siłę i umiejętność powiedzenia, że pewne rzeczy muszą być robione inaczej – powiedzenia w sposób, aby nikogo nie urazić. Często staję przed takim dylematem i wtedy zawsze staram się być spójny, zgodny z wcześniejszymi decyzjami, zgodny z pewnym planem strategicznym, który sobie wcześniej rysujemy jako organizacja, po to, aby dać ludziom poczucie stabilności. To jest bardzo duże wyzwanie, żeby tę stabilność mieć i wiarę, że te kroki są dobre. Bardzo często odwołuję się w swojej modlitwie do próby weryfikacji czy to, co robię i jak robię, rzeczywiście przynosi takie efekty, jak powinno. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że zajmując relatywnie wysokie stanowisko w instytucji, nie mam osoby czy struktury, które powiedzą, że to, co robię, jest dobre, jest właściwe. Ktoś kiedyś bardzo mądrze powiedział, że szefowie, liderzy, prezesi są najbardziej samotnymi osobami w instytucji. Jedyną płaszczyzną weryfikacji może być wiara i modlitwa. Należy wejść w pogranicze życia zawodowego i zawierzenia Bogu, po to, aby weryfikować swoje własne kroki, nie względem tego, czy zarobiłem wystarczająco dużo pieniędzy dla mojej firmy, ale względem tego, czy daję ludziom, którzy ze mną pracują, poczucie słuszności kierunku, ich wartości i komfortu pracy. Taka refleksja jest mi bardzo potrzebna.

O życiu zawodowym może na początek tyle. Jeżeli chodzi o życie prywatne, to jestem ojcem trzech córek i mogę powiedzieć, że obecność tych trzech córek jest źródłem refleksji nad moim osobistym przeżywaniem religijności. Mamy córki w trzech różnych etapach. Jedna ma trzy, druga sześć, a trzecia osiem lat. Jedna dopiero zaczyna kreślić znak krzyża, a trzecia będzie w tym roku przystępowała do pierwszej komunii świętej. To są takie momenty, w któ-

rych nasza dorosła religijność nabiera zupełnie innego wymiaru. Powracamy razem z moją żoną do czasów, kiedy my sami przystępowaliśmy do komunii świętej. Dzisiaj widzimy to z zupełnie innej perspektywy. Bycie ojcem jest dla mnie źródłem wielu pytań dotyczących religijności. Równocześnie myślę, że bycie ojcem jest o wiele mniejszym wyzwaniem niż bycie matką.

Monika Nagórko

Rozmawiamy tutaj czy religia wpływa na nasze życie codzienne? Z jednej strony chciałoby się powiedzieć, że tak, z drugiej jednak każdy z nas boryka się z własną słabością, z własnym grzechem i ciężko tutaj o jednoznaczną odpowiedź.



Fot. 49. Monika Nagórko

Chciałabym się z Państwem podzielić historią mojego małżeństwa, którą przeszliśmy razem z mężem. Kiedy staliśmy na początku tej drogi 10 lat temu i ślubowaliśmy sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską, mieliśmy wspólną wizję, jak będzie wyglądała nasza rodzina. Wyobrażaliśmy sobie, że ja będę pracować w domu i będę opiekować się gromadką dzieci. Mieliliśmy tradycyjny model rodziny.

Urodziło się pierwsze dziecko. Oczywiście była wielka radość. Po półtora roku okazało się, że znowu jestem w ciąży i spodziewamy się drugiego dziecka. Niestety, nasza radość trwała bardzo krótko, zaledwie kilka tygodni. Potem okazało się, że zaczyna się poronienie. Trafiliśmy do szpitala, gdzie traktowano nas bardzo źle. Cała akcja „Leczyć po ludzku” naprawdę ma ogromny sens.

Był to jeden z najgorszych momentów w moim życiu, podeptano moją godność jako kobiety, jako matki, podeptano godność mojego dziecka, jakby w ogóle go tam nie było. Wychodząc ze szpitala, mimo wszystko, mimo tej całej tragicznej sytuacji jakoś z ufnością patrzyliśmy w przyszłość. Kilka miesięcy po tym wydarzeniu okazało się, że spodziewamy się trzeciego dziecka. Wierzyliśmy, że tym razem nic złego się nam nie stanie, że to, co było złe, mamy już

za sobą. Byliśmy tak pełni ufności, że gdy pod koniec pierwszego trymestru jechaliśmy na kontrolne USG, wzięliśmy ze sobą naszego półtorarocznego syna, żeby mu pokazać brata czy siostrę. Okazało się jednak, że historia się powtarza że naszemu dziecku serce nie bije i nie pokażemy naszemu synkowi żywego brata lub siostry.

Kolejny szpital, kolejne tragiczne przejścia. Dalej doświadczaliśmy tego, że lekarze nie chcieli z nami rozmawiać, uciekali w milczenie, że położne, młode dziewczyny, młode kobiety traktowały mnie jak pacjentkę gorszej kategorii, że była lekarka, która odmawiała człowieczeństwa mojemu dziecku, mimo że pięć minut wcześniej na USG oglądaliśmy normalne dziecko, które miało ręce i nogi. Mówiła nam, że na tym etapie to jeszcze nie dziecko.

Wyszliśmy znowu ze szpitala i już wiedziałam, że żyjemy w świecie, który nie dopuszcza myśli, że dzieci umierają. Śmierć dziecka w trakcie ciąży jest tematem tabu w naszym społeczeństwie. Było tak, że jak odwiedzała nas rodzina, to nie było tematu. Wcześniej było zainteresowanie, wszyscy pytali, jakie imię damy dziecku, wszyscy się z nami cieszyli i nagle było tak, jakby tego dziecka nie było. Podobnie było w szpitalu, kontaktach z innymi ludźmi, a nawet w środowisku kościelnym.

Nie było tematu dzieci zmarłych przed porodem. Księża też nie wiedzieli, jak rozmawiać. Dziewięciu księży na dziesięciu zaczynało rozmawiać o aborcji, chociaż są to dwie całkowicie inne sprawy. Chcieliśmy coś z tym zrobić. Znalazła się w internecie grupa ludzi, która miała podobne do naszych doświadczenia ze szpitalami. Założyliśmy stronę internetową www.poronienie.pl, w ramach której chcieliśmy zebrać podstawowe, fachowe informacje od psychologa, od prawnika, od księdza, jak sobie radzić w sytuacji niezawinionej śmierci dziecka. Rozwój strony przerósł nasze oczekiwania, bo zaczęła ona żyć własnym życiem, zaczęliśmy chodzić do szpitali z prezentacjami, jakie są oczekiwania pacjentek, jak chcą być traktowane w sytuacji śmierci dziecka, w sytuacji przegranych narodzin. Okazało się, że nikt nie uczy personelu medycznego, jak rozmawiać z pacjentką, co mówić, co zaproponować, żeby ten czas było jej później łatwiej przejść.

Powoli po uzyskaniu osobowości prawnej doszliśmy do Stowarzyszenia. Skupia ono osoby, które przeżywając żalobę po zmarłym nie-narodzonym dziecku, mają ogromną potrzebę świadomego przeżycia



Fot. 50. Monika Nagórko

tego czasu. Działania w Stowarzyszeniu nie-
zwykle to ułatwiają. W Stowarzyszeniu jest
grupa ludzi, która ma poczucie robienia cze-
goś pożytecznego. Tworzone są ulotki, orga-
nizowane konferencje naukowe i prezentacje
w szpitalach. Jest pomoc prawna dla osób te-
go potrzebujących. Ma się poczucie, że to, co
się robi, ma rzeczywiście sens.

Równocześnie przychodzi taki moment,
kiedy znajduje się ciekawsze zajęcia, które da-
ją więcej satysfakcji. Wtedy trzeba szukać
głębszej motywacji do tego, żeby dawać same-
go siebie i poświęcać swój wolny czas społecz-
nie dla innych. W Stowarzyszeniu są osoby,
które motywacji społecznego działania szu-
kają w swoim kontakcie z Panem Bogiem.

Bardzo bliskie są mi dwa obrazy z Ewangelii. Jeden to jest
przypowieść o kobiecie, która chciała zrobić ciasto. Zrobiła zaczyn.
Każda gospodyni, która robiła kiedyś ciasto drożdżowe, wie, że
najpierw robi się zaczyn i odstawia się go na bok. Najpierw małą
rzecz – zaczyn, a potem dopiero poważną – ciasto. Tak samo widzę
pracę w Stowarzyszeniu. Mamy bardzo małe rzeczy do zrobienia.
Trzeba napisać tekst, wstawić go na stronę. Trzeba gdzieś pójść,
wysłać ulotki, zrobić projekt graficzny. To są bardzo małe rzeczy,
a co później się z tym dalej będzie działo, czy to do kogoś trafi, czy
komuś to pomoże, to już jest poza nami. Dobro, które z tego po-
wstanie, trzeba zostawić Panu Bogu.

Drugi obraz, który jest mi bardzo bliski, to przypowieść o zia-
renku gorczycy wrzuconym do ziemi. To jest ta drobna, malutka
rzecz, którą my możemy zrobić dla innych, a czy z tego ziarenka
wyrośnie wielkie drzewo, zostawiamy Komuś innemu. Gdyby ktoś
pięć, sześć lat temu powiedział mi, do czego to wszystko zmierza,
potraktowałabym to jako niezły żart. Powiedziałabym, że nie mam
takich możliwości, mam małe dzieci, jestem na urlopie wycho-
wawczym. Nie wyobrażałabym sobie, że można zorganizować
w ten sposób jakąkolwiek działalność, będąc w domu. A jednak
dzisiaj po kilku latach możemy powiedzieć, że widzimy wspaniałe
owoce tych małych, drobnutkich ziarenek.

Leszek Marks

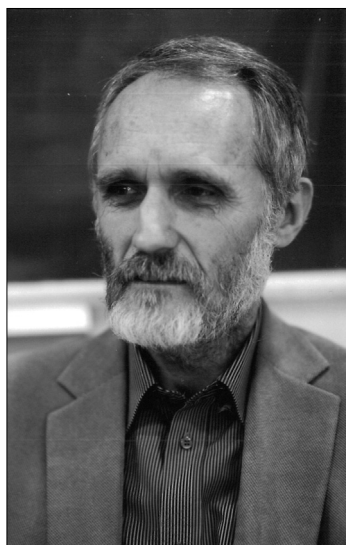
Zacznę od przełomu w moim życiu, który był dla mnie dramatyczny. Ale o tym za moment.

Urodziłem się w zwykłej rodzinie katolickiej, mam brata, otrzymałem wychowanie, jakie większość z nas uzyskuje. Odbyłem w normalnym terminie wszystkie szczeble edukacji katolickiej. Zdałem maturę katolicką w odpowiednim czasie, więc jak zawierałem związek małżeński, to nie musiałem odbywać żadnych dodatkowych rekolekcji i przygotowanie do ślubu miałem w wersji skróconej. Jednak moja świadomość chrześcijańska była w sumie dość płytka. Jako młody człowiek miałem bardzo dużo zainteresowań i wiele różnych planów na przyszłość. Zabiera to wtedy czas i w efekcie można dojść do wniosku, że po co zajmować się sprawami wiary, skoro jest wiele atrakcyjniejszych rzeczy do zrobienia. Toteż życie sobie biegło, skończyłem studia i zacząłem pracować na Uniwersytecie Warszawskim. Wszystko nieźle szło. Urodził się nam syn. Ja zrobiłem doktorat. Wszystko posuwało się w dobrym kierunku.

Niestety, nie wszystko w życiu jest usłane różami. Miałem trzydzieści parę lat i nagle zmarł mój ojciec. Byłem z nim bardzo związany. Dla mnie była to niespodziewana, dramatyczna sprawa. Poszedł na dość banalną operację, ale potem się okazało, że są jakieś komplikacje i raz, dwa się zawinął. Nagle dotarło do mnie, że go nie ma. Czułem się w tym momencie ogromnie zagubiony. Były to lata osiemdziesiąte. Wszystkie sprawy przebiegały znacznie wolniej. Załatwienie pogrzebu trwało mniej więcej tydzień do dziesięciu dni. Był to jednak czas refleksji. Jak przychodzi okres mocniejszych przeżyć, to człowiek intensywniej myśli o pewnych sprawach. Ma przed oczami obrazy z przeszłości i myśli o tym, czego nie zrobił. Wtedy właśnie pojawił się u mnie żal, że o pewnych rzeczach z ojcem nie rozmawiałem, chociaż okazji było wiele. Nie rozmawiałem, bo nie miałem czasu, zajmując się czymś innym. W którymś momencie, jeszcze przed pogrzebem, przyszła mi myśl, że przecież nie wszystko stracone, że jeszcze się kiedyś spotkamy i będziemy mogli na te tematy porozmawiać. To w jakiś sposób postawiło mnie na nogi. To przeświadczenie pozwoliło mi wyjść z dołka psychicznego i pomyślałem bardziej optymistycznie o przyszłości. I muszę powiedzieć, że właśnie to był dla mnie moment przełomowy. Od tamtej pory stałem się trochę inny. Inny w tym sensie, że później jak do-

świadczałem śmierci bliskich czy przyjaciół, zawsze pozostawała nadzieja, że to nie jest jeszcze koniec, że jeszcze się spotkamy w tym innym świecie i będziemy mogli nadrobić to, czego nie zrobiliśmy w naszym ziemskim życiu. Taka nadzieja jest ogromnie potrzebna, że nasze życie nie kończy się tutaj, lecz że później jest jego kontynuacja. I od tamtej pory zacząłem inaczej myśleć o życiu.

Przejdę teraz do spraw zawodowych. Jestem geologiem, zajmuję się badaniami złodowaceń i lodowców, oczywiście nie tylko w naszym kraju. Zajmuję się również zmianami klimatu w przeszłości. Jako pracownik naukowy doskonale wiem, że wyniki badań naukowych nigdy nie sięgają 100% pewności, zwykle jest to mniej, nawet 70% czy 60%. Dlatego elementarna uczciwość w działalności naukowej polega na przedstawianiu nie tylko argumentów za, ale i przeciw, a więc obu „stron tego samego medalu”?



Fot. 51. Leszek Marks

Nawiązując do tematyki dzisiejszego Konwersatorium, myślę, że uczciwość, którą staram się przejawiać w swojej działalności naukowej, wynika z tego, że staram się, aby podstawowe prawdy Boże sterowały moim życiem. Nie jest łatwo ich przestrzegać i bywa, że z niektórymi jestem czasem na bakier.

Jeżeli chodzi o moja inną działalność, to dotyczy pełnienia funkcji administracyjnych.

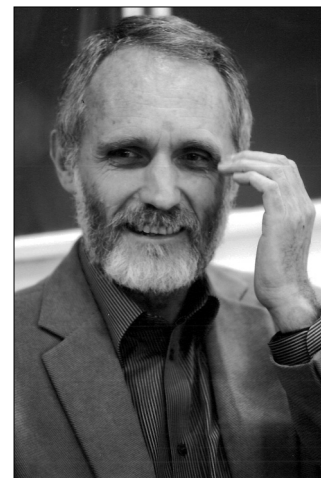
Pełniłem już różnego rodzaju funkcje. Byłem między innymi dyrektorem Państwowego Instytutu Geologicznego, prodziekanem Wydziału Geologii na Uniwersytecie Warszawskim, pełniłem i nadal pełnię szereg funkcji w różnych organizacjach. Kiedy człowiek po raz pierwszy w coś takiego wchodzi, to jeszcze nie wie, czego się podejmuje. Na ogół widzi tylko tę zewnętrzną otoczkę. Ktoś może pomyśleć: temu człowiekowi się udało, robi karierę, obejmuje wysokie stanowiska czy pełni jakieś zaszczytne funkcje. Jednak w gruncie rzeczy pełnienie funkcji, poza tym zewnętrznym obrazem, ma w sobie również „drugie dno”, najeżone wieloma trudnymi momentami.

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych byłem prodziekanem na Wydziale Geologii Uniwersytetu Warszawskiego, rozpoczęła się wielka transformacja nauczania akademickiego. Wydział Geologii otworzył się i przyjęliśmy ponad 1600 kandydatów na pierwszy rok studiów. Było to ogromne wyzwanie. Znaczna część studentów okazała się jednak przypadkowa, między innymi częstym motywem rozpoczynania studiów przez mężczyzn była ucieczka od obowiązkowej wówczas służby wojskowej. Dlatego musiałem podejmować wiele decyzji o skreślanii z listy studentów, co zawsze wiązało się z dylematem, aby przez niedopatrzanie i zbyt pochopnie kogoś nie skrzywdzić.

Kiedy pełni się jakąś funkcję, to codziennie człowiek spotyka się z ludzkimi sprawami. Jest wiele różnych problemów. Niektórzy ludzie nie wywiązują się ze swoich obowiązków, więc trzeba dogłębnie ocenić, czy jest to spowodowane przez zaniedbanie, przez przypadek, a może po prostu były jakieś obiektywne przyczyny. Pełniąc funkcję, staje się przed koniecznością oceny, która często jest bardzo trudna, jeżeli człowiek nie ma jakiegoś wsparcia. Myślę, że moja wiara w Boga jest dla mnie takim wsparciem, które pozwala mi śmiało podejmować decyzje. Wydaje mi się, że w ogromnej większości decyzje, które musiałem podejmować, były prawidłowe.

I na zakończenie chciałbym powiedzieć, że wśród dziesięciu przykazań najbliższe jest mi przykazanie „nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu”. Przyniosłem taki mały wierszyk, który sobie zapisałem, żeby go nie zapomnieć:

„Milcz o innych, patrz na siebie,
będzie święty człowiek z Ciebie”.



Fot. 52. Leszek Marks

Dyskusja

Jan Zmyślony

Wszyscy wiemy, że przeżywamy obecnie światowy kryzys ekonomiczny i że ten kryzys spowodowały banki. Każdy mówi o wierze w sposób bezproblemowy, a dla mnie wiara bez czynów martwa jest. Nie słowa, lecz czyny liczą się dla mnie. W związku z tym mam pytanie do Pana Prezesa Allianz Banku. Jak to jest, że kryzys, który wywołały służby finansowe, a płacą za niego wszyscy zwykli ludzie, widzi Pan w kontekście wiary? Dlaczego bankowcy, którzy spowodowali ten kryzys, nie biorą odpowiedzialności na siebie, tylko przerzucają jego koszty na wszystkich innych? Za kryzys płacą często najbiedniejsi ludzie. Oni przestrzegają zasad, oni płacą wszystkie opłaty, spłacają kredyty, a ci, co wywołali kryzys, mimo że może są wierzący, nie są zbyt obciążeni kosztami kryzysu. Jak wiara w Boga sprowadza się do naszego codziennego życia? Czy to nie jest tak, że wierzymy prywatnie w domu, a gdy przekraczamy drzwi do pracy, zapominamy o Bogu i nasza wiara ginie. Po prostu wystarczyłoby przestrzegać dziesięciu przykazań, ale czy wśród nas jest wielu takich, którzy je przestrzegają? To jest takie proste pytanie.

Wiara bez czynów martwa jest. Każdy w swoim zakresie powinien starać się, aby własnymi czynami zachęcać ludzi do wiary w Boga. Powiem to na przykładzie dystrybucji „Gościa Niedzielnego” na Ursynowie. Ten bardzo dobry tygodnik jest do dostania przy parafiach i może w jednym kiosku w dzielnicy. Jest to, moim zdaniem, obiektywna gazeta i w sposób rzetelny przedstawia różne sprawy ważne dla codziennego życia. Niestety, jest często dla ludzi niedostępna. Dlaczego? Czy zawinił kioskarz, który jej nie zamówił, czy my, że się o nią nie upominamy? Podobnie jest z dobrymi książkami. Ludzie ich nie czytają. Narzekamy na europejski i polski katolicyzm, ale co w tym zakresie robimy? Krytykujemy, ale problem jest jakby poza nami.

Jakub Papierski

Absolutnie nie czuję się ambasadorem wszystkich banków na świecie, nie biorę za nie odpowiedzialności. Banki jako przedsiębiorstwa istnieją na świecie mniej więcej od pięciuset lat i były

zakładane na przełomie XIV i XV wieku we Włoszech. Nie zostały one założone, żeby prowadzić działalność misyjną, tylko po to, żeby zarabiały pieniądze dla ich właścicieli. I tak jest do dzisiaj. To są przedsiębiorstwa komercyjne, zarabiające pieniądze. Dopiero od niespełna 100 lat, od pierwszych kryzysów na początku XX w. w Stanach Zjednoczonych, a w szczególności w ciągu ostatnich 35-40 lat, zostały uruchomione na całym świecie pewnego rodzaju regulacje w ramach sektora finansowego i bankowego, po to, aby działalność banków nie była wyłącznie działalnością o charakterze komercyjnym, ale musiała podlegać pewnym normom zapewniającym zaufanie i uczciwość względem klientów, którzy powierzyli im swoje oszczędności. Jak wspomniałem, pierwsze tego typu ruchy regulacyjne mają bardzo krótką historię. Nie ma więc co się dziwić, że instytucje z pięciusetletnią historią w tym biznesie i relatywnie krótkim okresie regulacyjnym nie są idealną branżą, w której są same ideały. Zdarzają się w tej branży nieefektywności, nienormalności, wpadki, jak w każdej innej branży. Czy należy być z tego dumnym? Absolutnie nie i myślę, że ci bankowcy i bankierzy, którzy prowadzili banki, które były u zarania kryzysu, o którym Pan wspominał, który obserwujemy mniej więcej od dwóch czy trzech lat, oni ponieśli konsekwencje swojej nadmiernej chciwości i złego zbilansowania chęci zarobienia pieniędzy i uczciwości, która musi być podstawą każdego banku. Oni ponieśli konsekwencje, bo stracili swoje banki i często ogromne majątki. Upadek banków miał również konsekwencje dla zwykłych klientów. Na rynku istnieją jednak mechanizmy, które zabezpieczają klientów, w szczególności tych drobnych, indywidualnych, którzy powierzyli bankom swoje oszczędności, przed upadkami banków. W Polsce też tak jest, choć na szczęście nie upadł u nas żaden bank w ciągu ostatnich lat. Tak naprawdę nikt z klientów polskich banków nie poniósł konsekwencji światowego kryzysu w jakiś szczególny sposób, tracąc swoje oszczędności. Nikt ich nie stracił, bo żaden bank nie upadł. Można mieć wątpliwości co do tego, czy branie kredytów w walutach zagranicznych, w euro czy frankach było działalnością korzystną dla klienta, a do której banki namawiały. Ale były też przesłanki, żeby tak robić. Za każdym razem klient miał wybór. Kredyt w złotych czy kredyt we frankach szwajcarskich? Z pełną świadomością tego, że istnieje ryzyko kredytowe.



Fot. 53. Jakub Papierski

Banki dzisiaj idą w kierunku dalej posuniętych działań. Biorą na siebie obowiązek przestrzegania klientów przy podejmowaniu konkretnych decyzji finansowych i informowania o tym, że niektóre instrumenty są dobre dla klientów, a niektóre są dla nich złe. Jest to szczególnie obecne przy tych produktach bankowych, które są związane z inwestowaniem pieniędzy, z rynkami typu giełda, z rynkami walutowymi czy rynkami finansowymi, które są związane z ogromną zmiennością jakiegoś tam produktu, czy innego instrumentu finansowego. Klienci muszą być przestrzeżeni, że jeżeli nie mają doświadczenia, nie mają określonej wiedzy w tym zakresie, kupowanie niektó-

rych instrumentów na 95% skończy się poniesieniem strat. Jeżeli więc chcą kupić, to nie można im zabronić, ale powinni być tego świadomi i powinni oświadczyć bankowi, że owszem „nie znam się, nie wiem, co to jest, ale mimo wszystko chcę kupić”. Bank nie może odmówić, zgodnie z regulacjami szeroko rozumianego prawa, zakupu, podobnie jak ja nie mogę zabronić Panu zakupu papierosów, mimo iż wszyscy wiemy, że są szkodliwe. Natomiast jest tam naklejka „Palenie szkodzi”. W banku również Pan musi się z taką naklejką zaznajomić, czasami nawet ją podpisać, że wie, iż ten instrument dla niego się nie nadaje, ale mimo wszystko chce go kupić.

Dzisiaj większość banków wycofała się z udzielania kredytów w walutach innych niż złotówka i euro, mimo iż te kredyty byłyby wciąż tańsze niż te brane w złotówce czy w euro. Dlaczego? Dlatego, że istnieje ogromne ryzyko przy zmianie kursów walutowych, że zamiast 50 000 kredytu będzie musiał Pan oddać 80 000 do banku. Klient może wziąć taki kredyt, natomiast musi być świadomy ryzyka. My w Polsce mieliśmy to szczęście, że jak już wspominałem, konsekwencje dla sektora finansowego i dla klientów banków naprawdę były słabo zauważalne.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałabym powiedzieć parę słów o przestrzeganiu Dekalogu. Rozmawiając z ludźmi różnego wieku i obserwując ich życie, wi-



Fot. 54. Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

dzimy wyraźnie, że stosowanie się do Dekalogu daje spokój, zadowolenie, satysfakcję i jakąś radość. Powiem więcej, ludzie stosujący się do Dekalogu są pogodniejsi. Jest to dla mnie świadectwo, że jest to droga właściwa.

Natomiast w tych dyskusjach i naszych obserwacjach, można zauważyć, że ludzie wybierają sobie przykazania, które stosują, a inne odrzucają, bo są nieżyciowe i są nie dla nich. Na przykład, dotyczy to powszechnego współżycia młodych ludzi przed ślubem. Innym przykładem jest omijanie płacenia podatków. Dekalog jest stosowany wybiórczo, to mi odpowiada, a to nie. Czy w tej sytuacji możemy mówić o prawdziwej wierze w Pana Boga, który przekazał nam Dekalog do stosowania?

Druga sprawa związana z Dekalogiem, to kwestia wrażliwości sumienia. Pamiętam z czasów jeszcze studenckich, jak był tłok w autobusie i nie mogłam skasować biletu, to wyrzucałam go po wyjściu. Wykorzystanie powtórne biletu uważałabym za nieuczciwe i miałabym wyrzuty sumienia. A przecież wiele osób tak robi. Potem zaś narzekamy, że komunikacja miejska jest słabej jakości. Czy wykorzystywanie telefonu służbowego do celów prywatnych jest uczciwe? Obserwuję czasem osoby, które wpadają do pracy wyłącznie po to, aby załatwić parę prywatnych rozmów. Jest to

kwestia wrażliwości sumienia, przy każdym przykazaniu z Dekalogu musimy to brać pod uwagę. Tak mi się wydaje.

Jakub Papierski

Przestrzeganie Dekalogu jest elementem spójności, o której wcześniej wspominałem, która ma podstawowe znaczenie w pra-



Fot. 55. Jakub Papierski

cach w różnych organizacjach z dużymi zespołami ludzi i która przekłada się na ich zachowanie. Przestrzeganie Dekalogu nie jest tylko ważne dla samego komfortu wewnętrznego nas osobiście. Wpływa ono na zachowanie tych wszystkich osób, które na nas patrzą. Są takie stanowiska, na których nasze zachowanie jest obserwowane przez wielu ludzi, którzy patrzą na nas, aby nas naśladować i rozumieć, co jest dobre, a co złe. Stajemy się przedmiotem pewnej weryfikacji i naśladowania ludzi. Trzeba uważać na słowo, które się mówi, bo niekiedy żart w złym miejscu skutkuje zupełnie niepotrzebnymi sytuacjami. Dlatego powiedziałbym, że ta spójność z Dekalogiem lub z innym systemem wartości, bo nie wszyscy muszą być chrześcijanami, jest czymś, co w do-

bry sposób pozwala nam oddziaływać na innych ludzi.

Przychodzą mi na myśl wartości menadżerskie, które mogą pozwalać ludziom w dobry sposób się zachowywać, iść za dobrym przywódcą, dobrym dyrektorem, dobrym liderem, dobrym kierownikiem, który swoim przykładem pokazuje im, co robić. Jednym z takich przykładów w bankach czy dużych organizacjach jest zwykły etos pracy. Tylko ciężką pracą pokazujemy ludziom nasze zaangażowanie, nasze poświęcenie dla jakiegoś wspólnego przedsięwzięcia. Oni na początku stoją z boku, patrzą i myślą „popracuj sobie”, ale po pewnym czasie dołączają się. Nie można kogoś zmusić do intensywnej pracy, ale jeżeli się go zaangażuje i przekona swoim własnym przykładem, to jest to o wiele bardziej wartościowe, daje też tej drugiej osobie poczucie komfortu, że to, co robi, jest dobre.

Uczciwość, w bankowości fundamentalna, nie jest tylko postrzegana jako odpowiedzialność za klienta, ale również dobrze wykonywanej pracy. Dotyczy to każdej pracy, czy w bankach, czy na stacji benzynowej, czy gdziekolwiek indziej. Siedzenie i nierobienie nic, tzw. bycie w pracy, jest nieuczciwe, podobnie jak nieskasowanie biletu w autobusie. Umówiłem się z moim pracodawcą, że za konkretną pensję miesięcznie mam pracować i wykonywać określone zadanie i jeśli nie wykonuję, bo siedzę lub serfuję po Internecie czy jestem na Naszej Klasie, to jest nieuczciwe. To jest tak samo nieuczciwe, jakbym był sprzedawcą jabłek, przyjął pieniądze, ale nie wydał towaru. Nieuczciwe jest, gdy umówiłem się z kimś, że mu sprzedam swój czas pracy, będę mu wykonywał pewne rzeczy, ale mu tego nie robię. Wiele jest przykładów, które można by mnożyć, ale przełożenie właśnie naszej spójności z Dekalogiem na dobrą pracę jest fundamentalne, jest bardzo istotne.

Tadeusz Wójcik

Jestem w tej chwili w trakcie czytania książki, która koncentruje się na sprawach globalizacji. Rozpoczęła się ona od spraw gospodarczych, od odkryć geograficznych, potem radio, telewizja, dzisiaj Internet, telefony komórkowe. Równocześnie po upadku barier dużych systemów politycznych swobodny przepływ kapitału, ludzi, dóbr. W zasadzie proces pozytywny. Co się jednak okazuje? Statystyka mówi, że na tym korzystają głównie bogaci i proces ten generuje nierówności. Nowa forma kolonizacji grozi globalną destabilizacją. Rośnie przepaść między bogatymi i biednymi. Miliard ludzi żyje przy dochodach dolara na dzień, a równocześnie w Stanach Zjednoczonych liczba miliarderów wzrosła ze 140 w 1985 roku do 1120 i ich majątek jest większy niż cały roczny dochód narodowy Niemiec. 50% zasobów finansowych jest w rękach 2% ludzi. Równocześnie w krajach rośnie rozdzźwięk między ludźmi bogatymi i biednymi.

W Stanach Zjednoczonych w latach 1973-94 wzrost produktu globalnego wynosił 33%, a przeciętna płaca robotników i urzędników na niekierowniczych stanowiskach nieco spadła, natomiast zarobki elity w roku 1973 były większe niż robotnika czy niewykwalifikowanego administratora 25 razy, a obecnie 500 razy. No i ostatni kryzys finansowy, o którym była tutaj mowa, i działalność ban-

ków na tym tle. Mieszkam w centrum Warszawy i na ulicy Puławskiej między ulicami Narbutta a Rakowiecką powstało w ostatnim okresie osiem banków. To jest dla mnie szokujące, co się za tym kryje, bo to nie jest wyraz tego, że się wzbogacamy jako cały kraj. Te 1100 miliarderów może bezkarnie działać, może się umawiać, może tworzyć zasady. Jak wygląda odpowiedzialność, czy istnieje jeszcze duch chrześcijański w sferach, które decydują o tej sytuacji, tym globalnym rezultacie procesu globalizacji?

Ewa Szlubowska

Chciałam odnieść się do tego, co mówiła Pani Rektor, a mianowicie o naszej wybiórczej uczciwości. Muszę powiedzieć, że kiedyś w czasach młodości, jak jeździłam autobusami czy tramwajami, to nie zdarzyło mi się nigdy zniszczyć biletu, tylko zawsze z dumą prześlizgiwałam się, żeby za bilet nie płacić czy go nie skasować, czyli żeby pojechać na gapę. Jak tylko mogłam, to próbowałam unikać płacenia w takich sytuacjach, kiedy można było tego uniknąć, na zasadzie trochę sportu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to się może kłócić z Dekalogiem. I nagle przyszły PIT-y, przyszły zeznania podatkowe i człowiek w sposób naturalny kombinował, co tu zrobić, żeby temu skarbowi państwa coś uszczknąć. Dlaczego? Dlatego, że w moim pokoleniu istniało przyzwyczajenie do oszukiwania. Mądrzy ludzie tłumaczą to, że zostało to nam jeszcze z czasów carskich, z czasów kiedy Polska była w niewoli, kiedy trzeba było oszukiwać zaborcę. Później przez okres dwudziestolecia międzywojennego jakoś nie potrafiliśmy tego zmienić. Potem przyszła okupacja, wobec tego zaczęto oszukiwać okupanta, później przyszedł komunizm, wobec tego oszukiwano komunę itd. Myśmymy w jakimś sensie wybrali sobie z Dekalogu te rzeczy, które są w sposób naturalny przez nas przestrzegane. Jeśli natomiast chodzi o drobne oszustwa, to do głowy nam nie przyjdzie, że to jest nieuczciwość i trzeba się z tego spowiadać.

Mam siostrę, która od lat mieszka za granicą i kiedyś w rozmowie ze mną powiedziała: „Słuchaj, mam zadaną pokutę na spowiedzi, bo się przyznałam do oszustwa podatkowego”. Coś tam kupiła do swojego gabinetu, co podlegało odliczeniu od podatku, a ona właściwie kupiła to dla siebie i w związku z tym powinna zapłacić

podatek, a tego nie zrobiła. Dla mnie to był szok, naprawdę szok. Muszę Państwu powiedzieć, że w odruchu jakiejś jedności z moją siostrą, która żyje w Szwajcarii, kraju w większości protestanckim, będąc u nas u spowiedzi przyznałam się do jakiegoś przekrętu podatkowego, co nie wywołało u spowiednika żadnej reakcji. Wobec tego zaczęłam się dopominać o tę reakcję, że to przecież jest grzech, na co ksiądz mi powiedział, że drobne oszustwo podatkowe nie jest żadnym grzechem, nie wymaga spowiedzi. Ksiądz zaczął mi tłumaczyć, że to wszystko zależy od wysokości kwoty tego przekrętu. Pokazuje to, jak w świadomości całego społeczeństwa granice między uczciwością a nieuczciwością są płynne. Niemniej nauka, którą wyniosłam z protestanckiej Szwajcarii, otworzyła mi oczy i muszę się przyznać, że od tamtego czasu mam duże opory przed oszukiwaniem fiskusa.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Myślę, że jeżeli kogoś stać na małe nieuczciwości, to niestety może go stać również na duże. Gdybym miała wybierać pod tym kątem pracowników czy współpracowników, to wolałabym tego, który ma wrażliwsze sumienie i który nie robi nawet małych przekrętów.

Podam Państwu przykład z mojej licznej rodziny. W jakimś momencie otrzymaliśmy spadek z Anglii. Był podział tego spadku, przez żyjącą jeszcze ofiarodawczynię, wyłącznie na trzy osoby wśród ośmiu, które były w tej samej relacji pokrewieństwa. Wśród tych trzech wybranych osób był również mój mąż. Zaproponował spotkanie obdarowanych i rozważenie możliwości podziału spadku na wszystkie osiem osób. Ofiarodawczyni wyraziła zgodę, uznając rację, że uniknie się w ten sposób niesnasek w rodzinie. W efekcie ta decyzja bardzo ją skonsolidowała.

To był pierwsza część tej historii. Później przyszło do płacenia podatku od spadku i z całego tego grona tylko kilka osób go zapłaciło. Pozostałe osoby, ponieważ można było tego spadku nie ujawniać, nie zapłaciły podatku. Myśmy byli tym zaszokowani, ponieważ spośród osób, które uważaliśmy za kryształowo uczciwe, tylko kilka zapłaciło podatek.

Przy każdym z przykazań Dekalogu możemy mnożyć przykłady o wybiórczym ich stosowaniu i różnej wrażliwości sumienia.

Na przykład „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu”. Znacznie łatwiej jest nam mówić źle niż dobrze.

Urszula Kossowska-Cezak

Chciałam nawiązać do sprawy wrażliwości sumienia, z tym że na początek odniosę się do przypadku, o którym mówiła moja poprzedniczka, kiedy wrażliwość sumienia penitenta była większa niż spowiednika. Może to będzie trochę nie na temat, ale muszę o tym opowiedzieć. Mieliśmy w zakładzie koleżankę, bardzo drobną, bardzo chudą, słabego zdrowia i ogromnie palącą. Kładliśmy jej do głowy, żeby nie paliła. Argumentowaliśmy to w ten sposób, że przecież ona grzeszy, szkodząc sobie na zdrowiu. Ona przejęła się tym, wyznała to na spowiedzi, po czy oznajmiła nam z szerokim uśmiechem na ustach, że ksiądz się zdziwił i powiedział: „Ależ pal sobie, moje dziecko”. Niestety, później z konieczności przestała palić, teraz jest po drugim zawale.

Natomiast nawiązując ściśle do tematu naszego konwersatorium „Czy wiara w Boga ma wpływ na moje codzienne życie?”, uważam, że ten wpływ wyraża się na dwie strony. O tej pierwszej stronie mówiliśmy do tej pory dużo, chociaż nikt tego tak wprost nie nazwał. Mianowicie szacunek dla Dekalogu powstrzymuje nas od robienia różnych rzeczy, na które może mielibyśmy ochotę, byłyby dla nas wygodne, przydatne, ale jednak się przed tym powstrzymujemy, wiedząc, że byłoby to wbrew nakazom Boskim. Jest jeszcze druga strona, pozytywna, że jako ludzie wierzący robimy czasami coś, na co tak naprawdę nie mamy ochoty, ale właśnie robimy to dlatego, że tak nam nakazuje sumienie, np. mając różne ciekawe rzeczy do zrobienia, robimy rzecz dużo mniej ciekawą, poświęcając swój czas jakiejś osobie potrzebującej albo wykonując dla kogoś jakąś pracę. Uważam, że jest to realizacja zasad naszej wiary wcale nie mniej ważna niż ta pierwsza, która powstrzymuje nas od niewłaściwych czynów.

Elżbieta Pierścioneł

Jesteśmy ochrzczeni, wychowani po katolicku, jednak mamy dwie natury – cielesną i duchową i zawsze wydaje nam się, że zdążymy wszystko naprawić, wyspowiadać się, żałować. Czasem przychodzi taki moment, że się dowiadujemy, że tego czasu może nam

zabraknąć i wtedy może to być zwrotny punkt w naszym życiu, zaczynamy żyć lepiej i uczciwiej.

20 lat temu byłam z mężem przez rok w Etiopii. Było to małe środowisko polskie. Mąż wykładał na uniwersytecie, a ponieważ była tam placówka dyplomatyczna, to ambasador chciał przyjąć mnie do pracy, ponieważ wcześniej, od dłuższego czasu pracowałam w handlu zagranicznym. Tłumaczyłam mu, że nie znam języka, że pracowałam w księgowości i w finansach, jednak ambasadorowi to wystarczyło, żeby moją kandydaturę przeforsować. Byłam za to bardzo źle widziana wśród innych pań Polek. Poduczyłam się języka i zarobiłam trochę pieniędzy. Do dziś nie wiem, czy było to naganne, czy nie.

Inna rzecz z tego okresu. Mieliśmy gosposię, Etiopkę, Amharę, która była bardzo rygorystycznie wierzącą, ortodoksyjną chrześcijanką. Wiemy, że panuje tam głód, niedożywienie, ale ona pracując u nas, mogła jeść normalnie, mogła korzystać z naszych zasobów. Niemniej przez 300 dni w roku przestrzegała ścisłego postu, przez 50 dni w roku mogła zjeść jajko i przez 5 dni w roku mięso. Zawsze byłam szczupłą, nie objadaliśmy się, nie organizowaliśmy wystawnych przyjęć, trzymaliśmy z mężem dietę, ale teraz gdybym tam była, to przez ten rok bym pewnie pościła tak jak ona. Byłoby to bardziej właściwe niż namawianie jej do jedzenia innych rzeczy, niż pozwalała jej wiara.

Czasem w danym momencie nie widzimy, że coś jest niewłaściwe, a nawet może być grzechem, dopiero czasem po latach otwierają się nam odpowiednie klapki i rzecz oceniamy inaczej, a nawet wstydzimy się za nią.

Przeczytam dwa moje wiersze:

Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek
Spiesz się, bo ty się spieszysz
Pędzimy na oślep, by grzeszyć
By diabeł mógł się cieszyć
Nie mam czasu rzucam
Odrzucasz, czasu nie mam
Ale by w biegu przyklęknąć przed Tobą Jezu
Łzy wylać, znajdziemy czas, mniemam
Do wiecznej lampki sam diabeł

Czasem dolewa oliwy.

E-mail do Pana Boga
 Wiara w Twoją miłość jak tratwa na rzece
 Przez każdy mój wiersz przepływa
 W zakola się czasem zapędzi
 Zapłaczę w jałowych trzcinach
 Cudem nie gubi wiosła
 Chwyta równowagę
 Znowu bezpiecznie niesie
 Myśli moje ożywia
 Łagodnie do Boga przybliża
 Tymczasem Panie przesyłam Ci e-mail
 Pantarei@kropka.pl

Andrzej Skoczek

Spowiedź jest to moja rozmowa z Bogiem, natomiast ksiądz jest tylko pośrednikiem, jest tylko człowiekiem, który ocenia moje postępowanie, ale główną instytucję oceniającą jest moje sumienie. I ono jest decydujące w relacjach odnośnie do spowiedzi. Pan Jezus w jednej z Ewangelii powiedział, uzdrawiając ślepcę, bardzo znamienne dla każdego z nas zdanie: „Niech ci się stanie według twojej wiary”. Dla mnie jest to bardzo ważna wypowiedź Chrystusa, ponieważ wydaje mi się, że jak już zejdziemy z tego świata, to takie właśnie zdanie usłyszymy na sądzie ostatecznym „Niech ci się stanie według twojej wiary”. My tutaj na Ziemi jesteśmy kowalami tego, co odbierzemy później po śmierci i na ten sąd ostateczny zarabiamy przez całe nasze życie. Większość z nas, składając sobie życzenia imieninowe czy urodzinowe, przede wszystkim życzy zdrowia, szczęścia, bogactwa, pomyślności, a bardzo rzadko życzymy innym, aby jego wiara uległa poprawie, umocniła się, rozwinęła, a przecież największą wartością w naszym życiu jest właśnie wiara.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałam jeszcze przypomnieć, że rozsyłając ostatnie teksty Konwersatoriów, zaapelowałam, na życzenie czytających, którzy rozsiani są po różnych zakątkach świata, aby i oni mogli włączyć się do dyskusji (propozycja ta dotyczy również polskich czytelników).

ków). Powstał pomysł, aby przysyłane świadectwa były zamieszczane na końcu tekstów poszczególnych Konwersatoriów. Apeluję również serdecznie do tych, którzy rozsyłają dalej teksty Konwersatoriów, aby też wysyłali prośbę o przysyłanie świadectw.

Z nagrania spisał Łukasz Bujak

dc. **Dyskusji** (otrzymany drogą korespondencyjną)

Jacek Mycielski (Toskania, Włochy)

W Rzymie, w Ateneo Pontificio Regina Apostolorum (maj 2009) byliśmy na wystawie i konferencji dotyczącej Całunu Turyńskiego. Pasjonujący temat, długo można go relacjonować. Powiem tylko, że komuś trochę zorientowanemu w temacie bardzo trudno jest nie uwierzyć w autentyczność tej relikwii. Potwierdza ona w szczegółach ewangeliczny opis Męki. Naukowcy do dziś nie są w stanie odtworzyć techniki powstania obrazu. Na konferencji poznaliśmy m.in. profesora Petrusa Soons (Holender mieszkający obecnie w Panamie), który dzięki ulepszonej przez siebie fotografii trójwymiarowej zidentyfikował na Całunie odbicie tabliczki (glinianej?) z aramejskimi literami, które specjaliści odczytali... Niestety, jednak więcej ludzi przeczyta popularne gazety, niż pojedzie na konferencję. A mało które media przekażą nam rzetelną wiedzę.

W *London Times* przeczytałem kiedyś suchą wiadomość (bez komentarza), że Całun Turyński pochodzi z 13. wieku. A przecież naukowcy wyjaśnili już wiele lat temu, dlaczego nastąpiło odmłodzenie wieku Całunu!

W czasopiśmie *Wprost* (1 listopada 2009) zobaczyłem artykuł pt. Całun z piekarnika. Nie chcąc zakładać złej woli, powiem tylko, że autor podający w wątpliwość wiarygodność Relikwii lub wręcz ją ośmieszający nie zna lub marginalizuje naukowo sprawdzone fakty.

Nikt jednak nie powinien i nie będzie opierać swojej wiary wyłącznie na faktach autentyzmu lub fałszu Całunu.

W naszej rodzinie staramy się, aby wiara w Boga stawiała się nierozzerwalnie związana z życiem i była priorytetem dla dokonywanych wyborów i zachowań dnia powszedniego. Praktycznym wykładnikiem jest Dekalog. Czasem się zastanawiam: na jakim

rozdrożu znalazłoby się moje „ja” bez respektowania nauki Dekalogu? Jak wygląda egzystencja człowieka (lub całych społeczeństw), jeżeli świadomie odrzuca się Boga? Jakie szanse stabilności ma małżeństwo/rodzina, jeśli nie opiera się na praktyce Wiary?

Michał Mierzejewski (nauczyciel akademicki, profesor, Wrocław)

Po maturze moja matka dała mi różaniec, którego jedną dziesiątkę odmawiałem codziennie. Niezależnie od różnych okoliczności: spotkań, zabaw, musiałem przed północą zdążyć odmówić właściwą dziesiątkę. To mnie uchroniło przed różnymi emocjonalnymi sytuacjami i prostowało do pionu. Różaniec stopniowo pojmowałem coraz to głębiej, a szczególnie postawę postaci, które się pojawiają w poszczególnych tajemnicach. To stwarzało pewien dystans do niektórych ludzi i poczucie bliskości z innymi. A jednocześnie dawało poczucie ładu i spokoju w niewesołych czasach PRL.

Świat widzę jako bardzo interesujący, a działanie Opatrzności Bożej nie podlega dyskusji. Siła modlitwy zaś jest niekiedy niesłychana.

*Czym jest dla mnie i jaka powinna być praca
zawodowa, społeczna, domowa itp.?*

Cytaty

*Jan Paweł II. Encyklika „O pracy ludzkiej” (Laborem Exercens,
fragmenty)*

Z pracy swojej ma człowiek pożywać chleb codzienny i poprzez pracę ma się przyczyniać do ciągłego rozwoju nauki i techniki, a zwłaszcza do nieustannego podnoszenia poziomu kulturalnego i moralnego społeczeństwa, w którym żyje jako członek braterskiej wspólnoty (...)

Pierwszą podstawą wartości pracy jest sam człowiek – jej podmiot. Wiąże się z tym od razu bardzo ważny wniosek natury etycznej: o ile prawdą jest, że człowiek jest przeznaczony i powołany do pracy, to jednak nade wszystko praca jest „dla człowieka”, a nie człowiek „dla pracy”. (...)

Praca jest dobrem człowieka – dobrem jego człowieczeństwa – przez pracę bowiem człowiek nie tylko przekształca przyrodę, dostosowując ją do swoich potrzeb, ale także urzeczywistnia siebie jako człowieka, a także poniekąd bardziej „staje się człowiekiem”.

Bez tego nie można zrozumieć znaczenia cnoty pracowitości, nie można w szczególności zrozumieć, dlaczego pracowitość miałaby być cnotą – cnotą bowiem (czyli sprawnością moralną) nazywamy to, przez co człowiek staje się dobry jako człowiek. Fakt ten nie zmienia w niczym słusznej obawy o to, ażeby w pracy, poprzez którą materia doznaje uszlachetnienia, człowiek sam nie doznawał pomniejszenia swej godności. Wiadomo przecież, że pracy można także na różny sposób używać przeciwko człowiekowi, że można go karać obozowym systemem pracy, że można z pracy czynić środek ucisku człowieka, że można wreszcie na różne sposoby wyzyskiwać pracę ludzką, czyli człowieka pracy. To wszystko przemawia na rzecz moralnej powinności łączenia pracowitości jako cnoty ze społecznym ładem pracy, który pozwoli człowiekowi w pracy bardziej „stawać się człowiekiem”, nie degradować się przez pracę, tracąc nie tylko siły fizyczne (co do pewnego stopnia jest nieuniknione), ale nade wszystko zyskiwać właściwą sobie godność i podmiotowość. (...) Chociaż związana z trudem i wysiłkiem, praca nie przestaje być dobrem – i stąd człowiek rozwija się poprzez umiłowanie pracy. (...)

Praca jest, jak powiedziano, powinnością, czyli obowiązkiem człowieka i to w wielorakim tego słowa znaczeniu. Człowiek powinien pracować zarówno ze względu na nakaz Stwórcy, jak też ze względu na swoje własne człowieczeństwo, którego utrzymanie i rozwój domaga się pracy. Powinien człowiek pracować ze względu na bliźnich, zwłaszcza ze względu na swoją rodzinę, ale także ze względu na społeczeństwo, do którego należy, na naród, którego jest synem czy córką, ze względu na całą rodzinę ludzką, której jest członkiem, będąc dziedzicem pracy pokoleń, pokoleń zarazem współtwórcą przyszłości tych, którzy po nim nastaną w kolei dziejów. (...)

Sprawą podstawową jest sprawa posiadania pracy, czyli innymi słowy – sprawa odpowiedniego zatrudnienia wszystkich uzdolnionych do tego podmiotów. Przeciwnieństwem właściwej i poprawnej sytuacji w tej dziedzinie jest bezrobocie (...), które jest w każdym wypadku jakimś złem, a przy pewnych rozmiarach może stać się prawdziwą klęską społeczną. Problem bezrobocia staje się problemem szczególnie bolesnym wówczas, gdy zostają nim dotknięci przede wszystkim młodzi, którzy po zdobyciu przygotowania poprzez odpowiednią formację kulturalną, techniczną i zawodową, nie mogą znaleźć zatrudnienia. (...)

Problemem kluczowym etyki społecznej jest w tym wypadku sprawa sprawiedliwej zapłaty za wykonywaną pracę. Nie ma w obecnym kontekście innego, ważniejszego sposobu urzeczywistniania sprawiedliwości w stosunkach pracownik – pracodawca, jak właśnie ten: zapłata za pracę. (...)

Za sprawiedliwą płacę, gdy chodzi o dorosłego pracownika obciążonego odpowiedzialnością za rodzinę, przyjmuje się taką, która wystarcza na założenie i godziwe utrzymanie rodziny oraz na zabezpieczenie jej przyszłości. Takie wynagrodzenie może być realizowane czy to poprzez tak zwaną płacę rodzinną, to znaczy jedno wynagrodzenie dane głowie rodziny za pracę, wystarczające na zaspokojenie potrzeb rodziny bez konieczności podejmowania pracy zarobkowej poza domem przez współmałżonka, czy to poprzez inne świadczenia społeczne, jak zasiłek rodzinny albo dodatek macierzyński dla kobiety, która oddaje się wyłącznie rodzinie. (...)

Ów opis stworzenia, jaki znajdujemy już w pierwszym rozdziale Księgi Rodzaju, jest równocześnie jakby pierwszą „ewangelią pracy”, ukazuje bowiem, na czym polega jej godność – uczy, że człowiek pra-

cując, winien naśladować Boga, swojego Stwórcę, nosi bowiem w sobie – on jeden – ów szczególny pierwiastek podobieństwa do Niego. Powinien naśladować Boga zarówno pracując, jak i odpoczywając – skoro Bóg sam zechciał przedstawić mu swoje stwórcze działanie pod postacią pracy i odpoczynku.

KONWERSATORIUM XXXVIII (20.03.2010)

Czym jest dla mnie i jaka powinna być praca zawodowa, społeczna, domowa itp.?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii im. bł. Edmunda Bojanowskiego), Maria Płotczyk (psycholog), Witold Płotczyk (gł. specjalista, dz. aparatury i urządzeń technicznych WUM), Tomasz Berent (nauczyciel akademicki SGH, doktor), Andrzej Ciepiela (dyrektor PUDS i właściciel firmy Ciepiela Technology Promotion).

Ks. Adam Zelga

Bardzo serdecznie Państwa witam na naszym kolejnym konwersatorium, które rozpoczęły się przed wielu laty, jako nasz udział w refleksji nad pontyfikatem Jana Pawła II oraz w celu korzystania z jego dorobku. I tak spotykamy się już piąty rok, proponując Państwu różne tematy. Szczególnie inspirujące dla mnie są wypowiedzi ludzi młodych, studentów, ale zawsze był dla mnie zasmucający fakt ich lęku przed zabraniem głosu. W większości przypadków do wypowiedzi trzeba młodych ludzi „wyciągać”. Wasze wypowiedzi są nam, ludziom dojrzałym, potrzebne, stąd gorąca prośba, bierzcie udział w naszej dyskusji.

Jesteśmy w okresie między ewangelicznymi zwiastowaniami, wczoraj było Zwiastowanie św. Józefa, a wkrótce będzie Zwiastowanie Najświętszej Marii Panny. Oba te Zwiastowania zaczynają się od wspólnych zdań. Pierwsze to zwrócenie się do Józefa i do Marii po imieniu, więc ja teraz też zwracam się do was po imieniu. A drugie zdanie brzmi „nie lękajcie się”. To jest przekaz ewangeliczny dla młodych ludzi, którzy tutaj są. Nie lękajcie się dzielić z nami waszymi przemyśleniami, tym bardziej, że temat dzisiejszy jest niezwykle. Z pewnością macie na ten temat wiele do powiedzenia.

Zanim jednak oddam wam głos, poproszę o przedstawienie swoich myśli i refleksji zaproszonych dziś gości, których bardzo serdecznie witam. Witam Państwa Marię i Witolda Płotczyków, Pana Tomka Berenta – nauczyciela akademickiego SGH, Pana An-



Fot. 56. Paneliści: ks. Adam Zelga, Maria Płotczyk, Witold Płotczyk, Andrzej Ciepiela, Tomasz Berent

drzeja Ciepielę – dyrektora i właściciela firmy zajmującej się promowaniem technologii, w skrócie PUDS.

Tekst cytatów do dzisiejszego konwersatorium pochodzi z pierwszej społecznej Encykliki Jana Pawła II – *Laborem Exercens*. Pozwolę sobie zacząć anegdotą – miałem kolegę, wojującego marksistę, który gdy Karol Wojtyła został wybrany papieżem, to w klubie, w akademiku na Kickiego, gdy „zlecieli” się tam studenci, powiedział, że to bardzo źle dla Polski, bo teraz będą z Watykanu wpływały do Polski pieniądze dla opozycji. Po wielu latach spotkałem go i ze zdumieniem słuchałem, jak cytował z pamięci długie fragmenty Encykliki *Laborem Exercens*... Wtedy myślałem, że to będzie droga polskiej lewicy... Ale nie jest...

Dzisiaj chcemy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy praca jest błogosławieństwem, czy przekleństwem. Biblia zaczyna się od opisu jakby skazania człowieka na pracę w pocie czoła, ale Biblia mówi też o błogosławieństwie pracy „czyńcie sobie ziemię poddaną”. Jak to jest z nami, za chwilę się dowiemy z naszych wypowiedzi.

Maria Płotczyk

Jestem psychologiem i od 35 lat pracuję w poradni psychologicznej, a od kilku lat jestem też nauczycielem akademickim. Od kąd pamiętam, zawsze byłam zapracowana. Już od wczesnego dzieciństwa nie miałam wiele wolnego czasu. Zawsze czymś byłam zajęta – szkołą jedną, drugą, jakimiś zajęciami dodatkowymi. Wiecznie się spieszyłam, miałam dużo pracy. Skończyłam studia i zaczęłam pracę w poradni, w której pracuję do dziś. Muszę powiedzieć, że wtedy praca była dla mnie naturalną konsekwencją roli, w którą weszłam, czyli roli człowieka dorosłego. Skończyłam studia i podjęłam pracę, bo takie były wymagania mojego środowiska, moich rodziców. Musiałam z czegoś żyć. Wysłałam za mąż na 5 roku studiów, były nam potrzebne pieniądze, więc sprawa była jakby oczywista.

Od początku wiedziałam, że jest to praca trudna, starałam się ją wykonywać dobrze i bardzo ją lubiłam, natomiast traktowałam ją jako pewną konieczność i oczywistość. Gdy urodziło się nasze dziecko, a pracowałam wtedy już dwa lata, bez wahania zrezygnowałam z części pracy. Moja praca zawodowa zeszła na dalszy plan.

Gdy zastanawiam się, jaki mam stosunek do pracy zawodowej i jaka jest jej rola w moim życiu, to dochodzę do wniosku, że praca to jedyna moja działalność, z której jestem w pełni zadowolona, która jest zgodna z moimi oczekiwaniami i że udało mi się wypracować taki stosunek do pracy jaki powinienam mieć.

Gdy urodziło się nasze pierwsze dziecko, korzystałam z różnych urlopów i pracowałam przez całe lata na pół etatu. Zajęłam się pracą w domu. Weszłam w rolę matki i ta praca stała się dla mnie priorytetem. Bycie żoną i matką traktowałam bardzo poważnie, zgodnie z moją hierarchią wartości, że dom i wychowanie dzieci są najważniejsze. Poświęcałam temu dużo mojego czasu, emocji i można powiedzieć ofiary, ponieważ nie jestem przykładem kobiety-gospodyni. Do tej pory sprawia mi trudność gotowanie i Bogu dziękuję, że moja córka, która kończy teraz studia, wyręcza mnie. Proponuję jej: ja ci posprzątam pokój, a ty ugotuj obiad. Zdałam sobie sprawę, że tego nie lubię, gdy syn się ożenił, a córka kończąca studia jest coraz mniej w domu i zostajemy z mężem sami. Mogę teraz z przyjemnością kupić gotowe pierogi i mieć obiad „z głowy”.

Mam satysfakcję, że udało mi się pokonać te moje opory i naprawdę solidnie wykonywałam domowe obowiązki. Wsparła mnie



Fot. 57. Maria i Witold Płotczykowie

w tym myśl, przekazana mi kiedyś przez mojego chrzestnego ojca, bardzo mądrego człowieka, lekarza. Gdy strasznie denerwowałam się, że muszę siedzieć z dziećmi w domu, a na świecie takie ważne rzeczy się dzieją, powiedział mi, że każda praca ma swój czas i trzeba zająć się tym, czym trzeba, co jest ważne w danym momencie. To mnie uspokoiło i pomyślałam, że faktycznie dzieci urosną, chociaż jak się jest młodym, to ten czas wydaje się bardzo odległy. Udało mi się jednak i do sprawy podeszłam cierpliwie.

Chciałam powiedzieć, że w moim życiu równie ważna jak praca zawodowa, jest praca społeczna. Od początku studiów, aż po 10 lat temu śpiewaliśmy wraz z mężem w chórze akademickim i w katedrze. To była dla nas bardzo ważna działalność, która zajmowała nam około 10 godzin tygodniowo. Na próby chodziliśmy często z dziećmi, żeby ich nie zostawiać samych. Koncertowaliśmy, jeździliśmy po świecie. Traktowaliśmy to jako pewnego rodzaju apostołstwo, bo oba chóry były kościelne – i akademicki, i katedralny.

Podjęmowałam również inne działania związane z moją rolą matki. Zawsze byłam w radach rodziców i różnych radach rodzicielskich, nie ze względu na powołanie do działania, lecz było mi po prostu wstyd, gdy nauczycielka pytała „kto z Państwa się zgłasza?”, a odpowiadało jej na to milczenie. Odczekawszy chwilę, że może ktoś się zgłosi, zawsze w końcu się zgłaszałam i potem starałam się wywiązać z tego, czego się podjęłam.

Pracuję również od 16 lat w organizacji zrzeszającej pracowników poradni pedagogiczno-psychologicznych. Od 14 lat jestem jej przewodniczącą. Mam dużo zadań merytorycznych i organizacyjnych. Pracę tę traktuję jako moją służbę dla pracowników, środowiska, dla pewnych idei i dla budowania dobra, na przykład prawidłowego wychowania dzieci, dobrego ich uczenia, właściwego organizowania im środowiska szkolnego i wychowawczego. Po latach doszłam do wniosku, że podobnie jak w pracy zawodowej, tak i w pracy społecznej kieruję się w pomaganiu ludziom Bożą wizją człowieka, któremu mam służyć. To było dla mnie przełomowe odkrycie i rzeczywiście stwierdziłam, że moja praca zawodowa jest nie tylko zarobkowa. Przez swoją pracę komuś pomagam, komuś służę.

Mam z tego osobistą przyjemność i to jest wielkie szczęście, bo to mi dodaje siły, dodaje ochoty. Chociaż nieraz mam ochotę machnąć ręką, a to nie warto, tej góry się nie przeskoczy. Szczególnie teraz taka pokusa się wkrada, że „teraz młodzi ludzie są zupełnie inni – w ogóle im na niczym nie zależy”. My, starsi, to jesteśmy tacy pracowici, tacy oddani, a ci młodzi to tak sobie lekceważą, że może nie warto. Szczęśliwie, jak powiedziałam, jestem też nauczycielem akademickim i pracuję ze studentami, którzy pokazują prawdziwe oblicze młodych ludzi, którym naprawdę na czymś zależy i to mnie utwierdza w moich wysiłkach i w mojej pracy.

Witold Płotczyk

Jestem z wykształcenia inżynierem elektronikiem i zajmowałem się próżnią. Niektórzy złośliwcy nazywali mnie „próżniakiem”. Zajmowałem się tą próżnią głównie po to, żeby zmierzyć, co tam jest. Mówiąc po ludzku, była to fizyka gazów rozrzedzonych. Po studiach zacząłem pracę jako konstruktor w Zakładach im. M. Kasprzaka i tam było moje wejście w życie zawodowe i inżynierskie. Po epizodzie ze służbą wojskową dla oficerów rezerwy, już jako porucznik rezerwy, wróciłem na Politechnikę i przez kilkanaście lat zajmowałem się pracą naukowo-dydaktyczną. Pracowałem ze studentami i prowadziliśmy wspólnie różne prace badawcze. Jeśli miałbym ten okres kilkunastoletni podsumować jednym zdaniem, to był on fascynujący, bo przez badanie zjawisk w atmosferze gazów rozrzedzonych świętej pamięci prof. Gorzkowski skonstruował głowicę, która z Apollo poleciała na Księżyc, żeby mierzyć próżnię i ciśnienie



Fot. 58. Witold Płotczyk (z mikrofonem) i Andrzej Ciepiela

w tamtych warunkach. Byłem tym, który pomysły profesora „obmierzał” i analizował, jaka konstrukcja jest właściwa, co trzeba jeszcze w niej poprawić. Fascynujące było to, że mogliśmy podglądać, co Pan Bóg w tym mikroświecie pojedynczych atomów zrobił. Poza prozaicznym elementem, że praca ta dostarczała dochody, była pasją takiego podglądania natury, co się w niej dzieje i czy to się da pomierzyć i jak to pomierzyć, by nie zrobić zbyt dużego błędu.

Od 1968 roku, jeszcze jako maturzysta, zacząłem śpiewać w kościele św. Anny. Tam poznałem Marysię, tam pobraliśmy się i właściwie byliśmy takimi „półzawodowcami”, bo śpiewaliśmy też w Warszawskiej Operze Kameralnej i kiedy dostaliśmy mieszkanie spółdzielcze, to wykupiliśmy je z tego, co zarobiliśmy, śpiewając. Wystarczyło kilka razy wyjechać za granicę, żeby za honoraria, które były bardzo korzystne w relacji do zarobków w Polsce, po 3-4 takich wyjazdach wykupić mieszkanie.

Więc to było takie dwu-zawodowstwo, przy czym ja jestem, jak to mówią, „natuszczkiem”. Nigdy się nie uczyłem muzyki. Jednak natura tak mnie, dzięki Bogu, obdarzyła, że nie byłem najgorszy.

Potem tak się stało, że zostałem dyrektorem zakładów naprawczych sprzętu medycznego, który dla całego dawnego województwa warszawskiego naprawiał sprzęt szpitalny. Trafiłem tam w momencie dużej finansowej zapaści zakładu. Było to dla mnie twarde zde-

rzenie z rzeczywistością. Z jednej strony była to szkoła ekonomii i dowodzenia ludźmi, a z drugiej konieczność reagowania na przejawy podkupywania pracowników czy podkradania dochodów naszej firmy. Często byli to ludzie aktywni w związkach zawodowych czy radach pracowniczych, których nie można było zwolnić. To były ciężkie czasy, ale trzeba było, jak to się mówi „z siłą i z godnością osobistą” pertraktować z nimi, żeby przynajmniej podstawowe ekonomiczne funkcjonowanie zakładu obronić. Fizycznie nie dawałem rady. Przychodziłem z pracy około osiemnastej, padałem na najbliższe łóżko albo kanapę i zasypiałem.

Potem była praca w budzącym się samorządzie. Zostałem radnym na Bemowie, a po jakimś czasie, gdy pierwszy burmistrz zrezygnował, zaproponowano mi, żebym objął tę funkcję. Pamiętam „nadarę wojenną” w domu z Marysią, która powiedziała mi wtedy: „jesteś facet młody – wtedy czterdziestoparoletni – poradzisz sobie”. Praca ta, czasowo, była jeszcze bardziej absorbująca niż poprzednia, bo od rana do późnej nocy. Tutaj należy się uklon w kierunku małżonki, która poza nielicznymi przypadkami, kiedy była osobą towarzyszącą na paru ważnych uroczystościach oficjalnych, przejęła w pełni obsługę i prowadzenie domu. Przychodząc po sesjach, które kończyły się często około jedenastej w nocy, jedyną rzeczą, jaką potrafiłem, to było wziąć coś do jedzenia i bezmyślnie patrzeć w telewizor.

Z racji światopoglądu i dotychczasowej praktyki w służbie publicznej miałem gdzieś zawsze „z tyłu głowy” zapisane, że moja główna powinność to „służyć ludziom”. Zostałem wybrany z między-parafialnego komitetu wyborczego „Dla dobra wspólnego”. Określano nas „kościółkami”. Burmistrz z tego ugrupowania powinien mieścić się w pewnej klasie zachowań. Dlatego bardzo dbałem o to, by służyć ludziom. Chociaż muszę Państwu powiedzieć, że zauważyłem, zwłaszcza pod koniec kadencji, że moja „delikatność”, kulturalność, była różnie odbierana. Czasem docierały do mnie opinie, że ludzie woleliby czasem takiego burmistrza, który jak idzie korytarzem, to pracownicy przyklejają się do ściany. Ale to było wbrew mojej naturze.

Mam z tego okresu jedną gorzką refleksję. Posądzano mnie o rzeczy, o których nawet nie myślałem. Najbardziej wykańczało mnie to emocjonalnie. Mówiono, że wszyscy „biorą” i burmistrz też

„bierze”, tylko go nie złapali. Co ja miałem na to mówić, że to grzech i gdy pójdę do spowiedzi, to ksiądz mi każe tę łapówkę zwrócić. Przecież to nie był ten poziom informacji. Straszne to były czasy. Mimo to uważałem, że polityka nie musi być brudna, jeśli jej nie uprawiają źli ludzie. Ja i moi koledzy z ugrupowania „Dla dobra wspólnego” to byli porządni ludzie. Nie mieliśmy żadnych wytycznych od strony proboszcza i nie było nad nami nadzoru politycznego. Byliśmy „sami sobie sterem, żeglarzem, okrętem”. Moja refleksja z tych czterech lat burmistrzowania jest taka, że było jeszcze wtedy sporo czystego samorządu.

Później wróciłem do zakładów naprawczych i do prac inżynierskich. Byłem inżynierem w szpitalu wolskim, a teraz robię to samo w Warszawskim Uniwersytecie Medycznym. Jestem lekarzem od sprzętu, od sprzętu laboratoryjnego i medycznego. Jednak bardziej jestem urzędnikiem, który zajmuje się przetargami, opisem tego, co panowie profesorowie życzą sobie kupić, żeby było to zgodnie z procedurą zamówień publicznych. Moim zdaniem cała ta procedura zakupów i przetargów wynika z tego, że jest w nas jeszcze sporo „homo sovieticus”, jak mówił ś. p. ks. Józef Tischner, czyli ludzie dzielą się na tych, co kradli, kradną lub będą kradli. W związku z tym muszą być takie procedury, żeby temu przeciwdziałać, no i moja praca musi niestety temu służyć.

Marysia mówiła o pracy społecznej. Rzeczywiście w tym zakresie dalej się udzielamy. Nadal śpiewam w chórze w katedrze. Poza tym od wielu już lat pracujemy z narzeczonymi w czasie kursów przedmażeńskich. Chcielibyśmy już z tego zrezygnować, ale trudno nam odmówić, gdy widzimy młodych, jak pilnie pracują na zadane tematy w czasie tych kursów.

Hobbystycznie wybudowałem dom, a teraz to samo robię na działce, którą odziedziczyliśmy po rodzicach Marysi, gdzieś nad Bugiem. Przychodzi Marysia i mówi: tutaj lub tam coś by się przydało.... a ja potem to majstruję.

Andrzej Ciepela

Jestem bardzo onieśmielony po moich przedmówcach. Moja droga była zupełnie inna. Do dzisiaj pamiętam rozterki, które towarzyszyły mi pod koniec studiów. Nie miałem pomysłu, co będę robić, a wynikało to z tego, że kiedy zacząłem studia na Politechnice



Fot. 59. Andrzej Ciepiela oraz Maria i Witold Płotczykowie

Warszawskiej, pasjonowała mnie technika samochodów. Po pierwszym roku okazało się, że jest to zajęcie nudne, nierozwijające, mało wymagające intelektualnie. Trzeba było opanować jakiś zakres wiedzy nikomu niepotrzebnej. Niestety nie miałem odwagi, aby zmienić studia, bo to w tych czasach groziło znalezieniem się poza systemem edukacji i wtedy natychmiast do takiego człowieka zgłaszała się armia i na dwa lata brała do wojska. Te dwa lata odmłodzenia oznaczało wyrzucenie poza margines. Mało kto potem wracał na studia.

Teraz, chłopcy (mówię do studentów obecnych na sali), macie szczęście, że was to nie dotyczy. To było straszne. Dwa lata wszystkich złych rzeczy, jakie można sobie wyobrazić. Potem człowiek był kompletnie wyprany i nie nadawał się już do nauki. Myśmy się tego bali. To było instynktowne podejście. Trzeba było te studia skończyć i ja je skończyłem, chociaż z pewnymi zawirowaniami, bo mi się wcale nie spieszyło. Muszę powiedzieć, że studia w tych czasach, w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych, otwierały fantastyczne możliwości podróżowania i zarabiania pieniędzy.

Wy macie zupełnie inaczej. Nie wiem, jacy wy jesteście, siedzący na tej sali, ale jak rozmawiam i kontaktuję się z młodymi ludźmi, ze studentami, z którymi pracuję, to oni są jakby z innej planety niż my w tym wieku. Naszym pragnieniem było posłuchać dobrej muzyki, pośpiewać przy gitarze, pójść w Bieszczady, zniknąć gdzieś

z plecakiem, mieć długie włosy i mieć wszystko w nosie. Natomiast oni mają już kariery zaplanowane, swoje ścieżki, już pracują na swoje CV w czasie studiów. Wasz świat jest inny, nie mówię, że lepszy czy gorszy, ale inny.

Ks. Adam Zelga

Pozwolę sobie wtrącić, że gdy ktoś dzisiaj mnie pyta, czy skończyłem polonistykę to mówię, że tak, jako polonista jestem „skończony”. Nawiązując jednak do tego, co Pan mówił, dodam, że jak mnie pytają czy studiowałem polonistykę, to mówię „nie, ja byłem tylko studentem polonistyki”. Życzę Wam, żebyście studiowali, a nie tylko byli studentami.

Andrzej Ciepela

Skończyłem studia, ożeniłem się i chciałem zacząć nowy etap w życiu, no i cholera... wzięto mnie do wojska. Bardzo mi się to nie podobało, ale co było robić. Pół roku to było do przeżycia, wojsko już też wyglądało nieco inaczej. Przeżycie „Szwejką” na żywo była to rzecz niezwykle i fantastyczne doświadczenie, aczkolwiek trochę czasochłonne.

Wróciłem z wojska i nie miałem zupełnie pomysłu, co robić dalej. Miałem piękną, młodą żonę, dużo zapału do pracy i wieszające nad mną pytanie: co dalej? Były to czasy tzw. komuny i żeby cokolwiek osiągnąć, były w zasadzie tylko dwie możliwości: albo być bardzo wybitnym pracownikiem nauki i robić karierę naukową, specjalistyczną, albo zapisać się do Partii. Ludzie, którzy byli w Partii, korzystali z różnych profitów, mieli możliwość wyjazdów zagranicznych, byli windowani, robili karierę. W moim przypadku to absolutnie nie wchodziło w grę ze względu na mój światopogląd i ze względu na moją rodzinę. Szanse były więc dość słabe. Przez długi czas, będąc magistrem inżynierem, oddawałem się myciu okien i byłem w tym dobry. Pracowałem w spółdzielniach studenckich i chętnie robiłbym to dalej, ale pojawiła się zapowiedź przepisu, że wszyscy uchylające się od pracy będą wyłapani i wysłani na Żuławy. Po czasie okazało się, że była to tylko plotka, ale moja żona się strasznie przejęła i powiedziała „kochanie, musisz się gdzieś zatrudnić”. Znalazłem przypadkową pracę, ale dzisiaj, z perspektywy lat, mogę powiedzieć, że było to doskonałe doświadczenie. Poznałem



Fot. 60. Andrzej Ciepiela (z mikrofonem) oraz Tomasz Berent

wtedy swój potencjał i swoje możliwości. Zilustruję to krótką anegdotą. Zdarzyło się, że trafiłem na amerykańską firmę, którą w zasadzie współtworzyłem w Polsce. To były „Yellow Pages”, książki teleadresowe. Współpracowałem z Amerykanami, którzy są doskonale zorganizowani. Możemy nie lubić amerykańskiego stylu życia, możemy nie lubić McDonalda i hamburgerów, można nie lubić różnych amerykańskich produktów, ale trzeba przyznać, że pod względem organizacyjnym są doskonali.

I wyobraźcie sobie Państwo, że przyjeżdżają do mnie amerykańscy bossowie, z Denver, z Kolorado i wzywają mnie na dywanik. Co jakiś czas byłem sprawdzany z wyników, ale wyniki to małe piwo, w tym przypadku nieistotne. Najważniejszą była inna kwestia. Oni patrzyli na mnie z uwagą, cała grupa ludzi, kilku facetów, jakieś kobiety i pytali: „Andrzej, czy lubisz swoją pracę?” Pomyślałem, czego oni ode mnie chcą? Może chcą mi dać podwyżkę? Trzeba negocjować, ale nie miałem pomysłu, więc mówię, że praca OK, jest dobra i że ją bardzo lubię. Test przeszedł właściwie. Później okazało się, że to było najważniejsze pytanie.

Teraz wiem z własnego doświadczenia życiowego i zawodowego, że cokolwiek będziemy robić, to musimy to lubić. Jeśli zaczniemy coś robić, a nie będziemy tego lubić, nie ma to żadnego sensu. Nie warto tracić czasu. Warto nawiązać do wezwania, o którym wspominał Ksiądz na początku: „nie lękajcie się”.

Nie będę tutaj opowiadał całego życiorysu, nie mam się czego wstydić, różne fajne historie, ale to prywatnie mogę opowiedzieć, nie teraz.

Miałem także inne doświadczenie, dziesięć lat w innej amerykańskiej firmie, w której osiągnąłem wszystkie możliwe szczyble. Do pewnego pułapu. Nie byłem oczywiście dyrektorem generalnym, nie miałem na to szans. Natomiast widziałem coś niezwykłego, nawet chciałbym kiedyś opisać to, co teraz opowiem. Widziałem powstawanie dużej korporacji w Polsce. Zupełnie od początku. Byłem jednym z pierwszych trzech pracowników. Później korporacja osiągnęła stan zatrudnienia tysiąca pięciuset osób. To było coś niesamowitego. Mechanizmy – zadanie dla psychologów, materiał na prace habilitacyjne. To, co się działo z ludźmi, którzy dostali możliwość osiągnięcia sukcesu finansowego, sukcesu zawodowego, za wszelką cenę. Zaczął się wyścig szczurów. To było coś nieprawdopodobnego. Minęło już sporo lat, odkąd już tam nie pracuję, ale wracam do tego i każdego dnia rano Bogu dziękuję, że mnie już tam nie ma.

Z tym wyścigiem wiele osób zetknie się w swoim życiu. Nie mam na to recepty. Wydaje się, że jest fajnie. Jesteśmy dobrzy, sprawni, inteligentni, mamy potencjał, jesteśmy wartościowi, pracujemy uczciwie i ciężko, należy nam się awans. Tylko jest granica, której nie można przekroczyć, nie można się „ześwinić”. A niestety w rosnącej korporacji następowało bardzo szybko przekroczenie tej granicy. Przyjeżdżali ludzie do dużych miast z małych miejscowości i z małych miasteczek. To była ich szansa. Dostawali samochody służbowe, telefony. To były takie zewnętrzne atrybuty sukcesu. Potem przyjeżdżali do siebie, do domu samochodem służbowym, z telefonem komórkowym. „Skóra, fura i komórka”. To była wartość, szkoda było to stracić. A fajnie było wspiąć się jeszcze wyżej, żeby rządzić tymi ludźmi i tu zaczynała się tragedia. Widziałem tam, ile złego może się wydarzyć, jeżeli będą wykorzystane złe instynkty tkwiące w ludziach.

Pewnego dnia zostałem wezwany przez mojego amerykańskiego szefa, który powiedział: „Andrzej, słuchaj, przestałeś się uśmiechać. Wszyscy cię tu znają w firmie, ale ty chodzisz jakiś smutny”. „Chodzę smutny – odpowiedziałem mu – bo codziennie jest na mnie piętnaście donosów, codziennie muszę konfrontować się z jakimiś ludźmi, którzy zarzucają mi rzeczy, które są absolutną nieprawdą”.

Solidaryzuję się tu z Panem burmistrzem. Dlaczego taka niechęć? Oczywiście nie wynikało to z tego, że ktoś mnie nie lubił, lecz z tego, że ktoś chciał mnie „wygryźć”, ktoś chciał objąć moje stanowisko. To była bezwzględna walka o władzę, o pieniądze. To był ten straszliwy wyścig szczurów, o którym czytacie w książkach, gazetach. No i właśnie po tej rozmowie z moim amerykańskim szefem, który zwrócił mi uwagę, żebym coś zrobił, zaczął się uśmiechać, bo to jest niedobrze, bo to jest źle odbierane, źle działa na morale firmy, podjąłem męską decyzję i zakomunikowałem mojej żonie, która była wtedy w zaawansowanej ciąży; „kochanie, kończę tę pracę”. Nie miałem pomysłu, co będę robić dalej, ale wiedziałem, że dalej tam pracować nie ma sensu. W tej firmie zostało mnóstwo ludzi potwornie sfrustrowanych, głęboko nieszczęśliwych, przeżywający gehennę, niosący ciężki krzyż. Z niektórymi jestem w kontakcie, z niektórymi przyjaźnię się do tej pory. Ci, którzy pozostali w firmie, już w sobotę przeżywają ciężki stres. Już w sobotę przygotowują się do niesienia tego krzyża od poniedziałku. Pytam się, czy to ma sens? Nie żyjemy kilku żyć, to nie jest gra komputerowa. Mamy jedno życie, no to musimy je zrobić takie, żeby było jak najszczęśliwsze. Jeżeli nam coś nie odpowiada, nie bójcie się, nie lękajcie się, trzeba czasami rzucić tę cholerną pracę, rzucić papierami szefowi w twarz, wyjść i szukać swojego miejsca. To jest bardzo ważne.

Myślę sobie, że dzięki temu aktowi odwagi, bo to bez wątpienia była taka desperacka odwaga z mojej strony, spróbowałem czegoś innego, spróbowałem prowadzić własną firmę. Miałem jakiś pomysł na biznes, ten biznes rozwinąłem i świetnie funkcjonuje do tej chwili. Czerpię z tego mnóstwo radości, satysfakcji, bo mogę wielu ludziom pomagać. Zatrudniam wspaniałych ludzi, tworzę coś zupełnie odwrotnego, co spotkałem w tej amerykańskiej korporacji. Chcę, żeby lubili wykonywaną pracę, żeby to było fair, żeby nie było świństwa, żeby nie było tych złych rzeczy tam obserwowanych. Ale o to musielibyście zapytać Państwo moich współpracowników. Mam nadzieję, że nasze opinie się pokrywają. I to jest najważniejsze w tej pracy. A o to jak realizuję w mojej rodzinie moje ojcostwo, powinniście zapytać Państwo moje dzieci, moją żonę. Z mojej perspektywy z moimi dziećmi jestem bardzo zaprzyjaźniony, w mojej żonie jestem niezmiennie zakochany od dwudziestu pięciu lat i uważam to za wielkie szczęście.

Pani Maria powiedziała wcześniej jeszcze o tym, że na każdą pracę jest właściwy czas. Pod tym względem miałem niesamowite szczęście, bo kiedy moje dzieci były malutkie, kiedy się rodziły, były takie momenty w moim życiu zawodowym, że mogłem się wyłączyć i poświęcić się dzieciom i rodzinie. Przy starszej córce, razem z moją żoną spędziłem rok, piorąc pieluszki i przeżywając to rodzicielstwo.

Każdy czas ma swój priorytet. Tak jak powiedziała Pani Maria, że rozstała się bez bólu z pracą na czas, kiedy pojawiły się dzieci, każdy czas trzeba właściwie wykorzystać. Trzeba o tym pamiętać. Mówię to szczególnie do młodych ludzi, bo z panami to bywa czasami tak, że zapatrzą się w wizerunek jakiegoś „macho”, który jest wiecznie zajęty, robi jakieś ważne rzeczy, a dziewczyna zostaje sama w domu z dzieckiem, niedowartościowana. To nie jest droga. Przeżyjcie swoje ojcostwo, to jest wspaniałe. Spotykam niejednokrotnie facetów w moim wieku albo starszych, którzy przeżywają drugie „gniazdowanie”, czyli założyli drugą albo trzecią rodzinę. To jest tragedia. Dla nich może nie, ale dla tych pozostawionych, rozbitych rodzin, dla ich dzieci. Nie znam ich wszystkich z tej strony, ale przynajmniej w kilku przypadkach wiem, że nie przeżyli ojcostwa za pierwszym razem, w pierwszym małżeństwie. Czegoś im brakuje, więc próbują to sobie zrekompensować w następnym związku. Życzę wszystkim tu obecnym panom, żeby przeżyli to ojcostwo razem w rodzinie. Bierzcie przykład ze mnie.

Witold Płotczyk

Chciałbym nawiązać do tego odpowiedniego czasu i pracy. Tak się złożyło, że kiedy Marysia była na urlopie wychowawczym, ze względu na Małgosię, drugie nasze dziecko, bardzo rozwinęła się zawodowo, a to za przyczyną tego, że nasz znajomy ksiądz, nasz przyjaciel, już nieżyjący biskup Jan Chrapek, przyszedł i powiedział: „słuchaj, Marysiu, siedzisz w domu, masz czas, może byś zajęła się poradnią”. Wcześniej pracowała wyłącznie z dziećmi – to był obszar jej działalności psychologicznej, teraz zaczęła być psychologiem „pełną gębą”, bo musiała rozwiązywać różne ludzkie sprawy, o których dotychczas nie miała pojęcia. Czytała, konsultowała się i właściwie wtedy dopiero stała się fachowcem w pełnym wymiarze.

Tomasz Berent

Temat dzisiejszego Konwersatorium jest dla mnie niezwykle istotny. Do 1991 roku o pracy za wiele nie wiedziałem. Szkoła przychodziła mi z łatwością. Studia w latach komunizmu, na SGPiS nie wymagały wiele pracy, nie wymagały też intelektualnej ciekawości. W sporcie, którego dużo uprawiałem też nie byłem zmuszony wiele trenować. Teraz, gdy obserwuję moje córki trenujące pływanie, widzę, jak ogromną pracę muszą w to wkładać, jak ogromnej dyscypliny muszą przestrzegać. Bo praca to codzienna, wytrwała walka.

Być może jedynym obszarem, w której doświadczałem, czym jest praca, była pomoc babci mieszkającej na wsi. Co rok zbieranie truskawek, brzoskwiń, żniwa. Praca od rana do nocy. Nikt z nas nie chciał tam jechać, choć już po pierwszej godzinie pracy niezawodnie przychodziła ta sama myśl „Boże, to wszystko urosło, a nam nawet nie chce się palcem ruszyć, aby to zebrać”. Satysfakcja, jaką czuło się po pracy, wdzięczność za prysznic i przygotowaną przez matkę kolację była zawsze wielka – dobrze wykonana praca zawsze rodzi wdzięczność i satysfakcję. Często marzę, aby doświadczenie takiej pracy fizycznej miały też moje dzieci. To rzeczywiście było moje pierwsze i jedyne do dwudziestego szóstego roku życia doświadczenie, czym naprawdę jest uczciwe podejmowanie pracy.

Podobnie jak mówił Andrzej, wyglądały moje studia i moja nauka. Wstyd, ale nie wiedziałem wtedy jeszcze, że tak być nie musi. W 1991 roku, kiedy komunizm się kończył, większość moich kolegów poszło ławą do wielkich karier. Dziś to często osoby publiczne: ministrowie czy prezesi największych banków i koncernów w Polsce. Ja natomiast poczułem, że muszę wyjechać i uczyć się. Zrozumiałem, że mimo piątek na SGPiS i opinii dobrego studenta jestem jakiś nieprawdziwy, udawany. Udało mi się zdobyć dwa stypendia do Wielkiej Brytanii. Nie mając żadnego doświadczenia ani sumiennej pracy zdecydowałem się wyjechać na Uniwersytet Walijski. Tam skończyłem studia magisterskie, zatrzymano mnie na doktorat, uczyłem studentów.

Miałem wrażenie, że narodziłem się na nowo. Podczas gdy wcześniej nie przeczytałem więcej niż kilku lektur, teraz zacząłem pracować i uczyć się kilka lub kilkanaście godzin dziennie – codziennie! Doświadczenie własnej podmiotowości było porażające. Kiedy chciałem mieć dostęp do jakiegoś artykułu naukowego, któ-



Fot. 61. Tomasz Berent

ry był dostępny gdzieś, na przykład na Uniwersytecie w Pensylwanii (a było to na kilka lat przed wejściem Internetu), na drugi dzień miałem kserokopię tego artykułu na biurku. Dla mnie, Tomka Berenta, specjalnie przysyłali faksem. Miałem dostęp do najlepszych podręczników. Pamiętam do dziś, gdy po raz pierwszy zobaczyłem podręczniki, z którymi mieliśmy pracować, często ponad 1000 stronnicowe, myślałem, że to żart. Ale to nie był żart. Co więcej, sumienna praca stała się dla mnie czymś priorytetowym. Coś się we mnie zmieniło. Codziennie był też sport i dwie godziny treningu. Co tydzień była impreza – „student’s night”, gdzie piwo było do dziesiątej za darmo. Codziennie była też Eucharystia.

Praca i doświadczenie podmiotowości, myśl, że uczestniczę w czymś prawdziwym, że mam dostęp do wiedzy, która właśnie się tworzy były dla mnie odkrywcze. Doświadczenie szacunku do siebie samego też. Pamiętam mój pierwszy egzamin w Walii. Na sali trzysta osób. W mojej kieszeni miałem „wszystko”, mógłbym spisać odpowiedzi na każde pytanie. Ale tu niespodzianka, nikt nas nie pilnuje. Wtedy przyszła mi do głowy myśl: „Boże, ja nie chcę już więcej oszukiwać”. Po angielsku nie ma nawet słowa „ściąganie”, jest po prostu słowo „cheating” – oszukiwanie. To było coś niebywałego. Od tej pory już nigdy nie ściągałem. Co więcej, doświadczenie to przełożyło się również na inne sfery, na uczciwość w rozliczeniach podatkowych, załatwianiu spraw w urzędach itp. Dla mnie zaczęło

się nowe życie – właśnie dzięki dobrze wykonywanej, ciężkiej pracy. Nie musiałem już udawać, mogłem oddychać pełną piersią.

W moim przypadku praca, którą wykonałem, przełożyła się na sukces finansowy. Po doktoracie miałem możliwość dogonienia tych moich przyjaciół, którzy zostali w Polsce i zrobili kariery. Zacząłem pracować na giełdzie, po trzech miesiącach zostałem dyrektorem departamentu analiz w zagranicznym banku inwestycyjnym w Warszawie, by po dwu latach wrócić do Wielkiej Brytanii jako znany analityk giełdowy.

Miałem coraz więcej dzieci i gdy po całym dniu pracy, często dwunastu godzinach wracałem do domu, zarzucałem krawat na ramię, myłem jedno dziecko, potem drugie i kolejne, czułem coraz większy bezsens takiej pracy. W końcu rzuciłem ją i wszystkie możliwości rozwojowe z nią związane. Moja żona i dzieci były ważniejsze. Wróciliśmy do Polski, podjąłem pracę naukową i dydaktyczną na SGH.

Moim studentom mówię często o doświadczeniu uczciwej i ciężkiej pracy. Gdy przychodzą na moje kursy lub, gdy są moimi magistrantami, stale powtarzam, że jest to czas dla nich szczególny, czas, kiedy biorą odpowiedzialność za siebie, a ta odpowiedzialność procentuje na całe życie. Gdy przychodzą do mnie z gotowym tematem i pytają czy mogą pisać na ten temat pracę magisterską, to na ogół zachęcam ich do rzetelnego zapoznania się z literaturą przedmiotu, do przeczytania zestawu dwudziestu – trzydziestu artykułów naukowych, a dopiero potem zabierania się do pisania. Jeżeli ktoś przeczyta tylko dwa artykuły i ma na ich podstawie napisać pracę magisterską wtedy zacznie oszukiwać, zacznie ukrywać przede mną fakt, że spisuje z owych artykułów. Kiedy jednak popracuje solidnie trzy, cztery miesiące, kiedy zacznie naprawdę głęboko wchodzić w temat, wprowadzie kosztuje go to wiele godzin dziennie, ale zaczyna odkrywać przede wszystkim swoją podmiotowość, szacunek dla siebie samego. Przechodzi dokładnie tę drogę, która stała się moim udziałem. Taki student, kiedy przychodzi do mnie po kilku miesiącach, jest zupełnie odmienionym człowiekiem. Dokładnie wie o czym chce pisać i jaki jest jego temat. Wtedy mu mówię: „Teraz może Pan pisać pracę na podstawie nawet jednego tylko artykułu, bo wykonał Pan swoją pracę rzetelnie”.

Ci ludzie są często bardzo poruszeni swoją pracą. Praca ma rzeczywiście walor zmieniania naszego poglądu na siebie, na innych ludzi, na nasze relacje z innymi. Praca to w istocie piękny dar, wspinałe doświadczenie swojej podmiotowości.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałabym powiedzieć o stosunku pracodawcy do pracownika i pracownika, który potem staje się pracodawcą. Byłam pracownikiem, potem stałam się pracodawcą. Wiele bied, których doświadczają pracownicy, wynika z tego, że pracodawca nie pamięta już, co go bolało, gdy sam był pracownikiem. Ta pamięć jest wybiórcza, po prostu zapominamy. Starałam się nie zapomnieć tego, co mnie bolało, gdy byłam pracownikiem i starać się nie powielać tych błędów, ale starać się je skrzętnie omijać. Chyba najważniejsze, co widziałam jako pracownik i staram się realizować jako pracodawca, to dawać pracownikom dużo wolności, odpowiedzialności i kredyt zaufania na wykonanie jakiś zadań, a potem z tego ich rozliczyć i odpowiednio doceniać, jeżeli jest dobrze zrobione.

Wolność i odpowiedzialność jest podstawą tworzenia zespołów. Największy dar, który dostałam od Pana Boga, to wspaniałe zespoły ludzkie, z którymi dane mi było pracować jako szef. To jest coś cudownego. Ludzie obdarzeni wolnością, odpowiedzialnością i zaufaniem wykazują inicjatywę i identyfikują się z zespołem. Rolą szefa jest to zauważyć i docenić. Niekoniecznie chodzi o docenienie finansowe. Czasem docenienie słowem, uśmiechem jest ważniejsze, aby ten człowiek dobrze się czuł. To jest niesamowicie ważne. Właściwie dzięki temu świat staje się lepszy.

Druga rzecz, o jakiej chciałam powiedzieć, to jest łączenie pracy zawodowej z obowiązkami w rodzinie. To jest ogromnie trudne, szczególnie dla kobiet, ale dla mężczyzn też często, szczególnie od strony odpowiedzialnego ojcostwa.

Powiem, jak to realizowałam od mojej strony. Nasze córki zawsze uważały, że jest mnie dla nich za mało, mimo że całkowicie świadomie, pracując na Uniwersytecie, tak regulowałam czas, żeby maksy-

malnie dużo z nimi być. Ustawiałam tak zajęcia, żeby je realizować, kiedy one były w szkole czy w przedszkolu. Staralam się być w domu, kiedy wracały ze szkoły. Jednak im było zawsze mało.

Moim zdaniem, wypośrodkowanie czasu poświęcanego rodzinie i pracy zawodowej, a szczególnie własnemu rozwojowi zawodowemu, jest kwestią naszego sumienia. Kiedy robiłam habilitację, był to rzeczywiście dla mnie klasztor przez dwa i pół roku. Dopóki dzieci nie poszły spać, byłam z nimi. Jak odrabiały lekcje, to robiłam różnego typu wyliczenia, kreśliłam wykresy, a jak szły spać, to zaczynałam właściwą pracę koncepcyjną, siedząc często do późnej nocy. Miałam tę komfortową sytuację, że postanowiliśmy z moim mężem, że przez cały czas, kiedy będzie to potrzebne, będziemy zatrudniać gosposię, która będzie nas wyręczać w pracach domowych. I znów szczęście nas nie opuszczało. Przez 15 lat pracowały u nas dwie kolejne osoby wyjątkowej zacności.

Dziś z perspektywy czasu uważam, że chyba właściwie wybrałam. Nasze dziewczyny wyrosły na wartościowe osoby. Oczywiście to w dużym stopniu ich własna zasługa, choć mam nadzieję, że świadectwo naszego życia w jakimś stopniu pomogło im przy wybieraniu własnych wartościowych dróg życiowych. Natomiast w pracy zawodowej, to co osiągnęłam, to naprawdę ogromnie ciężką pracę. Dziś mam satysfakcję, że nie zakopałam talentów. Dzięki wiedzy, którą zdobyłam, dziś mogę służyć różnym ludziom i to w różnym zakresie. Dziś tak to czuję, choć w trakcie dokonywania wyborów stale towarzyszyły mi wątpliwości, gdzie jest ta właściwa granica. Z tym problemem spotyka się wiele kobiet pracujących zawodowo i trzeba w tym zakresie prowadzić uczciwy dialog we własnym sumieniu.

Andrzej Dowgiałło

Chciałbym nawiązać do słów Pana burmistrza i do tego, co obserwujemy wokół siebie. Jesteśmy ogromnie nieuczciwym i niemoralnym społeczeństwem. Nie mówię o takich skrajnościach, jak zadżganie nożem swojego kolegi albo policjanta, ale o tej codziennej nieuczciwości, poczynawszy od ściągania w szkole czy na egzaminie, oszukiwania przy kasie, w podatkach, a nawet w sporcie, a skończywszy na nieuczciwym podgryzaniu kolegi, aby siebie wypromować. A równocześnie posądzanie każdego, kto piastuje jakieś stanowisko, o nieuczciwość czy korupcję. Pamiętam, jak żalił mi się znajomy



Fot. 62. Andrzej Dowgiałło

burmistrz, który jeździł piętnastoletnim mercedesem ledwo chodzącym, kupionym za grosze, że ludzie potrafią z najmniejszej rzeczy zrobić kwestię korupcji. Najczęściej świadczy to źle o tych, którzy wszędzie dookoła widzą korupcję i bez dowodów zarzucają ją ludziom uczciwym

Jan Badowski

Każde polskie pokolenie ostatnich kilkudziesięciu lat ma inne doświadczenia życiowe. Pokolenie, które ja reprezentuję, miało dar żyć w czasach zmian lat 80., obserwować, co się dzieje się w Polsce na własne oczy i uczestniczyć w tym wszystkim. Niewątpliwie w porównaniu z moimi rodzicami te możliwości kontaktów z ludźmi i zwiedzania świata były w przypadku mojego pokolenia większe, natomiast znacznie mniejsze niż w pokoleniu dzisiejszych studentów.

Chciałbym powiedzieć parę słów o sobie i o mojej żonie. Jesteśmy małżeństwem od trzydziestu lat. Małżeństwem, które poznało się w średniej szkole, chodziło ze sobą od drugiej klasy szkoły średniej. Wzięliśmy ślub po trzecim roku studiów. W związku z tym można powiedzieć, że jesteśmy małżeństwem ze średniej szkoły, ale jednocześnie małżeństwem studenckim. Również małżeństwem, które mu dane było żyć w tych dziwnych czasach. W tej trudnej sytuacji podejmowaliśmy decyzje dotyczące naszego życia, z kim chcemy

być, co chcemy robić, czy chcemy żyć dla pracy, dla pasji, dla rodziny, dla zaszczytów, dla pieniędzy.

Epizodem ilustrującym nasze życie i nasze wybory były praktyki zagraniczne, które udało mi się wtedy otrzymać. Obiecałem mojej żonie, że podejmę je pod warunkiem, że wyjedziemy razem szczególnie gdy okazało się, że jest w trzecim miesiącu ciąży. W tych czasach (rok osiemdziesiąty) było to niestety nierealne, aby małżeństwo mogło wyjechać za granicę razem. Zawsze ktoś musiał zostać w domu jako „zakładnik”, żeby ten drugi wrócił na pewno do Polski. Proszę sobie wyobrazić, że los, czy Opatrzność Boża sprawiły, że słowa dotrzymałem. Dostaliśmy obydwoje w sposób wyjątkowy paszporty. Okazało się, że moi rodzice spotkali się z osobą decyzyjną w tym zakresie i bez zbitych zawłości dostaliśmy paszporty, a wtedy paszport dostawało się tylko na konkretny wyjazd i na konkretne zaproszenie. Również nie można było ujawnić faktu, że moja żona, Krystyna jest w ciąży, bo wtedy by jej nie puściła rodzina.

Gdy byliśmy za granicą, rozmawialiśmy dużo z naszymi niemieckimi znajomymi. Jeden z nich zorientował się, że Krystyna jest w ciąży. Kiedy mówiliśmy mu, że musimy wrócić, skończyć studia, on zaczął nas namawiać, aby nie wracać do Polski. Mając dużo do czynienia z Polakami, argumentował: „przecież u was robią losowania nawet na samochody. Chcecie wracać do tak zacofanego kraju w sensie ekonomicznym”.

Były to czasy, że aby kupić małego fiata („malucha”), trzeba było wpłacić pieniądze, odbywała się loteria i w jej wyniku kupujący dowiadywał się, w którym roku i miesiącu go dostanie. Można było czekać na „malucha” nawet wiele lat.

Znajomy Niemiec namawiał mnie: „Janek, zostań tutaj, nie wracaj z żoną i dzieckiem do Polski, gdzie nie ma żadnej sensownej ekonomii, tylko jest komunizm”. Ta propozycja była dosyć kusząca, bo widziałem, jak funkcjonuje on sam i inne osoby. Równocześnie jednak, rozmawiając na ten temat z Krystyną, mieliśmy świadomość, że decyzja, którą podejmiemy, będzie ważna nie tylko dla nas, ale i dla naszych dzieci. Doszliśmy do wniosku, że dzieci nasze mogą być całe życie ludźmi drugiej kategorii, ułomnymi pod względem językowym, na przykład mniej czytаныmi od swych rówieśników. Ponadto szkolnictwo niemieckie niezbyt nam się podobało, jest dość specyficzne i ono decyduje w znacznej mierze o drodze zawodowej kon-



Fot. 63. Jan Badowski z żoną

kretniej osoby. Podjęliśmy decyzję, że nie zostaniemy. Kupimy samochód i wracamy do Polski. Powiedzieliśmy sobie, że zależy nam na naszych dzieciach, żeby żyły w Polsce i byli Polakami. Jestem dumny z tej decyzji.

Potem, już mając żonę i dziecko, wyjechałem sam zarobkowo do Niemiec. W pewnym momencie okazało się, że mimo że było wszystko umówione, tej pracy nie ma. Posiadane pieniądze z dnia na dzień topniały i w końcu miałem już tylko tyle, żebym mógł wrócić do kraju. Przyparty do muru pojechałem do tego miejsca, gdzie wcześniej byłem na praktyce. Powiedziałem, jaka jest sytuacja. Oni wiedzieli, że Krystyna była w ciąży, że są dzieci, przysyłali nam nawet paczki z różnymi rzeczami. Polecili mnie komuś, który mnie zatrudnił i potem, kiedy bym tylko chciał, mogłem jechać w ciemno i u tej osoby pracować.

Natomiast chcę powiedzieć o doświadczeniu bezrobocia, które wtedy przeżyłem. Sytuacji bez wyjścia, w której staje się przed pytaniem, co zrobię, kiedy wrócę bez pieniędzy? To doświadczenie bezrobocia jest niezwykle ważne, tak jak i doświadczenie pracy w pocie i znoju, pracy fizycznej, takiej, która nas naprawdę dużo kosztuje. W takich sytuacjach podejmujemy życiowe decyzje, które mogą być brzemiennie w skutkach.

W połowie lat 80., w związku z pozycją dolara na czarnym rynku w Polsce, wystarczyło wyjechać na dwa miesiące do Niemiec, zarobić, wrócić i być z rodziną. Tych pieniędzy starczało na kolejne dziesięć miesięcy i zostawała jeszcze „górką”. Korzystałem z tej możliwości, ale okazało się, że nasz młodszy syn, który miał wtedy iść do zerówki, kiedy wyjeżdżałem, cofał się w rozwoju. Samodzielne, uśmiechnięte i zadowolone dziecko nagle nie chce zostawać w zerówce, nie chce spać, płacze. Wtedy z dnia na dzień podjąłem decyzję, że nie przedłużam pobytu i wracam. Już pierwszego dnia, kiedy odwoziłem go do szkoły i mówiłem na pożegnanie: „potem po ciebie przyjadę”, on biegł bez oporu do szkoły i już funkcjonował normalnie. W związku z tym podjęliśmy decyzję, że jak będę wyjeżdżał, jechać będziemy całą rodziną. Wkrótce okazało się, że jak jedziemy całą rodziną, to ile zarabiam, tyle wydajemy.

Wtedy podjęliśmy następną decyzję, że coś trzeba w Polsce zrobić i już więcej nie wyjeżdżać. U pracodawcy, u którego pracowałem w Niemczech, na trzy dni wcześniej, jak miał go odwiedzić doradca podatkowy, zaczynało się sprzątanie i wszyscy wiedzieli, kto ma przyjść. Wyglądało to tak, jakby miał przyjść ksiądz po kołędzie albo miałyby być poświęcenie domu. Pomyślałem sobie, że musi to być znacząca pozycja i warto tym zająć się w Polsce. Jeszcze wtedy nie miałem wykształcenia ekonomicznego, ale nauka przychodziła mi zawsze z ogromną łatwością i uznałem, że szybko się tego nauczę. To był też moment podjęcia bardzo ważnej decyzji. W 1991 roku założyliśmy kancelarię doradztwa podatkowego. Postanowiłem wtedy, że będzie to firma na zasadach partnerskich. Miałem za sobą doświadczenie bezrobocia, doświadczenie pracownika i pracodawcy i czerpałem z tych doświadczeń w kształtowaniu firmy.

Zaangażowałem się też w organizację stowarzyszenia, które miało by jednoczyć osoby zajmujące się podatkami i przygotowywaniem od powiedniej ustawy, tak jak to obserwowałem u Niemców. Chodziło o to, że jak podatnik zleca komuś prowadzenie dokumentacji podatko- wej, to i odpowiedzialność powinna być przeniesiona na tę osobę. Ma ona ustawowe uprawnienia i jest ustawowo ubezpieczona. Równocze- śnie podatnik jest w ten sposób chroniony. Uczestniczyłem w pracach parlamentarnych nad wprowadzeniem tej ustawy i toczyłem boje z Ministerstwem Finansów na ten temat. To była druga sfera mojej



Fot. 64. Urszula Kossowska-Cezak (z mikrofonem)

działalności. Mam świadomość, że moje zaangażowanie w pracę zawodową i społeczną odbijało się w tym okresie na sferze rodzinnej i na moich kontaktach z synami. Jest to wielki problem, aby to wszystko pogodzić. Dzięki dbałości i poświęceniu sprawom rodzinnym mojej żony mogę cieszyć się obecnie dobrymi relacjami z naszymi dorosłymi już synami, absolwentami wydziału prawa, rozwijającymi się zawodowo. W relacjach z synami również teraz staram się nadrobić stracony czas. Obdarzmy się nawzajem szacunkiem i uznaniem obserwując jak ważne są te relacje i ile dają one wzajemnej radości.

Urszula Kossowska-Cezak

W mojej wypowiedzi chciałam zwrócić szczególną uwagę na etos pracy, bo to tej pory to słowo tutaj nie padło. Mój ojciec był mistrzem szewskim, który robił wspaniałe buty – oficerki, a moja mama była krawcową, która szyła piękne rzeczy. Moi rodzice byli bardzo dobrymi rzemieślnikami. Mieli wielu wspaniałych klientów, wykształconych ludzi. W domu zawsze toczyły się interesujące rozmowy, były wartościowe książki i kiedy z moim bratem doszliśmy do pewnego wieku, było rzeczą oczywistą, że ukończymy studia. W czasie naszych studiów, jak i potem w pracy stosowaliśmy się do zasad, które obowiązywały w naszej rodzinie. Wszystko robiło się rzetelnie, solidnie i w terminie.

Ja ukończyłam studia na Wydziale Geografii Uniwersytetu Warszawskiego i na tym Wydziale przepracowałam całe swoje dorosłe

życie. Jednocześnie pracowałam społecznie w Towarzystwie Geograficznym i w Towarzystwie Geofizycznym, potem wciągnęłam się w pracę w redakcji „Przeglądu Geofizycznego”. Byłam nauczycielem akademickim i kiedy słuchałam przed chwilą wypowiedzi pana doktora Berenta, jaką radość daje dobre „ustawienie” magistranta i jak to potem owocuje, to jakbym słyszała swoje własne myśli. To były również i moje doświadczenia.

Zawsze starałam się pracować porządnie i solidnie, ale muszę powiedzieć, że to doprowadzało mnie czasem do gorzkich refleksji. Chciałabym się nimi z Państwem podzielić. Jeżeli się pracuje bardzo solidnie i z oddaniem, to na początku budzi to zadowolenie i akceptację wśród kolegów i szefów, ale potem jest to przyjmowane jako rzecz zupełnie naturalna i mimo że inni się objają i pracują gorzej, to jeżeli się pojawia nowa praca, trudniejszy obowiązek, to nie szuka się nowego wykonawcy, tylko się to składa na barki tego niezawodnego.

Pracując przez wiele lat w redakcji, o której wspomniałam, poczułam się w końcu bardzo zmęczona... Chciałam zrobić habilitację. Gdy przedstawiłam moją prośbę redaktorowi, udał, że nie wie, o co go proszę. Potem podejmował jakieś działania pozorne, a dalej jego odpowiedzi były różne. Pierwsza była cyniczna.: „Przecież ty to lubisz”. Następna była brutalna: „Musisz”, a trzecia był to szantaż: „A co ja bez ciebie zrobię”. W rezultacie dopiero po dwudziestu dziewięciu latach udało mi się z tego wyzwolić. I co się okazuje. Pan redaktor mnie teraz nie zna. On mnie teraz ignoruje, bo utracił dyspozycyjnego wyrobnika. Tak było też i w Towarzystwie Geograficznym, gdzie byłam tylko sekretarzem oddziału, a załatwiałam sprawy za prezesa. Mogę mnożyć przykłady.

Uważam, że człowiek z poświęceniem i solidny powinien pracować tam, gdzie chodzi o życie drugiego człowieka. Natomiast we wszystkich innych sytuacjach trzeba zachować zdrowy instynkt samozachowawczy, żeby różni cwaniacy nie żerowali na naszej solidności i nie robili kariery dzięki naszej pracy.

Tomasz Berent

Trudno się nie zgodzić z Panią doktor, ale chciałbym dodać, że akcenty powinny być rozłożone nieco inaczej. To prawda o wyzysku tych, którzy dobrze pracują. Mógłbym opowiadać historie rzeczywiście mrozące krew w żyłach. Osoby chcące nas wykorzystać będą zawsze, równocześnie praca badawcza jest możliwością uczestniczenia



Fot. 65. Tomasz Berent

w procesie tworzenia, a to są wspaniałe doświadczenia. Jeśli młodzi ludzie są w tej chwili na jakimś etapie swojego życia i swojej naukowej przygody, nie ma innej drogi, muszą zawierzyć, pomimo tych niebezpieczeństw. Bo one na pewno będą. Nie można kalkulować, czy mi się to opłaca, czy ktoś mnie wykorzysta, czy nie. Moim zdaniem, na tym etapie życia trzeba pójść na całego, poświęcić się. Rozeznanie jest bardzo ważne, ale ja osobiście bym rekomendował, aby nie bać się. W pracę naukową, badawczą trzeba wejść z pełnym zaangażowaniem, a jak będzie? Pan Bóg tylko wie.

Ks. Adam Zelga

Jezus był człowiekiem wykorzystanym do końca. Nie lękajcie się być nawet wykorzystywanym w jakimś wymiarze.

Andrzej Ciepela

Chciałbym wyrazić poparcie dla idei bycia wykorzystywanym, tylko w rozsądnych granicach. Bo co znaczy, być wykorzystywanym? Popatrzmy na to od strony pozytywnej. Jeśli ktoś was wykorzystuje, to znaczy, że jesteście mu potrzebni. Macie dla niego wartość. To, że jesteście potrzebni, jest ważne, jak i to, że robicie coś z pasją, czyli że was to też bardzo interesuje. To, że ktoś dołącza się do waszej pasji, to też jest dobre. Nie obawiajcie się, zaufajcie. Najgorsza rzecz, którą ja widziałem w życiu zawodowym, to jest lęk. Ten lęk nie przychodzi od Pana Boga. Bądźcie pełni ufności.

Elżbieta Pierścioneł

Jestem młodą emerytką. Przeszłam już wszystkie etapy pracy. Naukę, pracę zawodową i wychowywanie syna. Skończyłam SGPiS z oceną dobrą na dyplomie. Najbardziej ceniłam sobie piątkę uzyskaną z rachunkowości u pani prof. Surman, wykorzystaną potem w moim życiu zawodowym, bo po studiach byłam kierownikiem rachunkowości w dużej firmie.

Obecnie jestem parafianką parafii bł. Edmunda Bojanowskiego, gdzie ks. Adam Zelga buduje kościół. Jemu też dedykuję wiersz „Tama”.

TAMA

Patrzę po godzinach,
jak bobry budują dom bezpieczny;
ścinają drzewa wysokie
wody bystre piętrzą
z uśmiechem pokonują trudności,
ujarzmiają żywioły...
bobry to ludek wesoły.

Praca jest tamą dla smutku?

...

Patrzę, jak Proboszcz na Wolicy
wznosi kościół święty,
ile w nim entuzjazmu,
poprostu fruwa rozpromieniony,
skrzydła mu u ramion urosły...
szczęśliwi są parafianie,
niech żyje pozytywne myślenie,
niech żyje budowanie!

Witold Płotczyk

Dwiema myślami chciałem się na koniec podzielić z Państwem. Dwa lata temu przeczytałem ciekawy artykuł na temat rynku pracy. Z badań wynika, że w trakcie czynnego życia zawodowego będziemy zmieniać zawód pięć do siedmiu razy. Więc to jest to, co was młodych czeka.

A druga myśl dotyczy dóbr materialnych, w które człowiek obraża. Ze trzy lata temu mieliśmy zjazd rodzinny, na Mazowszu, bo stąd pochodzi rodzina. Zjechała się rodzina z całej Polski. Wszyscy samochodami, które podobnie wyglądają, bez względu na to, co tam kto w życiu robi, dobrze ubrani i dobrze się prezentujący. Patrząc po tych samochodach, to właściwie status równy.



Fot. 66. Słuchacze

Jedna z cioć, seniorka rodziny podeszła do mnie i powiedziała: „Witek, muszę ci pogratulować dzieci”. Była tam córka i syn z synową. „Na klasę, jaką oni pokazali, to tylko patrzeć i zazdrościć”. Okazało się, że na forum rodzinnym to było moim największym sukcesem. Właśnie dzieci i ich wychowanie było najwyżej docenione i to w oczach seniorki stało się najważniejszym moim dorobkiem życia. I tak pomyślałem, że człowiek walczy, pracuje, czegoś się dorabia, czegoś się uczy (byłem pierwszym w rodzinie z wyższym wykształceniem), coś tam w życiu robi, a okazuje się, że w oczach seniorki nie to staje się moim najważniejszym dorobkiem życia.

Urszula Kossowska-Cezak

Może niedostatecznie jasno się wyraziłam, mówiąc o poświęcaniu się. Należy się poświęcać, moim zdaniem, ale trzeba wyczuwać sytuację, żeby to nie było kosztem własnego zniszczenia psychicznego. Trzeba znać proporcje.

Ks. Adam Zelga

Warto patrzeć, jak to robili poprzednicy. Młodym, tu obecnym, zostawiam wiersz Adama Asnyka:

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy
Choć sami macie doskonalsze wznieść
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży
I wy winniście im cześć.

Spisała z nagrania Dorota Gariat

*Czy jestem szczęśliwa/y i czy potrafię dzielić
się moim szczęściem z innymi?*

Cytaty

Klucz do szczęścia (autor nieznany)

Życie zgodne z Dekalogiem: bez nieuczciwości, bez kłamstwa, bez zawiści, bez zdrady – zgodne z sumieniem.

Życie z zaufaniem do Pana Boga: mieć marzenia, wyznaczać sobie zadania, dążyć do nich, ale gdy się nie udaje nie zamartwiać się. Wierzyć, że to, co nas czeka jest dla nas najlepsze. W każdym życiu tyle razy to się sprawdziło, że po prostu to się wie, że tak trzeba.

Znać swoje talenty, ale i ograniczenia. Nie mieć wygórowanych ambicji: chroni to nas od uczuć frustracji z powodu niedoceniania. Nie przejmujemy się tym, że nie zostaliśmy wyróżnieni, odznaczeni, nagrodzeni, wybrani itp. Zawsze znajdziemy w tej sytuacji coś dobrego. Cieszymy się prawdziwie z sukcesów innych nie zazdroszcząc im.

Umieć się z siebie śmiać: jeżeli to potrafimy, to z jednej strony chronimy się przed złośliwościami innych, a z drugiej – ułatwia nam to kontakt z drugim człowiekiem. Każdy z nas woli osoby, które posiadają śmieszności, czy nawet wady, niż osoby posągowe, nieskazitelne.

Tak żyć, żeby nie mieć nieprzyjaciół: starać się być miłym dla innych, serdecznym, nie być złośliwym, pomagać w razie potrzeby, nawet tym, którzy są nam niechętni, doceniać ludzi, być im wdzięcznym i to okazywać.

Ks. Henryk Romaniuk. Błogosławieństwa – życzenia szczęścia (fragmenty)

Już w Psalmach 1 i 128 spotykamy „szczęśliwego człowieka”, który znalazł swoje miejsce na Bożych drogach w prawości i pokoju. Szczególnym przykładem zachęty do szczodrości są słowa Apostoła: „Więcej szczęścia jest w dawaniu, aniżeli w braniu” (Dz 20, 35b; por. Tb 12, 8), którymi św. Paweł zwraca się do przebiterów w Milecie. Ten agrafon biblijny (słowa Jezusa zapamiętane tylko w tradycji ustnej, niezapisane) oddaje ducha Błogosławieństw obecnego i w innych pouczeniach: „Darmo otrzymaliście,

darmo dawajcie!” (por. Mt 10, 8b). Zasadę radosnego czynienia dobra, która stanowi literacką klamrę dla Kazania na Górze, znajdujemy w Złotej Regule: „Wszystko, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie! Albowiem na tym polega Prawo i Prorocy” (Mt 7, 12). Niech Apostoł Narodów pomaga nam w modlitewnym wspinaniu się na Górę Błogosławieństw: „Radujcie się zawsze w Panu!” (por. Flp 4, 4-9). Tam jest szkoła prawdziwego szczęścia człowieka.

Czyż nie są jakimś potwierdzeniem nowego polskiego odczytania Jezusowych Błogosławieństw papieskie słowa z Gliwic? „Dzisiaj zwracam się jeszcze raz do wszystkich moich rodaków w Ojczyźnie. Budujcie przyszłość narodu na miłości Boga i braci, na poszanowaniu przykazań Bożych i na życiu łaski. Szczęśliwy jest bowiem człowiek, szczęśliwy jest naród, który ma upodobanie w Prawie Pana”. Po niewielu latach taka wizja życia znowu wydaje się niektórym jakoś niepraktyczna, oderwana od rzeczywistości walki o zysk i zamknięta we wspomnieniach pobożnych wzruszeń. Przecież to jest program dla Polski, dla konkretnych Polaków i dla całego społeczeństwa, dla którego Jan Paweł II jeszcze coś znaczy. Mówił on pod koniec XX wieku, zaczynając w Gdańsku swoje pielgrzymowanie: „Dzisiaj potrzeba świata i Polsce ludzi mocnych sercem, którzy w pokorze służą i miłują, błogosławią, a nie złorzeczą, i błogosławieństwem Ziemię zdobywają”. Owi „potrzebni ludzie serca” to my, świadkowie tamtych dni, i ci, którzy rodzą się i dorastają, przez nas wychowywani na szczęśliwych ludzi. Czyż oni nie należą do „pokolenia JP2”?

(...) Potrzeba może Polakom jakiejś nowej „koronki Błogosławieństw”, nowej pobożności ludzi szczęśliwych inaczej niż malują to ekrany telewizorów i reklamy na ulicach naszych miast. Niech to będzie forma pierścieni z perłami, czy wianuszków z paciorkami, by powtarzać Błogosławieństwa w cichej zadumie i w czasie publicznych modłów. Można ustanowić nabożeństwo Błogosławieństw, rodzaj nowenny z przykładami z katalogu nie tylko polskich świętych, by w nim wychowywać ludzi do szczęśliwego człowieczeństwa, pogodnego chrześcijaństwa. Te modlitwy zaprowadzą nas przed ołtarz, do przyjęcia Komunii świętej, na święto odnowionego przymierza: „Błogosławieni, którzy są wezwani na ucztę Godów Baranka” (Ap 19, 9). Nakarmieni tak cudownie jak

nad brzegami Genezaret i w jerozolimskim Wieczerniku, przeżyjemy w Polsce jedność ludzi pojednanych w Chrystusie. Błogosławieni Polacy, szczęśliwi chrześcijanie. Tego pragnął i tego nam życzył szczęśliwy jako na ziemi tak i w niebie – tak wierzymy – Sługa Boży, Papież z Polski.

KONWERSATORIUM XXXIX (17.04.2010 r.)

Czy jestem szczęśliwa/y i czy potrafię dzielić się moim szczęściem z innymi?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii im. bł. Edmunda Bojanowskiego), Paweł Szczęsny (nauczyciel historii), Zofia Zielińska (nauczyciel fizyki, członek Wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym), Ewa Błaszczak (właściciel firmy „Ewa Błaszczak coaching”)

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Zdecydowaliśmy się na utrzymanie terminu Konwersatorium, mimo sytuacji, która jest w tej chwili w Polsce (dzień pożegnania tragicznie zmarłych w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem, na pl. Piłsudskiego w Warszawie) oraz niezmienną tematu, mimo że wydaje się, że mówić o szczęściu w sytuacji tragedii narodowej, która się zdarzyła, jest jakimś nietaktem. Doszliśmy jednak do wniosku, że w zaistniałej sytuacji wybrany temat może być widziany znacznie szerzej. Różne tragedie cały czas zdarzają się wokół nas. Słyszymy o nich na co dzień w mediach. Ta sytuacja, która zaistniała, pozwala nam jeszcze raz przemyśleć, w jaki sposób mamy odnieść się do naszego szczęścia i do przekazywania go innym. Wymaga to od nas również głębszego wejrzenia w drugiego człowieka, na to, żeby bardziej mu służyć tym, co mamy.

Aby umożliwić wszystkim chętnym udział w uroczystości na pl. Piłsudskiego, czas trwania Konwersatorium będzie skrócony.

Ks. Adam Zelga

Życie ludzkie streszcza się w trzech wielkanocnych słowach: pierwsze to hosanna. Wołamy je w Niedzielę Palmową. Kiedy podnosimy twarze ku słońcu, jak te palmy, to są to chwile hosanny w naszym życiu i każdy z nas potrafiłby ich wiele wymienić. Ale trzeba pamiętać, że hosanna to jest też zapowiedź męki. Drugim słowem jest męka. Całe ludzkie doświadczenie trudu z pogranicza

między poczuciem, że moja wiara ma sens, a pokusą rozpacz – jest męką w życiu. W chrześcijaństwie męka i cierpienie ma swój sens. Inne systemy religijne czy ateistyczne powiedzą, że to jest bez sensu. Chrześcijaństwo ma jeszcze jedno słowo: alleluja. Chwalcie Boga. Wielbię Pana po to, aby mocniej, pełniej i głębiej przeżyć Zmartwychwstanie. Proszę o refleksję na ten temat, także na tle wielkich wydarzeń, których jesteśmy świadkami.

Paweł Szczęsny

Czy jestem szczęśliwy? To nie jest pytanie, które zadaję sobie często – sądzę zresztą, że jak większość ludzi. Więc gdy byłem poniekąd zmuszony je sobie postawić, to okazało się, że odpowiedź nie jest taka oczywista. Najczęściej chyba postrzegamy szczęście jako brak nieszczęścia. Gdy widzimy lub słyszymy, jak inni borykają się z najróżniejszymi dramatami życiowymi, współczując im, jednocześnie myślimy, że mamy szczęście, że nas to nie spotkało. Szczególnie dobitnie czują to ci, którzy uniknęli jakiegoś nieszczęścia. W ostatnich dniach, w związku ze smoleńską katastrofą, mogliśmy usłyszeć o wielu takich osobach, które nie poleciały feralnym lotem samolotu prezydenckiego. Czy jednak „brak nieszczęścia” jest już szczęściem? Chyba jednak to za mało. Więc na pytanie, czy jestem szczęśliwy, odpowiem: nie jestem, ale bywam. To trochę jak z byciem poetą, którym się właśnie bywa.

Próbuję sobie przypomnieć te chwile w moim życiu, podczas których odczuwałem szczęście jako uczucie całkowicie wolne i czyste od kontekstu innych nieszczęść. Wolne od porównywania siebie, swojego życia do innych ludzi i ich losów. Nie było tego zbyt wiele, ale o trzech takich momentach chciałby wspomnieć.

Pierwszy wiąże się z przyjściem na świat mojej młodszej córki, Tosi. Nie samym momentem jej narodzin, których nie widziałem, a jedynie słyszałem, siedząc cały w napięciu na szpitalnym korytarzu. Stało się to kilka tygodni później. Siedząc przy jej łóżeczku i patrząc, jak uśmiecha się przez sen, poczułem to niezwykle wzburzające we mnie uczucie szczęścia, absolutnej radości z samego faktu, że ona jest z nami. Nie byłem w stanie oderwać wzroku od jej małej twarzyczki. To było wręcz metafizyczne uczucie. Pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy, że może to jest namiastka rajskiej kontemplacji Oblicza Boga. Wcale mnie to porównanie nie przestra-

szyło, a wręcz tylko wzmocniło to uczucie, które w sobie czułem. Oczywiście w następnych miesiącach, latach (a minęło ich od tej chwili 12) nie zawsze patrzyłem z uwielbieniem na moją Tosię (oj, nie zawsze!), ale o tamtej chwili nad jej łóżeczkiem nie zapomnę nigdy. Tej chwili, gdy w twarzy mojej nowo narodzonej córki zobaczyłem Oblicze Boga.

Ponad rok temu wykryto u mnie nowotwór złośliwy jelita grubego. Lekarz, który dokonał tego znaleziska, na moje przerażone pytanie, czy mam jakąś szansę, powiedział: „w tej chorobie trzeba mieć trochę szczęścia”. To były prorocze słowa. W trakcie leczenia doświadczyłem wielu sytuacji, w których mogłem powiedzieć, że szczęście mi sprzyjało: trafiłem na znakomitych lekarzy, moje wyniki okazały się dobre, leczenie chemiczne zniósłem nieźle.... Ale tego uczucia szczęścia doświadczyłem nie w związku z leczeniem, lecz dzięki ludziom, którzy mi w mojej walce towarzyszyli. To oczywiście była moja rodzina, ale to nie było dla mnie zaskoczeniem. Wiedziałem, że mogę na nią liczyć. Poczułem się szczęśliwy naprawdę podczas Mszy świętej odprawianej w mojej intencji w kościele Dominikanów na Służewcu. Zjawiła się wówczas taka masa ludzi! Przyjeżdżali z różnych stron Warszawy. Niektórzy z nich nie widzieli się ze mną od dawna, ale przyjechali na wieść o mojej chorobie. Msza odbyła się na kilka tygodni przed operacją, a ja już wtedy czułem, patrząc na modlących się w mojej intencji przyjaciół, że wszystko przebiegnie dobrze. I byłem naprawdę szczęśliwy. A potem był dzień operacji. Gdy obudziłem się po kilkugodzinnej narkozie i sięgnąłem po telefon komórkowy, zobaczyłem, że skrzynka wiadomości była nieomal pełna. Gdy leżałem na stole operacyjnym, moi przyjaciele ślali mi wyrazy otuchy, wsparcia i słowa miłości. W tych ciężkich i dramatycznych dniach – nie do wiary – ale czułem się szczęśliwy.

Niespełna pół roku później, w pewien słoneczny, wiosenny dzień odważyłem się po raz pierwszy od jesieni wybrać się do konstancińskiego parku na rolki. Byłem trochę niepewny, czy dam radę po kilku miesiącach przebywania w łóżku, przerywanego jedynie spacerami po salonie. Lecz kiedy tylko minęło lekkie drżenie nóg, zaczęło się dziać ze mną coś niesamowitego! Jeździłem jak szalony przez prawie dwie godziny! Czułem przepełniającą mnie dziką radość, szczęście! A właściwie nie tylko mnie, ale każdą mo-

ją komórkę! Czułem, że całe moje ciało jest szczęśliwe. To było trochę jakby bez mojego udziału. Szczęście na poziomie wręcz fizjologicznym! Być może, że to zastałe przez te miesiące mięśnie „radowały się” ruchem fizycznym. Być może, zniknął czający się wciąż w mojej duszy strach, że nigdy już nie będzie mi dane jeździć na rolkach. Pewnie wtedy poczułem się zdrowy, choć wiedziałem i wiem, że jeszcze długa droga przede mną. Później wielokrotnie miałem okazję jeździć na rolkach, ale już nigdy nie odczuwałem tego bezgranicznego uczucia szczęścia jak tamtego słonecznego dnia.

To wydarzenie w parku przekonuje mnie, że uczucie szczęścia jest jakby zaprogramowane w naszym człowieczeństwie, jest zapisane w naszym ludzkim DNA. Pojawia się nagle i szybko mija. Ale to dobrze. Dzięki temu nie powszednieje i dlatego możemy do niego tęsknić i go szukać. Szukać w sobie i szukać w innych. W ich twarzach, modlitwie, obecności... Nie martwmy się, że czasem go nie ma w nas. Zjawi się, tylko musimy się dobrze rozglądać i wsłuchiwać i w siebie i w innych. Życzę więc szczęścia!

Zofia Zielińska

Chciałabym dzisiaj powiedzieć o moim nawróceniu. W jaki sposób Bóg wejrzał w moje życie, w moją rzeczywistość i sprawił, że jestem tu, gdzie teraz jestem. To naprawdę była Jego łaska. Chcę mówić o wielkich rzeczach, jakie uczynił w moim życiu. I to, że odzyskałam prawdziwą radość w Bogu. Tak naprawdę Bóg nigdy ze mnie nie zrezygnował. Nigdy nie zapomniał o mnie i pamiętał o moim szczęściu. Zapomniał o moich grzechach młodości, ale pamiętał o moim szczęściu. Ja dzisiaj chce się dzielić szczęściem – szczęściem płynącym z odpuszczenia win.

Po ukończeniu studiów na wydziale fizyki znalazłam się na szczycie niepewności: za mną ciemność, a przede mną pustka. Wszystko w czym pokładałam nadzieję, prysło jak bańka mydlana. Sakramenty święte dawno poszły w zapomnienie, a w to miejsce wdzierały się poszukiwania okultystyczne. Powoli życie traciło sens. Żadne zajęcia nie dawały pełnej, trwałej radości. Gubiłam się w prostych, codziennych czynnościach. Pojawiały się lęki, które paraliżowały moje życie. Nawet założenie rodziny i narodzenie dziecka nie zdołały przywrócić pokoju serca. Bóg w swoim zatroskaniu dobijał się do mnie coraz bardziej, również przez trudne do-



Fot. 67. Zofia Zielińska

świadczenia. Oto jedno z nich: kiedy moja córka miała 6 lat, ciężko zachorowała. Przez prawie miesiąc temperatura ciała nie spadała poniżej 38 stopni. Najpierw dotknęła ją szkarlatyna, później świnka, a na koniec poronne zapalenie opon mózgowych. Po ludzku stan beznadziejny. Lękałam się o jej życie. Pamiętam pewnego dnia, była godzina 17, upadłam na kolana i tonąc we łzach, głośno wołałam „Boże, jeśli jesteś, to przyjdź z uzdrowieniem do mojej córki o godzinie 22. Nie zabieraj mi jej!”. Do dziś nie wiem dlaczego wskazałam na taką godzinę. Wiem natomiast, że ta modlitwa była prawdziwa i szczerza, płynąca z głębi serca. Właśnie o tej godzinie przeniknęła mnie niezwykła miłość. Jednocześnie odczułam przynaglenie do położenia rąk na głowie córki. W tym momencie byłam głęboko przekonana, że moja córka została uzdrowiona. Tak też się stało. Temperatura spadła, a Kasia zasnęła twardym snem. Ten fakt odmienił moje życie. Bóg z mocą wkroczył w moją rzeczywistość. Doświadczyłam Boga żywego, kochającego i przebaczącego. Uwierzyłam w Jego miłość. Zrozumiałam, że bez względu na stan mojej duszy, pragnie mojego szczęścia i ze wszystkiego może wyprowadzić dobro. Rozpoczęłam rozpaczliwe poszukiwanie Boga. Pytałam „Boże, gdzie jesteś, gdzie mogę Cię znaleźć?”. Wstąpiłam do wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym, gdzie przez systematyczną formację moje życie nabrało nowego wymiaru. Jezus Chrystus stał się moim Panem i Zbawicielem. Zrozumiałam, że

wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia. Bez Niego nic uczynić nie mogę. Przykazania stały się dla mnie drogowskazem na drodze wiary, a Sakramenty święte, od których odstąpiłam i nie przystępowałam przez kilkanaście lat – zaproszeniem do ciągłego nawracania się. Jezus Eucharystyczny stał się prawdziwym pokarmem, który mogę spożywać w obfitości. Dzięki Bogu, dzisiaj dziękuję Mu szczególnie i za ten trudny czas w naszej Ojczyźnie, że właśnie mogę świadczyć o Bogu żywym, prawdziwym, który odrodził mnie w swoim duchu, przywrócił mi prawdziwą radość i godność dziecka Bożego i wskrzesił nadzieję na życie wieczne. Często tego doświadczam, że Jezus przychodzi do mnie w tych sytuacjach, w których jestem najbardziej bezradna. Wtedy czuję jakby namacalnie Jego obecność.

Ks. Adam Zelga

Jak świadectwo z Pani życia miało się do wyboru kierunku Pani studiów – fizyki. Prosilibyśmy jeszcze o parę słów na ten temat.

Zofia Zielińska

Już w szkole średniej byłam bardzo zbuntowana i chciałam się najpierw dowiedzieć, kto naprawdę stworzył świat. Oczekiwałam, że na studiach potwierdzą to, co sobie w głowie poukładałam w młodości oraz swoje hipotezy ukształtowane w szkole średniej. Czekałam pierwszy rok, drugi, trzeci, czwarty i piąty. Moje oczekiwania prysły. W to miejsce weszły poszukiwania okultystyczne, zaczęłam się zajmować parapsychologią, wszystkim tym, co jeszcze potęgowało większy niepokój i wprowadzało w moje życie różne lęki. I tak stanęłam na szczycie niepewności. Kiedyś zobaczyłam mojego promotora, profesora przystępującego do Komunii świętej. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie pobłądziłam i pragnęłam naprawdę rozpoznać swoją drogę. Bóg dopuścił taką sytuację, o której mówiłam już wcześniej.

Ewa Błaszczak

Gdy dostałam propozycję udziału w panelu, zaczęłam się zastanawiać, czy jestem szczęśliwa w życiu. W pierwszym momencie zaczęłam przewijać film mojego życia, przywołując wydarzenia. Ale po chwili pomyślałam, że to nie ma żadnego sensu. Tak naprawdę



Fot. 68. Ewa Błaszczak

w moim życiu ten stan, ulotny stan umysłu, którym dla mnie jest szczęście, jest absolutnie niezależny od cech zewnętrznych. Poczucie szczęścia jest moją decyzją, żeby wziąć odpowiedzialność za swoje życie i wyszukiwać miłość w moim życiu w każdym wydarzeniu.

W tym wymiarze szczęście jest łaską, gdyż niektóre wydarzenia są przyjemne i łatwo dojrzeć w nich miłość, a inne są bardzo trudne i trzeba mieć cierpliwość, aby oczekiwać na te dobre dary, które płyną z każdego wydarzenia.

Dziesięć lat temu brałam ślub. Okazało się, że mężczyzna, którego pokochałam, jest nieuleczalnie chory. Choroba groziła i nadal grozi poważnym kalectwem. Nie wiedziałam wtedy, czy to szczęście, czy nieszczęście, że go spotkałam. Czy to szczęście, czy nieszczęście, że go wybrałam. Po latach okazało się, że choroba okazała się dla nas bardzo wyrozumiała. Natomiast dała nam bardzo dużo – trwały związek. Mieliliśmy okazję zmierzyć się z rzeczami trudnymi, rozmawiać o rzeczach ostatecznych i najważniejszych. Nauczyła nas wdzięczności, dostrzegania na co dzień pozytywnych rzeczy.

Tuż po ślubie okazało się, że choroba mojego męża nie jest jedyną przeszkodą w naszym życiu do pokonania. Dowiedziałam się, że nie mogę mieć dzieci, nie mogę naturalnie urodzić dziecka. Mój

świat zawalił się. Pomyślałam sobie, że to jest niesprawiedliwe, że nie mogę być szczęśliwą, spełnioną kobietą, nie rodząc dziecka. Po jakimś czasie zdecydowaliśmy się na proces adopcyjny. Na początku ogólnie było trudno. Choroba mojego męża była przeszkodą, żebyśmy zostali zakwalifikowani na rodziców adopcyjnych. Niemniej jednak znowu potrzebowaliśmy zjednoczyć się z mężem jak ta jedna drużyna, po prostu walczyć o to dziecko. I udało się. W tej chwili jesteśmy rodzicami dwuletniej Zosi. Zosia daje nam tyle miłości. Nawet nie wyobrażam sobie, mając na co dzień taki dar od Boga, że mogłabym powiedzieć, że nie jestem szczęśliwa. Mam na to dowód. Taki mały, wrzeszczący, bardzo pyskaty. Kiedy patrzę na nią i widzę, ile daje mi miłości i ile ja jej mogę dać, to dziękuję Panu Bogu za te choroby, które mnie do tego doprowadziły. Gdybym urodziła dziecko, to nie miałabym Zosi – naprawdę jestem wdzięczna Panu Bogu za te doświadczenia.

Na co dzień w podtrzymywaniu tego szczęścia pomaga mi wdzięczność – dla mnie podstawowy element rachunku sumienia. To bardzo ważne. Wdzięczność jest takim prostym narzędziem, które pomaga dostrzegać pozytywy w życiu i miłość Boga na co dzień.

Zastanawiam się też, jak to jest z dzieleniem się szczęściem w moim życiu. I tutaj widzę dwa aspekty. Pierwszy naturalny: sądzę, że kiedy mam taką prawdziwą miłość, to jej w sobie nie mogę zatrzymać. Ona jest energią, wartością, która ze mnie wychodzi. Gdy widzę moje dziecko i kocham je, to ta miłość się ze mnie wylewa. Drugim aspektem jest świadome działanie. Tym świadomym działaniem jest wybór mojego zawodu. Jakiś czas temu byłam finansistką i doradcą podatkowym. Jednak w pewnym momencie stwierdziłam, że moim powołaniem jest być ciachem. Jest to taki trener, który pomaga ludziom w osiągnięciu przez nich założonego celu. Zdecydowałam się wykorzystać coaching do pomagania kobietom, które nie mogą mieć dzieci, które mają kłopot z zajściem w ciążę. Stworzyłam warsztaty, podczas których pomagam dziewczynom w odnalezieniu ich drogi i ich definicji szczęścia. W odnalezieniu siebie. Po prostu pomagam im stanąć na własnych nogach. Chcę, żeby zobaczyły światelko w tunelu, że po coś tu są na ziemi, że mogą być szczęśliwe, nawet jeżeli nie mają biologicznego dziecka. Bardzo zależy mi na tym, aby kobieta nauczyła się być szczęśliwa tu i teraz, aby mogła być później szczęśliwą matką i dawać to szczęście dzieciom.



Fot. 69. Ewa Błaszczak i Zofia Zielińska

Ks. Adam Zelga

Mówi Pani o problemie bezdzietności u kobiet i pomocy dla nich. A co z facetami? Bo problem adopcji dzieci jest łatwiejszy dla kobiet, gorzej jest z mężczyznami. Im trzeba pomóc.

Ewa Błaszczak

Taka pomoc też rusza.

Ks. Adam Zelga

Jestem bardzo szczęśliwy między innymi z tego powodu, że pracując w parafii, byłem dyskretnym towarzyszem kilku decyzji o adopcji. Spotykam często chłopaka, który bardzo się opierał, aby adoptować dziecko. A teraz widzę go z wózkiem, jak jeździ po ulicy jako dumny tata. To jest bardzo piękne. Znam też taki przypadek w parafii, że po adopcji dziecka kobieta zaszła w ciążę i w tej chwili ma dwie wspaniałe dziewczynki. Obie chrzciliśmy, to po trochu także są to i moje dzieci.

Na koniec tak trochę żartobliwie. Nie wiadomo, czy to dobrze czy to źle...

Syn poszedł koni pilnować na polu i one mu uciekły. Wrócił do domu przerażony, zapłakany i mówi: tata, konie uciekły, co to będzie? A ojciec podrapał się w głowę i mówi: synu, nie wiadomo, czy to dobrze czy to źle. Za cztery dni wróciły cztery konie. Nie wiadomo było, czyje są te pozostałe.

Jest 1939 rok, syn pracował na padole, spadł, połamał obie nogi. Płacz i rozpacz. Ojciec mówi: nie wiadomo, czy to dobrze czy to źle. Przyszedł wrzesień 1939 roku, wszyscy chłopcy poszli do wojska, został tylko on sam.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Moje życie do dnia dzisiejszego mogę uznać za szczęśliwe. Zastanawiałam się, jaki element jest decydujący dla mnie, że rzeczywiście jestem szczęśliwa. Moim zdaniem, jest to zgodność życia z dekalogiem. Jeżeli są momenty, że moje życie odchyła się od igły tej busoli, to czuję, że coś nie gra i że jest we mnie niepokój, który nie daje mi spokoju i w efekcie szczęścia. Jeżeli postępowałam z nią w zgodzie, to mimo że miałam różne sytuacje w życiu, które w danym momencie mogłyby sprawiać, że nie byłam szczęśliwa, dawało to spokój sumienia i gwarantowało szczęście.

Jednak własne świadectwo w tym zakresie jest bardzo trudno przekazać innym. Mieszka z nami już od dwóch lat nasza 17 letnia wnuczka. To trudny okres, w którym kształtuje się tożsamość człowieka. Mówimy jej „pamiętaj o tym, że na dłuższą metę, jeżeli będziesz postępowała niezgodnie z dekalogiem, nie będziesz szczęśliwa”. Ale ona musi sama tego doświadczyć na własnej skórze, bo przekazać to swoim świadectwem jest niemożliwe.

Natomiast druga sprawa, o której chciałam powiedzieć, to dzielenie się szczęściem z innymi. Mam pewne doświadczenie z lat, kiedy skończyłam studia i dostałam pierwszą pracę w Warszawie. Miałam koleżankę, z którą przyjaźniłyśmy się i obiecałyśmy sobie, że wszystko będziemy sobie mówić. To było takie młodeńcze postanowienie, czasem trudne do realizacji. Staraliśmy się jednak je stosować. Kiedyś mi powiedziała, że razi ją to i czuje się jakby zdominowana moim okazywaniem, że jestem szczęśliwa. I nie wie dlaczego, ale jest to dla niej przykre. Wtedy pomyślałam sobie, jak niesłychanie trzeba dużo delikatności i wczucia się w drugiego człowieka, żeby swoim szczęściem nie zrobić mu przykrości.



Fot. 70. Urszula Kossowska-Cezak (z mikrofonem), w pierwszym rzędzie (po prawej) Teresa Wacławski i siedząca pod ścianą Natalia Cholewa

Przyszło mi to również na myśl w sytuacji, w której się w tej chwili znajdujemy. Jak naszym szczęściem służyć tym, którzy są w danym momencie na dnie rozpacz. Ile potrzeba przy tym intuicji i wyczucia. Trzeba się nad tym zastanowić, nie można przejść nad tym do porządku dziennego. Trzeba zdawać sobie sprawę, że przez to, że potrafię pokazać, że jestem szczęśliwa, że jestem optymistką, że ze wszystkiego się cieszę, wielu osobom mogę pomóc, ale również mogę tym kogoś zranić.

Urszula Kossowska-Cezak

Lubię patrzeć na świat i na wszystko przez pryzmat pewnego uporządkowania. Na początku powinniśmy, moim zdaniem, określić, co to jest szczęście i co to znaczy, być szczęśliwym. W tym celu sięgnęłam do mojego ulubionego źródła, prof. Bralczyka „100 000 najpotrzebniejszych słów”. Jaka tam jest definicja szczęścia? Stan posiadania, powodzenie, stanowiska, sukcesy itd. W sensie potocznym jest to coś, co wielu osobom zapewnia szczęście. Dla mnie ta definicja jest strasznie powierzchowna i moim zdaniem wcale na tym szczęście nie polega, natomiast to wszystko, co jest tam wymienione, może być źródłem zadowolenia. Bo to są rzeczy, które człowieka cieszą. Ale czy one dają szczęście?



Fot. 71. Marta Mirkowska

Moim zdaniem, szczęście jest to poczucie wewnętrznej harmonii, poczucie zgodności ze światem, czyste sumienie i uporządkowany stosunek do wszystkiego. Wobec tego kiedy możemy być szczęśliwi? Z wypowiedzi obu Pań wynikało, że przede wszystkim dwie rzeczy: dobre relacje z Panem Bogiem, i oczywiście zgadzam się z tym całkowicie, to dla mnie też podstawowy warunek szczęścia, ale również i życie rodzinne, dzieci. Ale jeżeli ktoś nie ma rodziny i nie ma dzieci, to nie ma szans na szczęście w życiu? Przecież to nie do końca prawda. Moim zdaniem, bardzo ważnym czynnikiem wpływającym na szczęście człowieka jest wykonywanie pracy, którą się lubi, która daje zadowolenie i która, ma się poczucie, że służy innym. Oczywiście nie jest to jedyna droga do szczęścia, ale moim zdaniem, jest to niezwykle ważny element szczęścia, czyste sumienie, dobre relacje i wykonywanie czegoś, co się lubi i co ma sens.

Marta Mirkowska (studentka)

Dla mnie szczęściem są otaczające mnie osoby z rodziny i przyjaciół, które zawsze służą radą, do których mogę zwrócić się w każdej chwili o pomoc. To są osoby, z którymi dobrze jest się spotkać, pogadać o tym, co nas gryzie, i na które można liczyć. Wszyscy są osobami o podobnej do mojej skali wartości i to ułatwia wzajemne kontakty. Daje mi poczucie szczęścia posiadanie takich osób w moim najbliższym otoczeniu.



Fot. 72. Wiesław Glinka

Mariusz Czapałuk (student)

Ważnym czynnikiem, który odpowiada za nasze szczęście, jest – moim zdaniem – zdrowie. Nie tylko fizyczne, ale także psychiczne, emocjonalne i duchowe. Na przykład, człowiek chory na depresję nie potrafi czuć się szczęśliwy.

Warto powiedzieć również o okrucinach szczęścia, których każdy doświadcza w swoim życiu. Mam swojego ukochanego pieska. Gdy wyprowadzam go na spacer i dam mu coś, co on szczególnie lubi, to on się cieszy, całym sobą okazuje mi radość i wdzięczność, a ja jestem szczęśliwy.

Wiesław Glinka

Czy można mówić o definicji szczęścia? Szczęście jest, moim zdaniem, subiektywnym odczuciem i trudno o obiektywną definicję. Może być człowiek, który mając znaczne powodzenie zewnętrzne, wydaje się być nieszczęśliwy, a bardzo schorowany inwalida, jeżeli znajdzie uznanie otoczenia i jest w swojej ocenie potrzebny innym, może być człowiekiem szczęśliwym.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chcę podzielić się wspomnieniem uczestnictwa w programie telewizji polskiej w czasach PRL, po którymś zjeździe partii, który nazwano „Łańcuchem ludzi dobrej woli”. Założeniem tego progra-

mu było pokazanie świecznikowych ludzi systemu, przodowników pracy. Już jednak po pierwszym spotkaniu zaplanowana akcja wymknęła się spod kontroli. Organizacja cyklu tych spotkań polegała na tym, że osoba zaproszona danego dnia do telewizji rekomendowała następną na kolejny dzień. I już po pierwszym dniu okazało się, że zaproszeni goście nie rekomendują „ludzi systemu”. lecz prawdziwych ludzi „dobrej woli” – ludzi, którzy robią wiele dobrego dla innych i czerpią z tego radość.

Ktoregoś dnia znalazłam się wśród zaproszonych. Gdy pytano mnie o następną rekomendowaną osobę, podałam trzy: księdza Jana Popiela z Szewnej pod Ostrowcem Świętokrzyskim, który w całej okolicy żył w opinii świętości, bo tyle robił dobrego wokół siebie. Drugą była nasza niania, niania naszych dzieci. Osoba, która wyszła z biedoty wiejskiej spod Sandomierza, wspaniały i szlachetny człowiek. Pomyślałam, że warto pokazać ludziom taką osobę. Trzecią był nasz wielki przyjaciel, inżynier z Zakładów im. Cegielskiego, który prowadził półoficjalne wtedy obozy harcerskie i zajmował się ludźmi niepełnosprawnymi.

Decydenci telewizyjni z trzech proponowanych osób wybrali inżyniera, licząc, że „łańcuch” wróci na dobry tor. Niestety się zawiedli. Nasz przyjaciel rekomendował osobę w pełni niepełnosprawną fizycznie, przykutą do łóżka i wózka inwalidzkiego, która dzięki ukończonemu wydziałowi prawa pomagała wielu osobom i o której wielu mówiło, że ona więcej świadczy innym, niż wymaga pomocy od innych. Wydawałoby się, że osoba ta będzie skrajnie nieszczęśliwa, mająca tylko sprawne ręce i głowę, ale dzięki swojej służbie na różnych płaszczyznach, otoczona mnóstwem osób, była subiektywnie szczęśliwa i o tym świadczyła.

Co chciałam pokazać na tych przykładach? Jeżeli ktoś ma możliwość służby drugiemu człowiekowi, to w moim rozumieniu jest to bardzo ważny element dla poczucia trwałego szczęścia.

Jeżeli przeciwnie, ktoś bardzo o czymś marzy dla siebie, chciałby to coś osiągnąć, gdy w końcu uda mu się to zrealizować, bardzo szybko o tym zapomina. Gdy ktoś mu to przypomina, macha ręką, że to już nie ma dla niego znaczenia. Ale jeżeli ta sama osoba dała coś komuś innemu czy zrobiła coś dla kogoś, to o tym myśli często i wraca do tego z radością.

Ks. Adam Zelga

Uważam, że szczęście nie ma żadnej obiektywnej definicji, mimo że takie się podaje. Jedną z nich przytoczyła Pani Urszula. Myślę jednak, że powinniśmy to zostawić subiektywnym odczuciom. Każdy z nas ma inną definicję szczęścia, swojego szczęścia.

Zakończę anegdotą, że cieszyłem się i byłem szczęśliwy, gdy widziałem na którymś zjeździe partii, jak śpiewano międzynarodówkę i przy słowach „wyklęty powstań ludu ziemi” – wstawał cały komitet centralny, a przy następnych: „powstańcie, których dręczy głód” – cała sala.

Szczęście Boże w tym wszystkim, co nas czeka. Myślę, że dla chrześcijanina perspektywa alleluja w poszukiwaniu szczęścia jest bardzo ważna, żeby nie zapominać o niej, kiedy przychodzi tego rodzaju doświadczenie, które spotkało nas obecnie. Nazywam to katyńskim epilogiem, który się wydarzył. Zamiary Pana nigdy nie są dla człowieka do końca czytelne. Myślę, że potrzebujemy bardzo głębokiej narodowej refleksji. Refleksji nad tym, co się wydarzyło. Myślę też o poczuciu odpowiedzialności. Poczucie odpowiedzialności polega też na tym, żeby być z tymi, którzy są zrozpaczeni. Z nami jest teraz cały świat ze swoim współczuciem. My też nasze współczucie wyrażamy poprzez modlitwę. Myślę, aby rozdać przed kościołem nazwiska tych, którzy zginęli teraz w Smoleńsku, żeby ludzie losowali rodzinę, za którą mają się modlić. Bo tym ludziom potrzeba w sobie wielkich pokładów siły wewnętrznej, pokoju wewnętrznego, a człowiek sam z siebie nie ma takich pokładów. Takie pokłady może dać mu tylko Bóg, a my możemy wspierać tych ludzi naszą modlitwą.

Spisała z nagrania Natalia Cholewa



*Czy liczę się z drugim człowiekiem, czyli
miłość bliźniego w praktyce*

Cytaty

Ewangelia wg. Św. Mateusza. 25,34-40

Wtedy król powie tym po prawej stronie: Chodźcie, błogosławieni mojego Ojca, weźcie w posiadanie królestwo przygotowane dla was od stworzenia świata. 35 Bo byłem głodny, a nakarmiliście Mnie, byłem spragniony, a daliście Mi pić, byłem przychodniem, a przyjęliście Mnie. 36 Byłem nagi, a przyodzialiście Mnie, byłem chory, a odwiedziliście Mnie, byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie. 37 Wtedy sprawiedliwi odpowiedzą Mu: Panie, kiedyż to widzieliśmy Ciebie głodnym, a nakarmiliśmy Cię? Spragnionym, i daliśmy Ci pić? 38 I kiedyż to widzieliśmy, żeś przybył, i przyjęliśmy Cię? Albo żeś był nagi, i przyodzialiśmy Cię? 39 Kiedyż to widzieliśmy Cię chorego albo w więzieniu, i przyszliśmy do Ciebie? 40 A król im odpowie: Zaprawdę powiadam wam: Coście uczynili dla jednego z tych najmniejszych moich braci, uczyniliście dla Mnie.

Jan Paweł II. Teologalna cnota miłości: miłość bliźniego (Audycja Generalna, 20 października 1999 r., fragmenty)

„Jeśli by ktoś mówił: „Miłuję Boga”, a brata swego nienawidził, jest kłamcą, albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi. Takie zaś mamy od Niego przykazanie, aby ten, kto miłuje Boga, miłował też i brata swego” (1 J 4, 20-21).

Teologalna cnota miłości, o której mówiliśmy podczas ostatniej katechezy, zwraca się w dwóch kierunkach: ku Bogu i ku bliźniemu. Obydwa te aspekty miłości są owocem dynamizmu życia Trójcy Świętej w nas.

Miłość bowiem ma swe źródło w Ojcu, objawia się w pełni przez Paschę ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Syna i zaszczerpiona jest w nas przez Ducha Świętego. W niej Bóg czyni nas uczestnikami swej miłości.

Jeśli człowiek rzeczywiście kocha miłością Bożą, będzie również miłował brata, podobnie jak On go miłuje. Na tym polega wielka nowość chrześcijaństwa: nie można miłować Boga, jeśli nie miłuje się braci i nie tworzy z nimi głębokiej i trwałej komunii miłości.

Nauczanie Pisma Świętego jest tu jednoznaczne. Miłość bliźniego została zalecona już Izraelitom: „Nie będziesz szukał pomsty, nie będziesz żywił urazy do synów twego ludu, ale będziesz miłował bliźniego jak siebie samego” (Kpł 19, 18). Nawet jeśli na początku przykazanie to wydaje się dotyczyć jedynie Izraelitów, stopniowo zyskuje coraz szerszą wymowę, obejmując również obcokrajowców zamieszkujących pośród nich, przez pamięć o tym, że również Izraelici byli obcokrajowcami w ziemi egipskiej (por. Kpł 19, 34; Pwt 10, 19).

W Nowym Testamencie to przykazanie miłości wyraźnie zyskuje sens powszechny: opiera się na pojęciu bliźniego, które nie zna granic (por. Łk 10, 29-37) i rozciąga się również na nieprzyjaciół (por. Mt 5, 43-47). Rzecz istotna, że miłość bliźniego postrzegana jest jako naśladowanie i przedłużenie miłosiernej dobroci Ojca niebieskiego, który troszczy się o potrzeby wszystkich i nie ma względu na osoby (por. Mt 5, 45). W każdym razie jest związana z miłością do Boga: dwa przykazania miłości stanowią bowiem syntezę i zwieńczenie Prawa i Proroków (por. Mt 22, 40). Jedynie ten, kto zachowuje obydwa przykazania, niedaleko jest od Królestwa Bożego, jak podkreśla Jezus odpowiadając na pytanie jednego z uczonych w Piśmie (por. Mk 12, 28-34).

3. Śledząc ten proces, łączący miłość bliźniego z miłością Boga oraz obydwie te miłości z życiem Bożym w nas, łatwo zrozumieć, dlaczego miłość ukazana jest w Nowym Testamencie jako owoc Ducha, a wręcz jako pierwszy spośród wielu darów wymienionych przez św. Pawła w Liście do Galatów: „Owoce zaś ducha jest: miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność, opanowanie” (Ga 5, 22).

4. Taki jest sens słów z Listu do Kolosan: „Na to zaś wszystko [przyobleczcie] miłość, która jest więzią doskonałości” (3, 14). Hymn o miłości, zawarty w Pierwszym Liście do Koryntian (por. 1 Kor 13), opiewa ten prymat miłości nad wszystkimi innymi darami (por. w. 1-3), a nawet nad wiarą i nadzieją (w. 13). Apostoł Paweł mówi o miłości, że „nigdy nie ustaje” (w. 8).

Miłość bliźniego ma wymiar chrystologiczny, ponieważ powinna upodobniać się do daru, jaki Chrystus złożył ze swego życia: „Po tym poznaliśmy miłość, że On oddał za nas życie swoje. My także winniśmy oddać życie za braci” (1 J 3, 16). Miłość ta, przyjmująca jako miarę miłość Chrystusa, może być nazwana „nowym przykazaniem”, pozwalającym rozpoznać prawdziwych uczniów: „Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem; żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie. Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali” (J 13, 34-35). Chrystologiczna wymowa miłości bliźniego ukaże się w pełnym blasku podczas powtórnego przyjścia Chrystusa. Wtedy właśnie przekonamy się, że miarą wierności Chrystusowi jest właśnie codzienna i konkretna praktyka miłości najbardziej potrzebujących braci: „Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść” (por. Mt 25, 31-46).

Jedynie ten, kto wrażliwy jest na bliźniego i jego potrzeby, daje konkretny dowód swojej miłości do Jezusa. Zamknięcie się i obojętność wobec „drugiego” jest zamknięciem się na Ducha Świętego, zapomnieniem o Chrystusie i zaprzeczeniem powszechnej miłości Ojca.

KONWERSATORIUM XL (15.05.2010)

Czy liczę się z drugim człowiekiem, czyli miłość bliźniego w praktyce”.

Prowadzący ks. Adam Zelga (proboszcz parafii im. Bł. Edmunda Bojanowskiego), Zdzisław Bielecki (prezes fundacji D. O. M.), Alojzy Witeska (prof. dr hab. nauk med. urolog), o. Benedykt Malewski, OP, S. Kazimiera Fleran (Wspólnota Sióstr Uczennic Krzyża)

Ks. Adam Zelga

Temat dzisiejszego Konwersatorium należy do podstawowych: czy liczę się z drugim człowiekiem, czyli miłość bliźniego w praktyce. Bardzo trudno jest mówić o miłości wtedy, kiedy mówi się o niej jak o powinności, jak o obowiązku. Z drugiej strony nie znam człowieka, który kiedy kocha i jest kochany, nie jest szczęśliwy. Miłość jest taką powinnością, która prowadzi do szczęścia, do realizacji samego siebie. Jest tak przede wszystkim dlatego, że Bóg jest miłością. Jeśli zbliżamy się do myślenia w kategoriach miłości Bożej, zbliżamy się do Boga i nic dziwnego, że jesteśmy wówczas szczęśliwi.

Muszę Państwa przeprosić za konieczność wcześniejszego wyjścia, ponieważ w mojej parafii są również poganie i dwójkę takich pogan muszę dzisiaj ochrzcić. W czasie kiedy Państwo będziecie mówić o miłości do drugiego człowieka, ja będę ją sprawował, wprowadzając do misterium Bożego dwóch nowych chrześcijan, dziewczynkę i chłopca.

O. Benedykt Malewski

Zakonnikiem jestem od ośmiu lat, a niedługo dopiero minie pierwszy rok mojego kapłaństwa. Moja dominikańska wspólnota, w której jestem, jest tą, w której doświadczam miłości i w której uczę się liczenia się z innymi ludźmi. Doświadczam również tego, jak inni liczą się ze mną. Chciałbym zacząć od tego, że wspólnota zakonna to taka wspólnota, w której uczymy się miłości brater-



Fot. 73. Ks. Adam Zelga, Alojzy Witeska i siostra Kazimiera Fleran

skiej. W Księdze Rodzaju jest powiedziane, że człowiek opuści swego ojca i matkę swoją i połączy się ze swoją żoną i to jest naturalne. Wspólnota zakonna to coś innego – w jednym miejscu żyje wspólnie grupa kobiet albo grupa mężczyzn i to z naturą zgodne nie jest. Jest to decyzja życia zgody na jakiś brak, na brak więzi, do której jesteśmy powołani. To jednak wcale nie oznacza, że w takiej wspólnocie człowiek nie może uczyć się miłości, że nie może tej miłości doświadczać. Jest wręcz przeciwnie. Można by dużo mówić, na czym to polega. Chciałbym powiedzieć o naszej konstytucji opartej na regule Św. Augustyna. Św. Augustyn zaczyna swoją regułę od słów: „Bracia najmilsi, przede wszystkim należy miłować Boga, a potem bliźniego swego”. Jest to nasze powołanie. Będąc w zakonie, staramy się zachowywać to zalecenie. Gromadzimy się po to, aby mieszkając razem, wspólnie oddawać dusze i serca Bogu. Jest to górnołatne, ale oddaje sedno, pokazuje istotę rzeczy. Gromadzimy się w naszej wspólnocie dominikańskiej w konkretnym celu, dla Boga.

Ludzie mają tyle różnych wad, słabości, że ta wspólnota rozpadłaby się, nie mogłaby istnieć, gdyby nasza więź była budowana na czymś innym, a nie na miłości Bożej. Moje doświadczenie bycia we wspólnocie tutaj na Służewcu jest takie, jak napisał Św. Augustyn: „zgromadziliśmy się i zjednoczyli po to, by jednomyślnie mieszkać w Bogu”. Jest między nami wiele utarczek, kłótni, bo



Fot. 74. Ojciec Benedykt Malewski

wiele rzeczy nas różni, ale okazuje się, że te wszystkie różnice polityczne, teologiczne, filozoficzne i ogólnie światopoglądowe, one wszystkie nie mają żadnego znaczenia, gdy zaczynamy rozmawiać o tym, co mamy głosić i jak mamy głosić. Ta jedna osoba – Bóg – łączy nas do tego stopnia, że tamte różnice stają się nieistotne. Co więcej, w takim kontekście te różnice zanikają, bo możemy dzielić się czymś, czego inni nie posiadają. Jeden z nas ma takie poglądy na świat, drugi inne, ale wspólny cel sprawia, że możemy dogadać się ze sobą, siły daje nam wspólny cel, jakim jest Bóg. W praktyce On nas najbardziej łączy ze sobą. Myślę, że takiej wspólnoty nie da się zbudować bez takiego celu. Wspólnota bez celu byłaby trochę jak wspólnota mafijna, gdzie łączy ludzi wspólny interes, ale to nie jest właściwa, prawdziwa wspólnota.

Druga rzecz, o której chciałem powiedzieć, to przebaczenie i zaufanie. One są ze sobą powiązane. Jeśli łączy nas we wspólnocie najważniejszy ze wszystkich celów, to wszystkie pozostałe elementy są możliwe. Jeżeli sprzeczamy się ze sobą, mamy różnego rodzaju emocje, uczucia, ważne jest, czy mamy do siebie zaufanie i zdolność przebaczenia.

Niedawno miałem taką sytuację. Jestem duszpasterzem na Służewcu, gdzie mój ksiądz proboszcz poprosił mnie, żebym pomógł mu prowadzić spotkania i naukę dla zakochanych (narzeczonych). Podjąłem się tego zadania bardzo chętnie, tym bardziej że prowa-

dziłem takie zajęcia jeszcze jako diakon w Krakowie. Problem jednak był taki, że organizacyjnie zajęcia na Służewcu wyglądały inaczej niż w Krakowie i chciałem, żeby ksiądz proboszcz przekazał mi jakieś bliższe informacje, notatki i powiedział, co mam robić, gdzie, kiedy itd. Próbowałem te informacje od niego wydobyć przez cały tydzień i nie udało się. Co więcej, miałam takie wrażenie, że on mi robi łaskę, że w ogóle coś powie, a ogólnie mnie zbywa. To on mnie przecież prosił, żebym mu pomógł. Mnie to bardzo denerwowało. W rzeczywistości sprawa wyglądała inaczej. Ksiądz proboszcz miał tyle innych spraw na głowie, że ta, z którą przychodziłem do niego, była w tym czasie najmniej ważna. I to go irytowało. Wcale nie chodziło więc o jakieś negatywne nastawienie do mnie, które mu przypisywałem.

Ta sytuacja pokazuje, że z naszymi reakcjami czasem dzieje się coś innego, niż oczekujemy, co trudno jest zrozumieć, czasem też trudno przyjąć, jeśli człowiek nie ma zaufania do drugiego, jeśli nie ma możliwości przebaczenia. Czasem jest tak, że tak bardzo różnimy się od drugiego człowieka, że nie ma co starać się go zrozumieć, dociec, dlaczego on tak myśli, tylko przyjąć wszystko z zaufaniem. Te różnice mogą być do tego stopnia złożone, skomplikowane, że trzeba po prostu zaufać, nie dociekać, dlaczego to jest inne. Najłatwiej wszystko zrozumieć, jeśli przyjmujemy, że wszyscy jesteśmy zgromadzeni w jednym celu.

Zdzisław Bielecki

Najpierw chcę powiedzieć o mojej obronie wobec zaproszenia Pani Rektor. Jestem człowiekiem, który nie zawsze liczył się z drugim człowiekiem. Zdaję sobie z tego sprawę i prosiłem, żeby Pani Rektor znalazła na dzisiejsze spotkanie bardziej odpowiednią osobę. Ale nie dała się zbyć, więc tu jestem.

Jest to naprawdę bardzo trudne, jak mamy rozumieć liczenie się z drugim człowiekiem w życiu codziennym. Rozumiem, że tu chodzi o coś więcej niż obowiązki wynikające z powszechnie przyjętych relacji międzyludzkich. Zostałem zaproszony, więc wstałem odpowiednio wcześniej, ogoliłem się, ubrałem przyzwoicie, przygotowałem się do spotkania, przemyślałem problem. To wynika z naszej natury ludzkiej, która jest tak głęboko wpisana w naszą świadomość, że nie zawsze zdajemy sobie sprawę, że to jest obowiązek,



Fot. 75. Ojciec Benedykt Malewski obok Zdzisław Bielecki

że to też jest ważne i to też jest miłość, szacunek dla drugiego człowieka.

W tym przypadku mam jednak powiedzieć o tym, co wykracza poza te codzienne odruchy, takie, że uśmiechamy się do obcych osób, które spotykamy na swojej drodze, czy też przemilczymy uwagi współbrata, jak to powiedział mój przedmówca, czy uwagi żony albo męża. Choć to też jest nieraz bardzo trudne. To są te codzienne wybory. Do końca nigdy nie wiem, jak to wygląda w oczach tych drugich ludzi, czy oni sądzą, że ja się z nimi liczę. Może powiedzieliby mi, że się z nimi nie liczę, mimo że przystanąłem i zapytałem o coś, poświęciłem im trochę czasu, posłuchałem i porozmawiałem. Na przykład, powiedzą potem, że widać było, że się spieszyłem. No tak. Jednak z mojej strony to było liczenie się z innym człowiekiem. To jest dla mnie dylemat codziennego dnia. Mając wiele spraw, możemy dokonać złego wyboru.

Ta perspektywa, którą mamy w cytatach na to dzisiejsze spotkanie, pomaga nam w wyborach. Też hasło nowo budowanego kościoła przez księdza Adama Zelgę „Świątynia Boga jest święta, Wy nią jesteście” mówi mi, że ja też powinienem być święty. Zastanawiam się, czy jest dla mnie do wykonania, żebym zawsze i do końca liczył się z drugim człowiekiem.

Dla mnie wzorem osoby, która liczyła się z drugim człowiekiem, był i jest Jan Paweł II, Papież Karol Wojtyła. Na stronie fun-

dacji Dzieło Odbudowy Miłości D. O. M, z której ramienia tu zostałem zaproszony (www.nieobojetni.pl), jest apel, aby dzień drugiego kwietnia, dzień odejścia Jana Pawła II, był dniem ludzi nieobojetnych, czyli, w kontekście dzisiejszego spotkania, takich, którzy liczą się z drugim człowiekiem. Karol Wojtyła był właśnie taką osobą, która pochylała się nad wszystkimi i w każdym widziała Chrystusa, niezależnie czy to była osoba wierząca czy niewierząca, czy to był Żyd, czy katolik. Teraz 12 maja obchodziliśmy dziesięciolecie śmierci biskupa Władysława Miziołka. Był on także przykładem czynnej miłości bliźniego. Warto pamiętać o tych, którzy za życia liczyli się z drugim człowiekiem.

Nie sposób tu nie wspomnieć o tych, którzy zginęli 10 kwietnia w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem, którzy lecieli, żeby oddać hołd tym, którzy zginęli w Katyniu, czyli liczy się pamięć o tych, którzy służyli ojczyźnie, czasem aż po ofiarę z własnego życia.

Każdy z nas, służąc innym, wie, że może to być ofiara w sensie życia prywatnego, ofiara w zakresie zdrowia czy nawet ofiara posunięta dalej, do ofiary z życia. W związku z tym czasem jest to wielkie wyzwanie i często trudna decyzja. Trzeba sobie postawić pytanie, pytanie podstawowe, na ile jestem odważny w moich codziennych wyborach, na ile jestem gotów, żeby coś we mnie umierało: moje talenty, moje przywiązania czy marzenia. Taki wybór dotyczy każdego z nas.

Zanim wkroczyłem na drogę bardziej intensywnego służenia ludziom, przeszedłem próbę życia. 26 kwietnia 1991 roku, jak się później okazało w rocznicę dnia mojego chrztu świętego, miałem wypadek samochodowy. Dach mercedesa był wgnieciony do wysokości deski rozdzielczej. Wypadek był rano w dzień świąteczny, kiedy było pusto na drodze, a ja wracałem do Warszawy z zachodu Europy, gdzie miałem być przedstawicielem jednej ze znanych firm. Pracując jednocześnie w telewizji, planowałem rozpocząć nowe życie i mieć więcej środków na utrzymanie rodziny. Był to czas przemian po stanie wojennym i w telewizji nie było zbyt różowo finansowo, postanowiłem więc poszukać dodatkowej pracy, aby wypełnić obowiązek utrzymania rodziny. W czasie wypadku rozłożył się mój fotel i gdyby nie to, byłbym ścięty przez pół, ponieważ dach samochodu, jak już wspominałem, został wgnieciony do wysokości deski rozdzielczej. Na szczęście znalazło się szybko pogotowie, tir,

który mnie ściągnął z drzewa, straż, która palnikiem wycięła drzwi. Byłem nieprzytomny i wiem wszystko jedynie z relacji świadków. Moja żona w tym czasie otworzyła swoją dawno nieużywaną książeczkę od Komunii świętej i czytała litanie za litaniami. To było tuż przed wypadkiem lub w tym samym czasie i mnie wydaje się, że ta łączność uratowała mnie. Jeszcze wspomnę o tym, że ja modliłem się modlitwą Jurka Ciesielskiego; to był człowiek z Krakowa, przyjaciel Papieża i myślę, że te nasze wspólne modlitwy mnie uratowały. Dziękuję Matce Bożej i Opatrzności.

Po tej próbie postanowiłem służyć drugiemu człowiekowi. Ta służba to fundacja Dzieło Odbudowy Miłości D. O. M. Fundacja jest przykładem takich codziennych działań. Staramy się po prostu, żeby być tymi nieobojętnymi, służyć innym na miarę swoich możliwości.

S. Kazimiera Fleran

Jestem siostrą zakonną od 24 lat i w tym czasie doświadczyłam również i takiej rzeczywistości, że kochać drugiego człowieka i liczyć się z nim, jest czasem bardzo trudno. Tak naprawdę cały czas jest to proces. Widzę też, jak to jest bardzo ważne, szczególnie gdy się jest kobietą. Dla kobiet w relacji z drugim człowiekiem ważne jest uczucie. My jeśli nie jesteśmy kochane i nie możemy kochać, to nie realizujemy się jako kobiety. Nam zawsze czegoś brakuje. Możemy mieć inne rzeczy, ale gdy nie mamy miłości, nie jesteśmy szczęśliwe. Wiedząc o tym (tym bardziej, że jestem poślubiona Jezusowi i Jego wybrałam jako mężczyznę mojego życia), widzę, że kochanie drugiego człowieka jest procesem.

Podobnie jak mój przedmówca, miałam w życiu takie wydarzenia, które pokazały mi, co jest ważne. Kiedy byłam młodą dziewczyną i zdałam maturę, potem kiedy byłam na pierwszym roku studiów, ludzi traktowałam trochę przedmiotowo. Wybierałam sobie tych, którzy mi odpowiadali, byli do czegoś przydatni. Bóg nie był wówczas dla mnie ważny. Wtedy trochę chorowałam i te choroby powodowały we mnie postawę narzekania, buntu – dlaczego jestem taka młoda, a choruję. To wiązało się z pewnymi oczekiwaniami wobec mojej rodziny, także wobec ludzi, których spotykałam. Była to postawa roszczeniowa.



Fot. 76. Siostra Kazimiera Fleran, obok Alojzy Witeska

Kiedy moja mama zaproponowała mi, żebym pojechała do Lichenia na pielgrzymkę dziękczynną po odzyskaniu zdrowia, zdecydowałam się wziąć w niej udział. Wtedy coś dokonało się w moim życiu. Było dla mnie zaskoczeniem, że poczułam, iż Bóg istnieje i że mnie bardzo kocha i wybiera. Nie rozumiałam tego. Zaczęłam szukać Boga i Go poznawać. Wtedy odkryłam, że Bóg jest w Trójcy, Syn i Duch Święty i że w tej wspólnotce jest tak, że Ojciec daje się Synowi, Syn przyjmuje Ojca, że jest wzajemna jakby wymiana. Jest dawanie i przyjmowanie. Wtedy zrozumiałam, że na tym polega miłość. Dawać siebie drugiemu: moją pracę, mój czas, wiedzę, moje talenty, moje wady, bo wbrew pozorom tym również mogę ubogacić drugą osobę i relacja może się pogłębiać. Czyli dać siebie, a z drugiej strony brać drugą osobę taką, jaką ona jest. Uczyłam się tego od Boga. Już to trwa 26 lat (24 lata w zakonie i jeszcze dwa lata wcześniej). Widzę, że relacje międzyludzkie są czymś bardzo ważnym, że nie można zapomnieć o drugim człowieku. Dlaczego tak uważam? Każdy z nas jest powołany przez Boga, żeby przyjąć Go i dać siebie innym. My wtedy jako ludzie w pełni realizujemy się, szczególnie my kobiety, jak to już podkreślałam.

To realizowanie się wymaga konkretnych. Jak to robić, sam Bóg nam podpowiada. Podam kilka przykładów. Ponieważ czytam Słowo Boże, korzystam z sakramentów, szczególnie Eucharystii, Słowo Boże mówi mi, co o tym mówił Jezus. Jak traktował ludzi. Uczę

się od Niego, żeby być do Niego podobną, a Eucharystia, która jest sakramentem miłości, powoduje, że Bóg daje mi moc. Jak przyjmuję Komunię, otrzymuję Jego moc, uczę się kochać, bo sama nie potrafię. Kiedy nie idę za Bogiem, widzę, jak mało kocham. Gdyby nie Eucharystia nie byłabym w stanie kochać ludzi tak, żeby mój egoizm umarł, żeby dawać siebie drugiemu człowiekowi. Moja moc to Słowo Boże i Eucharystia.

Teraz konkrety, bo to jest najważniejsze. Powiem o takich ostatnich zdarzeniach, które mnie bardzo dużo nauczyły. Uczę się reagować na to, co przynosi codzienność, co przynosi mi życie i ludzi, których spotykam. Ważne jest, żeby z nimi się liczyć. Ich przyjmować i dawać im siebie.

Podam przykład. Jak wsiadłam do pociągu, to modłę się, żeby Bóg mógł się mną posłużyć, żebym wypełniła to, co On chce. Ostatnio jechałam z Warszawy do Szczecina. Do pociągu wsiadła dziewczyna i widać było, że jest nerwowa, patrzy na mnie z ukosa. Widziałam też, że chce porozmawiać, ale nie ma odwagi, więc pierwsza zaczęłam rozmowę. Okazało się, że dziewczyna była na detoksie. Narkomanka, młoda 21-letnia dziewczyna, która próbuje z tego wyjść, ponieważ ma dziecko i dla tego dziecka chce zerwać z narkotykami. Zaczęłyśmy rozmawiać. Jechała na leczenie do Monaru. Już w jednym ośrodku była, ale nie bardzo jej to pomogło. Powiedziała, że chce spróbować w innym. Rozmawiając o tej sytuacji pomyślałam, że skoro już w którymś z ośrodków Monaru jej się nie udało, to może warto zaproponować jej coś innego. Znam taką wspólnotę Cenacolo, która zajmuje się narkomanami i jest bardzo skuteczna. Założyła ją siostra zakonna we Włoszech, teraz te domy są również w Polsce. Zaraz zadzwoniłam do mojej siostry, żeby dowiedzieć się o numer tej wspólnoty. Dziewczyna była wdzięczna. Zaraz potem wysiadła.

Następnie wsiadła kobieta, z którą zaczęłyśmy rozmawiać, że mieszka za granicą, a tutaj ma starego ojca, który mieszka samotnie w Świnoujściu i nie ma się kto nim opiekować. Potrzebna jest jakaś opiekunka. Przypomniałam sobie, że nam znajomą siostrę w Świnoujściu i zaproponowałam, że zadzwonię do niej i postaram się panie ze sobą skontaktować. Potem spotkana kobieta do mnie zadzwoniła i powiedziała, że siostra jej pomogła. To jest przykład reagowania konkretnie na to, co przynosi życie.

Wczoraj otrzymałam telefon, że jedna z osób, której pomagałam, ma żałobę, bo zmarł jej ojciec i miała być odprowadzona za niego Msza Święta w jednym z kościołów warszawskich. Miałam wprowadzić inne plany, ale zmieniłam je, ponieważ wiedziałam, że dla tej osoby będzie bardzo ważna moja obecność na żałobnej Mszy Świętej za jej ojca. Poprzez te przykłady chcę powiedzieć, że liczyć się z drugim człowiekiem, to być z nim, kiedy on się cieszy, np. na chrzcie, na weselu, ale być także na pogrzebie. Dzielić z nim to, co w jego życiu jest ważne. Być dla drugiego człowieka, to także świadczyć mu pomoc.

Dla mnie liczeniem się z drugim człowiekiem jest także bycie we wspólnocie z moimi siostrami. O tym mówił już Ojciec Benedykt. Siostry to najbliższe mi osoby, tak jak mąż, żona. Moje siostry to moja najbliższa rodzina. We wspólnocie drugi człowiek jest dla mnie wyzwaniem, ta jego inność. Chcę ją przyjąć, uczyć się tej inności, chcę, żeby mnie ubogacała. To powoduje też, że we wspólnocie uczę się liczyć z drugim człowiekiem w taki sposób, żeby z nim rozmawiać, prowadzić dialog. Rozmowa bardzo dużo daje. Trzeba podkreślać dobre rzeczy, cieszyć się razem, a jeśli coś nie wyjdzie, to również upomnieć. Modłę się i pytam Boga, co i kiedy powiedzieć, napomnieć, czy może później, czy ta druga osoba jest już gotowa, by usłyszeć prawdę. Powiedzieć w taki sposób, żeby mogła ją przyjąć.

Szalenie ważny dla mnie jest temat dotyczący ubogich. Obecnie mamy dużo ubogich. Wcześniej w moim życiu, zanim spotkałam Boga, ci ludzie mnie strasznie drażnili. Uważałam, że część z nich po prostu żebrze, gdyż woli to robić, niż wziąć się do jakiejś pracy. Było we mnie dużo pogardy wobec nich i oceny. Kiedy spotkałam Boga, mój stosunek do nich zaczął się zmieniać. W jakiś sposób Bóg mi pokazał, że w nich również mieszka. Jakby mówił: zobacz, co ty dla nich robisz? Czy pomagasz, czy tylko oceniasz? Czy też tylko pogardzasz? Zauważyłam to i któregoś dnia, gdy to odkryłam w sobie, poszłam do sakramentu pojednania, żeby to Bogu wyznać i przeprosić Go za to. Gdy wyszłam od tej spowiedzi i szłam ulicą, podszedł do mnie człowiek brudny, śmierdzący, zasiusiany, ledwo trzymający się na nogach. To było przed Świętami Bożego Narodzenia. Człowiek ten wyciągnął z kieszeni pomietą kartkę z obrazkiem Świętej Rodziny. Dając mi ją powiedział: „Siostro, kochaj nas”. We mnie jakby coś uderzyło, zobaczyłam, że to jest Bóg, któ-

ry przychodzi i mówi mi: „Ja jestem w tym człowieku, co zrobiłaś, żeby mu pomóc, czy liczyłaś się z nim”. Od tego momentu zaczęłam modlić się i szukać, co robić dla tych ludzi. Wiem, że niektórzy z nich oszukują, że niektórzy z nich nie chcą podjąć pracy, ale to nie znaczy, żebym ich traktowała źle albo nie liczyła się z nimi. Staram się rozmawiać z nimi, staram się poświęcić im czas. Jak mnie zatrzymują, czasami mówię im wprost: „Nie dam ci pieniędzy, bo widzę, że pijesz i wydasz te pieniądze na alkohol; kocham cię i dlatego nie dam ci pieniędzy. Natomiast kupię ci herbatę, usiądziemy, porozmawiamy, a pieniędzy ci nie dam, bo widzę, że nie będziesz umiał ich dobrze spożytkować”.

Dla mnie miłość bliźniego to jest konkret, to codzienność, to każdy człowiek, którego spotykam. Dziękuję Pani, którą spotkałam dzisiaj przed salą, która mi odpowiedziała, co tutaj powiedzieć. Modliłam się o odpowiedź, co mam powiedzieć, żeby to było to, co może rozświecić nasze życie, co poprowadzi nas w tę dobrą stronę, żeby kochać i nie bać się kochać. Warto próbować, zmagać się i warto kochać, bo my idziemy do nieba, a w niebie najważniejsze będą relacje miłości. Chodzi o to, żebyśmy tego na Ziemi się nauczyli. Nauczyli się dawać siebie i przyjmować drugiego człowieka takim, jaki on jest.

Alojzy Witeska

Znalazłem się w kłopotliwej sytuacji, zapewne lepiej czułbym się przy stole operacyjnym, podczas operacji, bo to jest mi bardzo bliskie. Zostało już wiele powiedziane. Każdy z Państwa chciałby usłyszeć coś innego. Jestem chirurgiem. Przez ostatnie 20 lat kierowałem kliniką. Właściwie na co dzień spotykam się z ludzkim cierpieniem. Nie tylko w szpitalu. Byłem parafianinem na Sadybie, gdzie proboszczem był ksiądz Pyzel, wspaniały człowiek. Mogę to już mówić bez posądzenia o lizusostwo, bo przeszedł na emeryturę. Tam prowadziliśmy zespół, zwany „Otwarta dłoń”. Pracowali lekarze różnych specjalności, także psycholodzy, nauczyciele, prawnicy. Ludzie przychodzili w różnych sprawach – kiedy trzeba było kogoś zbadać, ale też z pytaniem, czy mają się rozwodzić, bo to były różne historie. Tym ludziom najbardziej zależało na tym, żeby ktoś ich wysłuchał, poświęcił im trochę swojej uwagi i czasu. Przyznaję, że często moja cierpliwość była wystawiana na ciężką próbę, bo, jak



Fot. 77. Alojzy Witeska oraz pozostałe osoby panelu

powiedziałem na wstępie, częstokroć sto razy bardziej wolałbym zrobić duży, trwający kilka godzin zabieg, niż być sędzią w czyjejs sprawie. Szczególnie, że podczas wykonywania swoich codziennych zajęć byłem zmuszany do podejmowania trudnych decyzji za kogoś i w czyimś imieniu. Cóż, wybrałem taki zawód i mam za swoje... Przychodzi ktoś, i kiedy przeglądam zdjęcie, czy rzucam okiem na USG, mówię: proszę Pana, trzeba usunąć pęcherz, zrobić pęcherz jelitowy. Ktoś raptem dowiaduje się o tym i pyta: ale jak ja będę funkcjonował, panie doktorze. Ja na to: to jest dobre pytanie, ważne, że będzie Pan w ogóle funkcjonował, bo inaczej pójdą przerzuty i Pan zginie. Czasem trudno jest powiedzieć prawdę, ale pacjent prosi o rozmowę, nie mogę nie mieć dla niego czasu.

Wstaję o 4 rano, kiedy mam czas, wtedy sobie pewne rzeczy poukładam, ale nie zawsze się to udaje, bo w tym czasie czasem przywiozą coś „na ostro”. Jeśli starszy człowiek pochodzi z cewnikiem trochę dłużej, to się nic nie stanie, ale jeśli przychodzi młody człowiek z guzem jądra, to jak powiedzieć chłopakowi: słuchaj, bracie, ja ci muszę usunąć jądro. I tu zaczyna się to, w czym „najlepiej się czuję”, tzn. wykład, że drugie jądro będzie sprawne, że jako mężczyzna, jako przyszły ojciec itp., itd.. To jest bardzo ważne. Jak objąłem klinikę MSW, były Jednostki Nadwiślańskie i masa tych chłopców przychodziła, wydawałoby się, z błahymi sprawami, jak stulejka, która nie operowana prowadzi do różnych problemów,

może nawet powstać nowotwór. Były sprawy niezstąpionego jądra, gdzie chłopcy mogli być bezpłodni. Badania profilaktyczne były przerażające, pokazywały, jak nasza Służba Zdrowia działa, jak my działamy.

Teraz kilka słów o relacji lekarz-pacjent. Kiedyś unikano mówienia pacjentowi prawdy. Teraz mówi się prosto „z mostu”: ma Pan nowotwór, trzeba operować. Ta bezpośredniość to nie takie proste, trzeba pomaleńku. Czasami rodzina pomaga, czasami odwrotnie.

Kiedy przyjmuję w spółdzielni, przychodzi pacjent, który ma wszystkie wyniki, prześwietlenie, USG, poukładane jak u dobrego księgowego. Oczywiście chcę go na początek zbadać. Z badania często już wiem, jakie ma wyniki. Zawsze zazdrościłem lekarzom, którzy potrafili rzucić okiem, zbadać brzuch i już stawiali diagnozę: zablokowana nerka, otwieramy. To wszystko przychodzi z czasem, powoli. Schody zaczynają się, kiedy trzeba powiedzieć: ma Pan nowotwór. Zwykle pacjent pyta, jaki to jest nowotwór. Na ogół nowotwory są złośliwe. Jeden mówi: rób Pan, doktorze, co uważasz za konieczne, a drugi wdaje się w dyskusję, zadaje 1000 pytań. Nasuwa się pytanie, czy te choroby są potrzebne. One uczą pokory. Nas chirurgów nic tak nie uczy pokory, jak właśnie chirurgia. Na początku człowiek, jak się uczy, zoperowałby wszystko. Potem, z czasem, często po wielu gorzkich lekcjach, nabiera się pokory. Nie ma powikłań ten, który nie operuje. Kiedy przystępuje się do operacji, to też jest lekcja pokory. Jest taki moment stresu, a później, kiedy operacja trwa 6-8 godzin, to czuje się kręgosłup, zmęczenie i trzeba wytrwać do końca i człowiek modli się, żeby wytrwał. Druga sprawa to prowadzenie pacjenta po zabiegu. Czasem przyjeżdża on po latach, do spółdzielni i poznaje się swoje cięcie. Mamy też swoje małe cmentarzyki. Nie wszystko daje się zoperować. Pamiętam swojego szefa, który mawiał, że małpę można nauczyć operować, a ty musisz myśleć. Trzeba uważać, gdzie jest ta granica, przy której nie należy operować.

Myślę, że w moim zawodzie do tej miłości się dojrzewa, uczy się tej miłości każdego dnia na nowo. Lekarz, który jest nawet najlepszym fachowcem, ale nie widzi w drugiej osobie człowieka, często zagubionego i przybitego swoją chorobą, nie ma dla niego czasu, nie jest godzin tego, żeby lekarzem się nazywać.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska -Dowgiatło

Liczenie się z drugim człowiekiem jest widoczne również w relacjach między rodzicami i dziećmi, a także dziadkami i wnukami. W swoim świadectwie chcę powiedzieć o relacji między nami a naszą wnuczką. Od prawie dwóch lat mieszka u nas wnuczka, która teraz ma już prawie 18 lat. Jest to taki wiek, o którym często się mówi, że jest okresem buntu, kiedy młody człowiek zawsze ma swoje zdanie. Rzeczą najważniejszą jest wówczas u rodziców czy dziadków umiejętność słuchania, w tym przypadku słuchania wnuczki przez dziadków, słuchania, a nie tylko wypowiadania własnego zdania i jeszcze często zaznaczania, że „nie masz racji”. Właśnie słuchania bez oceniania.

W szkole, do której chodzi nasza wnuczka, nauczycielka poprosiła, żeby młodzież opowiedziała o swoich dziadkach. Nasza wnuczka ma koleżankę, która nie ma już dziadków, bo już nie żyją. Ta koleżanka zapytała naszą wnuczkę, czy może opowiedzieć o jej dziadkach, czyli o nas. To było dla nas czymś ogromnie miłym.

Jeśli młody człowiek akceptuje rodziców czy dziadków, to można mieć nadzieję, że kiedyś wróci do tych wartości, które w sposób nienarzucający, między wierszami mu przekazywali. Bardzo też ważne jest, aby podawać argumentację, jeżeli koniecznie musimy czegoś zakazać czy nakazać. Staramy się też wysłuchać kontrargumentów naszej wnuczki, która wie, że traktujemy ją serio i wspólnie możemy dojść do najlepszego rozwiązania.

Drugie moje świadectwo nawiązuje do wypowiedzi Siostry Kazimiery, bo też mam taki zwyczaj, że gdy jadę autobusem, modlę się za kogoś z tego tłumu ludzi, który mnie otacza, kto najbardziej potrzebuje pomocy. Wierzę, że przez tę modlitwę, którą odmawiam, pomagam komuś. Siostra idzie dalej, bo prosi, żeby móc mu pomóc w sposób rzeczywisty, ja oddaję to Bożemu miłosierdziu.

Jeszcze jedno świadectwo. Tak się zdarzyło, że kiedyś wybrał nas dziewięcioletni chłopiec, sierota z domu dziecka. Trudna była decyzja, żeby zaprosić go do przychodzenia do naszego domu na weekendy, bo mieliśmy już dwie córki, które nie odnosiły się do tego zbyt entuzjastycznie. Ostatecznie jednak wspólnie zdecy-

dowaliśmy się na to, uważając, że powinniśmy to zrobić, skoro ten chłopiec bardzo chce do nas przychodzić. Po pewnym czasie zaczął mówić do mnie i do mego męża mamó i tato. To był następny trudny moment. Co ludzie sobie o nas pomyślą, skąd nam się urodził ten chłopak. Dlaczego mówi do nas mamó i tato? Czy myśmy mu tak kazali? Uznaliśmy jednak, że skoro ma taką potrzebę, niech tak zostanie. Oczywiście do dzisiejszego dnia mówi mamó i tato. Wzrusza nas tym, np. kiedy jest u nas (ma już ponad 40 lat) i dokądś telefonuje, zawsze mówi, że dzwoni od rodziców. My mamy wrażenie, że jest to dla niego bardzo ważne.

Alojzy Witeska

Chciałbym dodać jeszcze jeden przykład w kwestii liczenia się z drugim człowiekiem. Na chirurgię urazową przywieziono raz człowieka z urazem uda, świadka Jehowy. Na sali operacyjnej trzeba było podjąć natychmiastową decyzję, co robić, bo świadkowie Jehowy nie wyrażają zgody na podanie krwi. Zadzwoiłem do lekarza dyżurnego miasta Warszawy, a ten mi powiedział: ma Pan dwa wyjścia i oba są złe, bo jeśli Pan przetoczy mu krew, to będzie miał Pan problem z jego rodziną, natomiast jeśli krwi nie przetoczy, to on umrze i będzie miał Pan problem z komisją lekarską. Jak w takim przypadku postąpić? Tak zrobić, żeby operowany nie widział, że została mu przetoczona krew i żeby rodzina o tym się nie dowiedziała? Takie problemy są również niekiedy, kiedy operuje się małe dzieci. Mimo że dziecko może umrzeć, rodzice nie podpisują zgody na operację. I jak w takiej sytuacji pogodzić miłość do drugiej osoby, własne sumienie i przepisy prawa?

Zdzisław Bielecki

Czasem liczenie się z drugim człowiekiem wymaga bycia zdecydowanym i podejmowania nie zawsze popularnych decyzji. Miałem takie przypadki, że trzeba było z autobusu wyprosić pijanego, który ubliżał jakiejś kobiecie, albo podczas kolonii nakazać wychowawcom odbieranie telefonów komórkowych dzieciom, bo mniej ważny był kontakt z rodzicami przez całą dobę niż budzenie się wzajemne dzieci w środku nocy sygnałami komórek.

Nieraz słyszę, także od moich bliskich, po co się uczyłem, skoro zajmuję się zbierką szmat. Działalność naszej fundacji jest ró-

źnorodna. Organizujemy zbiórki, rozdajemy darów, mamy też klub młodzieżowy, organizujemy pomoc w nauce dla dzieci z uboższych rodzin. Przy bezdusznosci struktur państwowych i często ich bezradności finansowej nie można zostawić potrzebujących bez pomocy. Wszystko oczywiście w granicach rozsądku. Pomieszczenia naszej fundacji znajdują się w piwnicy, nie mamy odpowiedniego sprzętu, a potrzebne są nam komputery, żeby działać szybko i sprawnie. Nie zawsze ta decyzja, żeby działać ubogimi środkami jest najlepsza. Obecnie społeczeństwo wymaga zinstytucjonalizowania działalności, wymaga też nowoczesnego działania, stąd nasza strona internetowa: nieobojetni.pl, także nasz znaczek i ulotki, żeby docierać do jak największej liczby nieobojetnych.

Tomasz Umiński

Proszę Państwa, tematem naszego spotkania jest to, czy liczę się z drugim człowiekiem. Chciałem wspomnieć lekcję, jaką w tej materii odebrałem zimą roku 1950/51. Byłem wtedy studentem pierwszego roku. Miałem zdawać fizykę u prof. Andrzeja Sołtana, o którym mówiono, że był niezwykle oryginalnym człowiekiem i gdyby został na zachodzie, byłby niewątpliwie wielkim i znanym uczonym. Ja chciałem wyskoczyć na narty, więc go poprosiłem, żeby zapytał mnie przed sesją. Zjawiłem się konkretnego dnia, o określonej godzinie w marynarce i krawacie. Warto wspomnieć, że wtedy nie każdy student miał marynarkę i krawat i na egzamin się je pożyczało. Jak przyszedłem, Profesora nie było w gabinecie, więc czekałem przed drzwiami, a woźny do mnie: „co takiego?” Jak powiedziałem, że jestem umówiony na egzamin, gdzieś „poleciał”. Po paru chwilach pojawił się Profesor i w bardzo wytwornych słowach przeprosił, że pozwolił na siebie czekać. Potraktowałem to jako lekcję i przez całe życie, o ile sobie przypominam, nie zdarzyło mi się, żeby student kiedykolwiek na mnie czekał albo mnie nie zastał, jeżeli byliśmy umówieni.

Alojzy Witeska

Zbliża się lato, sierpień, czas pielgrzymek na Jasną Górę. Razem z żoną uczestniczyliśmy w nich wiele razy, zresztą poznaliśmy się... w drodze do Częstochowy. Zawsze, kiedy wspominam ten czas, upał, deszcz, niewyspanie i niezwykłą radość z tego powodu,



Fot. 78. Tomasz Umiński, w drugim rzędzie Ryszard Smolski

że mimo wszystkich niedogodności można i, co najważniejsze, chce się nieść pomoc współbraciom. Kiedy później, w ciągu dnia, na szlaku, wzajemnie podzielił się zimnym kompotem, to nie ma lepszej nagrody.

Każde z nas może na swój sposób, który podsuwa mu wykonywany zawód, dawać tę miłość. Jest tylko kwestia, czy tego chce. A często potrzeba tak niewiele...

Naszą z księdzem Adamem ideą jest zorganizowanie przy parafii czegoś na kształt „Otwartej dłoni”. Będzie to zespół ludzi, którzy pomogą tym najbardziej dotkniętym przez los, najbardziej potrzebującym. A tych nie brakuje – wystarczy rozejrzeć się wokół siebie. Zapraszamy wszystkich chętnych, żeby się do nas przyłączyli – bo czyż można lepiej, niż podając pomocną dłoń, zmanifestować swoją miłość do bliźniego?

Elżbieta Pierścionek

Nawiążę do doświadczenia, które jeszcze trwa i rozwija się. Pięć lat temu trafiłam do szpitala, byłam po wypadku samochodowym. Tam spotkałam młodą dziewczynę, która urodziła się 07. 07. 1977 roku. Gwiazda siódemkowa, ktoś by powiedział, że powinna być niezwykle szczęśliwa. Pomogłam jej wtedy, tak doraźnie, jak mi się wydawało. Ale kontakt pozostał. W tej chwili pomagam jej już tyl-

ko słowem. Nie zawsze znajduję słowa, bo sytuacja jest coraz trudniejsza. Ta młoda kobieta, kiedy ją poznałam, miała nowotwór szczęki. Minęło pięć lat. W tym czasie urodziła syna i wydawało się, że życie jest przed nią. Teraz jest po pierwszej chemii, nowotwór wrócił. Chirurg powiedział, że wyciąłby pół twarzy, ale gwarancji nie ma. No i jak tu znaleźć pociechę dla tej dziewczyny. Ale staram się, ciągle się staram.

Iwona Cymerman

Chciałabym nawiązać do tego, co mówiła Pani Rektor, do liczenia się z drugim człowiekiem poprzez umiejętność słuchania. Moje świadectwo dotyczy umiejętności komunikowania się z innymi ludźmi. 10 kwietnia zmarł ojciec mojej Pani profesor. Chciałam iść na pogrzeb, ale w tym czasie miałam mieć zajęcia ze studentami. Zawiadomiłam ich, że odwołuję zajęcia, ale trzeba będzie je oczywiście w późniejszym terminie odrobić. Kiedy spotkałam się z nimi następnym razem, okazało się, że studenci mają do mnie pretensję, że zawiadomiłam ich w ostatniej chwili. Oni byli obecni, więc dlaczego muszą te zajęcia odrabiać. Było mi przykro, bo miałam z nimi zajęcia na temat komunikowania się, a nie umiałam się z nimi porozumieć. Kiedy przygotowywałam zajęcia na następny dzień, postanowiłam wykorzystać ten własny przykład, żeby omówić aktywne słuchanie, które jest bardzo ważne w wychowaniu bez porażek. Także, żeby pokazać, jak liczyć się z drugim człowiekiem. Zaproponowałam, żeby każdy powiedział o sobie, dlaczego sytuacja z poprzedniego dnia go wzburzyła, jak to odczuł. Poprosiłam, żeby zastosowali to wszystko, czego nauczyli się o aktywnym słuchaniu. Wtedy usłyszałam, że jestem nieodpowiedzialna, wymagam szacunku, a sama ich nie uszanowałam. Usłyszałam wiele przykrych rzeczy, a potem dowiedziałam się, że oni nie zostali powiadomieni dostatecznie wcześniej, że osoba, której przekazałam prośbę o odwołanie zajęć, przekazała im informację w ostatniej chwili, kiedy byli już na zajęciach. Dzięki temu, że odważyłam się z nimi rozmawiać na ten temat i wysłuchać, uzyskałam możliwość rozwiązania problemu. Oni też lepiej zrozumieli moją sytuację. Dla mnie opisana sytuacja była namacalnym dowodem znaczenia dialogu ze wzajemnym wysłuchiowaniem siebie.



Fot. 79. Iwona Cymerman, na pierwszym planie Sławomir Żurek

Historia z pociągiem, o której mówiła Siostra Kazimiera, także mi przypomniała jedno własne doświadczenie. Podobnie jak Siostra, kiedy wsiadam do pociągu, modłę się. Wracałam wtedy z moją koleżanką z konferencji z Zakopanego do Olsztyna. Pomodliłyśmy się do naszych Aniołów Stróżów o bezpieczną podróż. Niedługo po tym Pani konduktorka wprowadziła do naszego przedziału podbitego mężczyznę. Wzbraniałyśmy się bardzo, ale bezskutecznie. Pani konduktorka była oschła i niesympatyczna. Całą drogę mężczyzna częstował nas tym, co miał w swojej siateczce i trzeba było mocno się przed tym bronić. Moje koleżanka rozmawiała z nim, a ja modliłam się: „Panie Boże, miał być Anioł Stróż, a tu pijany mężczyzna”. Wyobraźcie sobie Państwo, że nad ranem okazało się, że cały wagon został okradziony, a nas nikt nie zaczepił, gdyż przy drzwiach wejściowych siedział z nami ten podbity mężczyzna. Pan Bóg ma poczucie humoru, a w tym wypadku odnośnie do Aniołów Stróżów. Dla mężczyzny mogło zaś być ważne, że mógł komuś opowiedzieć całe swoje życie i wyjaśnić, dlaczego pije.

Urszula Kossowska-Cezak

Nawiążę do wypowiedzi poprzedniczki, która przywołała obecność Aniołów Stróżów. Chciałabym opisać Państwu przypadek, kiedy uzyskałam pomoc w potrzebie, pomoc całkowicie niespo-

dziewaną. Nie była to życiowa potrzeba, ale w tamtym momencie niezwykle kłopotliwa i ważna.

Mieszkam na Mokotowie, na granicy Służewca. Jechałam „maluchem” na cmentarz na Węglową Wólkę, a po drodze byłam umówiona na określoną godzinę z zaprzyjaźnioną staruszką, żeby jej podciąć włosy. Gdy jechałam ulicą Racławicką, czułam, że coś mi stuka w samochodzie, ale skręciłam w ulicę Żwirki i Wigury. Było sobotnie, wakacyjne południe. Wjechałam na chodnik i zobaczyłam, że mam „kapec” w jednym kole i muszę je koniecznie zmienić. Kłopot polegał na tym, że miałam bardzo zapieczone śruby i kiedy stanęłam bezsilnie, koło mnie pojawił się młody człowiek, który wyraził chęć pomocy. Przyjęłam tę pomoc z wielką wdzięcznością. Młody człowiek sprawnie wymienił koło na zapasowe. Od razu odkręcił śruby, których ja nie byłam w stanie nawet poruszyć. W zapasowym kole było trochę za mało powietrza, poradził mi więc jeszcze, żebym pojechała na najbliższą stację benzynową, gdzie mi go dopompują. Zwracając się do młodego człowieka, powiedziałam, że nie wiem jak mogę mu się odwdziaczyć. On odpowiedział: „Niech pani pomoże następnej osobie”. Westchnęłam i spojrzałam w stronę, gdzie stał przed chwilą, ale koło mnie już nikogo nie było. Po tym zdarzeniu twierdzę pół żartem, pół serio, że to był mój Anioł Stróż i dzięki niemu zdążyłam dojechać do staruszki i podciąć jej włosy. Rzecz może błaha, ale dla mnie ważna.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Zastępując Księdza Adama, który musiał nas dzisiaj wcześniej opuścić, dziękuję serdecznie wszystkim uczestnikom spotkania, a szczególnie naszym panelistom i dyskutantom. Równocześnie zapraszam serdecznie na następne Konwersatorium w nowym roku akademickim, jak zwykle w trzecią sobotę października (16.10.2010 r.). Mam nadzieję, że w tym terminie będzie już dostępny piąty tom „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”.

Życzę Państwu dobrych wakacji i spotkania w jesieni na kolejnych Konwersatoriach.

Spisała z nagrania Ewa Smolska

d.c. **Dyskusji** (Tekst otrzymany drogą korespondencyjną)
Michał Mierzejewski (geolog, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego).

Relacja z innymi ludźmi to rzecz bardzo ważna, przez nią okazuje się jaki mamy stosunek do świata, czy jesteśmy sobkami skupionymi na własnej karierze, a innych traktujemy jak narzędzia do własnych celów, czy też potrafimy do innych odczuwać empatię, wnikać w ich losy i widzieć w nich braci i siostry. W konsekwencji bez poznania potrzeb bliźniego nie jesteśmy w stanie mu efektywnie pomóc. Wsparcie finansowe potrzebującego, bez wiadomości o tym co ten bliźni może z tą pomocą zrobić, może być tylko gestem podnoszącym nasze samopoczucie, ale jeżeli ten bliźni natychmiast tę pomoc na przykład przepije, to nasza pomoc jest chybiona, a nawet przyspiesza degradację tej osoby.

Relacje z bliźnimi nie są więc rzeczą łatwą, wymagają rzeczywistego rozeznania sytuacji, w jaki sposób mogę rzeczywiście pomóc. Oczywiście są sytuacje klarowne, trzeba pomóc matce która nie ma funduszy na podręczniki, ubranka dla swych dzieci itp. Gorzej jest z takimi osobami, które przekupują dzieci/wnuki, by zdobyć ich sympatie. Takie sytuacje degenerują zarówno dającego jak i biorącego. A takich sytuacji jest sporo wokół nas.

Relacje z bliźnim, jeśli są traktowane serio, z wnikaniem w rzeczywiste potrzeby drugiej osoby, mogą być źródłem radości do obu stron. Niekiedy wystarczy dar czasu poświęconego na kontakt z drugą osobą. Ważnym jest, by drugiego nie traktować „z wyżyn majestatu” ale jak kogoś wartego współczucia i efektywnej pomocy.